



# **COLORADO**

Edward  
**REDLIŃSKI**

**Edward REDLIŃSKI**

# **DOLORADO**



POLSKA OFICYNA WYDAWNICZA „BGW”

Projekt okładki  
*Marek Zadworny*

Na okładce wykorzystano zdjęcie Czesława Czaplńskiego

Redaktor *Katarzyna Merta*

Redaktor techniczny  
*Joanna Krawczykiewicz*

Korekta  
*Wanda Popławska*  
*Barbara Wojnicka*

© Copyright by Edward Redliński  
© Copyright by Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”

ISBN 83-7066-573-X

Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”  
Warszawa 1994

Wydanie I  
Nakład 10 000 egz

Skład i łamanie: Belle Ami, Warszawa, ul. Kaskadowa 1

Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne Sp, z o.o.  
Wrocław, ul. Piotra Skargi 3/5. Zam. 5607/94

**DOLORADO**

2.XI.1984

Czołem, Andrzej... Chyba poznajesz mnie – mój głos... Mija akurat miesiąc od mojej... rejterady z Nowego Jorku. Wyobrażam sobie zaskoczenie, kiedy zobaczyłeś na stole moją karteczkę! Pożegnalną... Zajrzałeś pod łóżko – czy na pewno nie ma mojej walizki. Ciekawe, co pomyślałeś?... Że idiota? Tchórz? Mięczak?... A może tylko wzruszyłeś ramionami – zrzuciłeś bety, obmyłeś twarz i rymnąłeś spać, bo za cztery godziny wstawanie do roboty dziennej. Ja w tym czasie lądowałem już w Warszawie...

Minął miesiąc... Trzydzieści dni gadania, tłumaczenia się przed rodziną, znajomymi – dlaczego tak krótko wojowałem z Ameryką. Dowodziłem, że nie przegrałem – nie dałem się przecież upokorzyć. I że Stany Zjednoczone są zadłużone u mnie na trzydzieści pięć dolarów – i zastanawiam się nad sankcjami.

Po miesiącu takich wykrętno-poważnych utarczek w Warszawie – na wsi się znalazłem. Do ciebie – hen, w Niujorku, w świata stolicy – mówię z wiejskiej chaty nad Narwią. Sam jestem. Cisza. W sąsiedzkich domach dawno śpią – północ prawie, a oni wstają wcześniej. Zresztą okno szczelnie kocem zasłoniłem. Lampa naftowa, półmrok. Na ścianie obrazy Serca Jezusowego i Matki Częstochowskiej. Mają po sześćdziesiąt lat – zawiesił je ojciec, kiedy wybudował ten dom. Na podłodze szmaciaki – które kiedyś tkąła moja matka. Zegar. Nie cyka. Stanął o godzinie za dziesięć pierwsza – dokładnie w momencie, kiedy w Białymstoku, w szpitalu, westchnął – głęboko i szczęśliwie ostatni raz w życiu – mój ojciec. Chata pusta,

opuszczona. Pajęczyny. Myszy... Chata – muzeum rodzinne. Chata – świątynia plemienna. Śniąca się mnie, moim braciom, moim siostram – raz jak raj utracony, raz jak wyrzut sumienia... W mojej łąkowo-leśnej okolicy więcej takich odumarłych domów. Młodzi wywędrowali za miejskimi pokusami. Starzy poumierali... Przyjechałem, aby tę chatę, tę świątynię, raz nareszcie z duszy... wypalić. Gdyby nie ona, przechadzałbym się może właśnie Piątą Aleją...

W tej chacie, czterdzieści parę lat temu, urodziła mnie pewna... wieśniaczka. Cierpliwa. Pracowita. Pobożna. Śpiewająca co niedziela rano godzinki. Dbła o kwiaty w oknach. Przędła len. Doiła krowy... Siedzę na łóżku, które, kiedyś, jeszcze przed moim w tym łóżku narodzeniem – sklecił z desek pewien... wieśniak. Silny, mądry – ale wiecznie, po chłopsku zaharowany. W czerwcu, rano, nosiłem mu daleko, w łąki, śniadanie w glinianym dwojaku. Uczył mnie trzymać kosę. Zaprzągać konia. Wiązać snopy. Siedzę w tym polskim... prapolskim... prasłowiańskim mateczniku nad Narwią... przede mną obrazy święte, krzyż, zegar ojcowy... Cały ołtarz rodziny. Mówię do magnetofonu do... „Panasonic Cassette Recorder” – kupionego przy Czterdziestej Drugiej Ulicy od murzyńskiego chłopca za dziesięć dolarów... Pewno kradziony. Właściwie – jedyna moja pamiątka z przebogatej Ameryki... Próbowałem napisać do ciebie... parę razy... ale nie wychodziło... Kotłowisko polsko-amerykańskie w głowie, nowojorsko-warszawsko-taplarskie. Dwoisty wciąż jestem. A raczej: troisty. Pięcioisty. Wieloisty... Sejmik nieustający we mnie, jedni do Sasa, drudzy do Lasa... w jednym ciele kilka, kilkadziesiąt osób. Może teraz, dwie godziny mając, może nareszcie wypowiem to, co napisać chciałem...

Właściwie po co ja do tego Niu Jorku niesamowitego leciałem? Obłowić się dolarami, wrócić i żyć potem z ekstraprzelicznika? Nie. Wiesz, że nie. Z ciekawości? Tak. Trochę tak.

Ale najbardziej z niepokojem. No bo jeśli ta legendarna Ameryka – bujna, emocjonująca, sprawiedliwa, mądra, wielkoduszna – jeśli istnieje naprawdę? Samemu zobaczyć – dotknąć – spróbować jechałem. Bo ani w opowieści tych co wracali, ani w samouwielbienie „Głosu Ameryki”, ani w czarne komentarze „Trybuny Ludu” – nie wierzyłem. Za dużo razy w moim czterdziestoletnim życiu oszukiwany byłem. Zostało mi jeszcze ze dwadzieścia lat. Co dalej? Dogorywać w tej nieszczęsnej Polsce – zaszcutej od Zachodu i Wschodu – i jeszcze od środka? Brnąć jak szkapę ze zwieszoną beznadziejnie głową, jakoś dobrnąć do końca? Zapić się na śmierć, powiesić – jak to dwóch moich bliskich uczyniło, żeby z wszechogarniającego fałszu się wyrwać? Czy jednak jeszcze raz poderwać się – spróbować – sprawdzić? A nuż można inaczej?

Wreszcie załęczniony – ale i podniecony – i zdziwiony, że jednak podniecony – w aeroplanie się znalazłem. Czy prawda to – czy prawdą być może, że ja, Michał z Taplar do legendarnego Niu Jorku lecę? Dłonią, owszem, w kierunku pomostu – gdzie kobieta moja i dziecko moje w tłumie machali – pomachałem... ale czy ja, czy tylko ręka moja dłonią machała?

A kiedy samolot ruszył, rozwibrowany, przyśpieszył, aż wcisnęło w fotel, w luku zobaczyłem, że lotniskowy beton wślizguje się pod maszynę i pode mnie, coraz prędzej – prędzej – i wreszcie obsuwać się zaczyna, a z lotniskiem trawa, drzewa, dachy – coraz niżej, dalej – raptem w gardło, oczy uderzyło. I choć moja ręka na poręczu leży, ktoś tam w środku żegna się i prawie modli. Czy was jeszcze zobaczą pola? – szepcze. – Czy wrócę do was brzozy? – kwili.

Któż roztkliwił się tak, rozmodlił, rozmazał?

Wieśniak. W Michale Wieloistym – Michał Wsiok Polak. W chacie pod lasem urodzony, ziemi, koni, kosy i wigilii świętej, i Ojczyzny – nauczony. Siedzę – a on we mnie stoi, w okienko okrągłe patrząc – salutuje. Polskę żegna, natchniony...

Ale gdy ten tak łzawi, kwili – inny już radością aż bulgocze! Nareszcie! Hej, lecimy! Za stewardesami się ogląda, napisy niepolskie rozszyfrowuje, śniadanie samolotowe analizuje, współpasażerów podgląda. – Lecę! – wrzeszczy. – Naprawdę do Ameryki słynnej lecę! Jeszcze dziś słowiańskie moje stopy po Manhattanie stąpać będą!

Ten radosny – kto taki?

Światowiec. Wędrowiec. W Michale Wieloistym – Michał Wędrus. Przeciwnik wieśniaka, krzaka tego, kartofla tego, piecucha. Wiochy się brzydzi, zasiedziałości, ojczyzny-parafiańszczyzny, słowiańskiej liryczności-ograniczoności. Raz człowiek żyje – i ma być na zawsze do jednej okolicy przywiązany? Bzdura! Do jednej żony? Bzdura! Jednej ojczyzny?... Kiedy w samej Europie ze trzydzieści ojczyzn! A doliczyć ze dwadzieścia tak pięknych ojczyzn jak Australia, Indie, Japonia. Kanada! Policzyć – wypadnie ze dwie ojczyzny do przeżycia na osobę rocznie. Wędrować, wędrować! A nie jak Burek jednej pilnować budy.

– Ojczyzna je jedna! – Michał Wieśniak na to. – Jak jeden tata rodzony i jedna rodzona mamusia.

– Wsioku – Wędrus odpowiada. – Kiedy się tak dobrze za-  
stanowić, wszystko na świecie jest jedno. Jedyne. Każda se-  
kunda.

– Jak krzak, jak drzewo w jedno miejsce wrosnąć! I korze-  
niami całą ziemię na wylot zbadać, przerosnąć! A nie ślizgać  
się po wierzchu samolotami. Widzicie? Ameryki zachciało mu  
się!

A coraz ta Ameryka, coraz bliżej. Już Morze Północne ogło-  
szone, już Atlantyk ogłoszony, już i jakoby Kanada w dole.  
Lecę. Ja i moje Michały. Kmioto-światowiec. Krzako-  
wędrowiec. Czerwone jabłuszko rozkrojone na krzyż i rockan-  
drolle, coca cola i kwasy chlebowe.

Wreszcie Nowego Jorku ogłoszenie i żeby zapiąć pasy.



Lotnisko!

Stemplowanie – walizka – WELCOME! – ty Andrzeju i Krystyna – całowanie – szukanie taksówki – słońce oślepiające, wysokie, południowe zamiast zachodzącego – jedziemy – co u Zosi – a ciocia Anka – a kolejki – A Solidarność – a to zatoka, widzisz jachty? – a to już Brooklyn – wysiadamy – winda – drzwi – trzy zamki – gorąco – włącz Andrzej kondyzynera – ty siadaj, Michał, odsapnij – napij się – zjedz – opowiadać...

Opowiadam, ale podejrzliwie patrząc. Czy ja naprawdę w Ameryce. Podejdę do okna, wyjrzę.

– Co tak patrzysz? Nie zjadłeś jeszcze.

– Samochody – mówię.

– Co samochody?

– Nie za długie?

– Nie – mówią. – Bo Ameryka. W Ameryce wszystko większe.auta większe. Sklepy większe. Ryby większe. Prędkości większe. Sukcesy większe. Nieszczęścia większe. Kotlety większe. You understand?

– Aj anderstent.

– O key. Chcesz whisky, dżinu, wódki, wina, dżusu, kolidi?

– Piwa bombę i spać.

– A, jak spać, to do mnie...

Za walizkę. I do subwayu. Objasnienie: gdzie, co, ile, którędy, plan, przesiadki. – Tu wysiadamy... – „Nassau” przeczytałem. I schodami na powierzchnię. Dziwne: New York, Brooklyn, a domki jak w Grajewie? Tylko kolory żywsze, śmielsze.

– Greenpoint – objaśniłeś. – Polska dzielnica. A tam, za Rzeką... – wzdłuż szerszej ulicy wskazałeś, czubki drapaczy zobaczyłem, jeden ukośnie ścięty – tam... Manhattan.

Manhattan!...

– Jutro dostaniesz mapy, przewodniki. Usiądziesz, zapla-

nujesz. Powłóczyś się tydzień. I do roboty. Czas tu drogi.

I rano w mapy, przewodniki... Słynne ulice, słynne nazwy. Aż ręce drżą. Broadway! Central Park! Empire State Building! East River, Hudson, Long Island, Fifth Avenue, Forty Second Street...

Statue of Liberty!

– Połknij proszek, bo nie zaśniesz...

Połknąłem. Zasnąłem. Snów żadnych. Dopóki nie zawyło, nie zaryczało pod oknami – zrywam się, siadam – alarm?! Co jest? Trzecia światowa? Do okna. Auto, na aucie migacze, napis jak w serialach amerykańskich „POLICE”.

Do łazienki. Raz dwa, bo Manhattan. Już i ogolony i zęby, i napachniony, i ubrany, w przewodniki uzbrojony, już na Nassau Stejszn. Token kupiony. Wrzucony. Peron.

Ściana – kafelki – pomazane. I coś śmierdzi... Śmierdzi? A może nie śmierdzi? Insze tu, centy, funty. To i może zapachy poprzestawiane? Jazgot – aligator GG wyłazi z tunelu. A pomazany! I w środku esy floresy, czarne, różowe, niebieskie. Murzyn nogi na rurze trzyma wysoko, żuje, czyta. Błady żuje ogłoszenia, oho, „The New York Times”. Gruby w słuchawkach stoi, stojąc podryguje, kiwa się, tańczy, sam z sobą, do odbicia w szybie. Ta hieroglify czyta, od końca ku początkowi, słupkami. Rudasek coś zielonego w słoiku wiezie, żywego, gada-cykada-owada, długopisem drażni. Murzyńsko-włosko-portorykańsko. Międzynarodowo. Językowo. No, no... Zaczęło się. Szok tu podobno może trafić.

A niech trafi. Byle ze śpiączki socjalistycznej obudził.

Queens Plaza. Tu przesiadka, po nowojorsku: transfer. Tablice, strzałki... Jest!

„Mahattan transfer”!

– Manhattan! – podrywa się, pieje Wędrus. – Ach Manhattan! Moja Częstochowa! Mój Rzym i Watykan!

Już efka nadjeżdża. Wsiadanie. Narodu gęściej – bardziej

pachnącego, droższego. I to pomieszanie, pomieszanie! Babilon.

– Metrem nowojorskim wsioku jedziesz! – dygocze Wędrus, zachwycony.

– Jezuniu... Metrem, nowojorskim! Ja – Michał z Taplar.

– Pod wodą jedziemy... East River nad nami...

– Ist Riwer? Nie wierzę. Śni się.

– Zaraz Piąta Aleja... Pola Elizejskie Ameryki. Amerykańskiej Półkuli...

– Nie wierzę, nie wierzę! Jeszcze przedwczoraj piwo w „Antału” przy Grójeckiej chłptałem...

Wysiadka.

Ale, uwaga Michały, zrobimy tak: nie patrzeć na razie na boki, ni do góry. Na noski tylko. Wyjść na tę sławną Aleję z oczyma w chodnik. I dopieroż raptem głowę zadrzeć – i jednym łykiem setę tego Niujorku stuprocentowego walnąć!

Padnę?

Już... W chodnik patrzę – a wysokości czuję. Jak? Czym? Włosami chyba. Włosy mi w górę – pionowo – ciągnie. Myśli pionowo w górę wyrywa. Co ciągnie, co wyrywa? Siła. Jakaś antygravitacyjna. Szaleństwo budowniczych tych.

Strach głowę podnieść... tyle tych legend było. Ale...

Oczy zamykam – głowę odchylam – zbieram się. I raptem te klapki oczne cyk! odmykam.

Jezuniu...

Kolana miękną...

Nie kłamali, którzy opowiadali. Jakbym pół litra zakręcił i... Usiąść, Jezuu, usiąść – póki stoję. Tam na krawężniku jeden siedzi, z adidasa wytrząsa. Siadajmy, Michały, usiądźmy, póki nie leżymy.

A jak usiąść wysokie jeszcze wyższe, dwa razy wyższe. Zbaraniały Michały. I wioskowy, i światowy. A w uszach jedno, w kółko: bogactwo! Pycha! Potynga! Bogactwo! Pycha!

Potynga! Pycha! Bogactwo! Potynga...

Ale słyszę piszczenie:

– A może to wymyślone... stereowizja jakaś? Może te auta, stada aut – jak stada bawołów w westernach – może na niby? A położyć się w poprzek – niech najadą, przejadą – dopiero jak zaboli, chrupnie – dopiero im uwierzyć? Albo czołem tryknąć w mur tego bildingu – nuż to dekoracja? Może ktoś z propagandy nowojorskiej idzie przede mną i przybyszowi z komunistycznego kraju specjalny film puszcza? No bo po co kto by stawiał aż takie budyniszcza, Jezu! Potynga! Pycha! Bogactwo... Szyja już boli, idźmy Michały w tłum. Pierwsze kroki...

Ołów w butach. Przytłoczenie. I zmniejszenie. Pomniejszenie... Że ogromy. Że miliony. Że miliardy. Że narodu. Że wszystkiego. Że kaniony. Colorado. I że ziarnko. Piasku. Ja. Kłaść się. Umrzeć... Niechaj wchłonie. I rozpuści. Lepiej było...

nie przyjeżdżać,  
siedzieć w domu,  
w piasek głowę,  
w dupę piórko  
i odgrywać krakowiaka  
Ci ja, ci ja, dylu, dylu...  
Za potężnie. Za bogato.

Oj, ochłonać... Gdzie chusteczka. Z samolotu. W torbie. Jest. Niech orzeźwi. Przetrzeć czoło. Uff...

A Światowiec: – Na Broadway!

A Wsiok: – O Jezu, parku jakiego skwerczek... Usiąść! Wydychać się. Ciężko, oj ciężko ja przestraszony...

A Światowiec: – Dychać, prychać, kiedy o, tam, Broadway?

A Wsiok: – Dosyć! Starczy! A na co, a po co mi siebie rozjątrzać? Im więcej zobaczę, tym więcej mi potem w ojczyźnie szarzyźnie brakować będzie!

– Głowę w piasek?

– A w piasek, cholera, i to głęboko, gdzieś koło chaty! I tak nie dościgniemy już tego. Ścieżka w bok my... trudno, trawa niechaj nas porośnie.

– Nie, Michały – przywołuję obydwu ja, Wieloisty. – Odlóżmy stare noże i widelce, nie będziemy smakować Niu-jorku ani po warszawsku, ani taplarsku. Ot, spokojnie patrzeć, panowie. Bez zazdrości i żalu, panowie. Ani wrogo, ani nabożnie. Okiem patrzeć ani czerwonym, ani anty czerwony mi. Spokojniusio. Życzliwie. Patrzeć. Słuchać. Wchłaniać. Smakować. Wstąpmy zatem w tę puszczy ludzką, Michały. Ach, las ludzki. Puszcza. Miasto.

Stąpamy, chodzimy, Michały – po Manhattanie sławnym, Piątą przesławną, Czterdziestą Drugą osławioną, tam i sam, i z powrotem, tamtędy i owędy, gdzie nas niesie tłum... Nogi! Tyłki! Piersi! Włosy! Zęby! Szminka! Bransolety! Zieleń! Bordo! Żółto! Modro! Czarno! Auta! Krzyki! Gwizdy! Oczy! Zęby! Jubileria! Sklepy! Piętra! Nogi! Buty! Ręce! Usta! Ananasy! Tłumek! Tańczą! Trąbka! Pijak! Goła! Lody! Dezydory! Hotel! Honda! Central Park! Ogród w hallu! Nawiedzona, włos rozwiany, koniec świata! Radio City... Wodotryski... Warkoczyki! Helikopter! Salon gier...

Sex-światlica...

Surrealizm.

Sklepy, sklepy, sklepy, sklepy... I wszystkiego dużo razy za dużo. Jak magnetofony – to aż magnetomania... Jak kawa – pół hektara półek z kawą. Jak chleby – to kwadrans wybierania i aż męka decydowania się. Jak piwo – to w kilkunastu językach – w buteleczkach, butelczynach, butelkach, butlach – w beczułkach, beczkach, baryłkach – puszkach, pudełkach, po cztery, sześć, osiem stoszesćdziesiątosiem... Jak szampony – to gatunków tyle, że choć się obiecywało sobie spokój nieantysocjalistyczny – spienić się, cholera można! Że tu tak dużo, a tam w kraju zdesperowanym, zaszczutym od Wschodu, Zachodu i ze

środku, musiałem, dla dziecka, po bazarach latać, bo w sklepach nie wiesz kiedy, gdzie – i to jakikolwiek. A tu szampon dla kotów, dla psów, och furwa te nasze sklepy... Masarnie bezmięsne. Magazyny antyhandlowe. Domy towarowe – beztowarowe. Stacje benzynowe – bezbenzynowe. Jezu!

A kiedy trafiłem do Macy's – i zobaczyłem te hektary stoisk, witryn, półek, z osiem pięter hektarów towaru wszelkiego, w tym rzeczy niewyobrażalne, posmutniałem. Gorzej: gorycz mnie dopadła. I zaraz oburzenie.

Oto pojaśniało mi, czemu tam, w kraju, puste półki, nagie haki...

Bo przechwytyją. Gdzieś, jakoś, ale – przechwytyją. Amerykanie. Ja to serio.

Przechwytyją oczywiście nie naruszając prawa. Ludzkiego. Są w porządku – i formalnie, i moralnie. Oni. Ale... On? Pan Bóg?

...I tak, Andrzej, chodziłem, dumając. Patrzyłem. Cały dzień łągowania – wrócić – wyspać się – wstać – dojechać – łązić – wrócić... Ty z nocnej roboty przychodziłeś, ja już spałem. Do dziennej wychodziłeś, ja jeszcze spałem. Nie widzieliśmy się sześć dni, choć nasze posłania dotykały piętami.

A w niedzielę rano:

– Chodź do kościoła. Po mszy giełda na rogach – może coś ktoś o robocie wie. Tydzień minął. Popatrzyłeś, wybuliłeś. Zarobić spróbuj. Czas!

– O jakiej robocie myślisz?

– Jakiegokolwiek. Byle płacili.

– No nie...

– Ja nawet płaczkiem pogrzebowym byłem...

– Płaczkiem?

– Szukałem roboty, ktoś powiedział, że do domu pogrzebowego potrzebują płaczka. Poszedłem. Z dziesięciu chętnych już czekało. A miejsce jedno... Najpierw pooglądali. Kto ma

twarz najsmutniejszą. Czterech nas zostawili, też smutne gęby mieli, bo długo bez roboty. Potem kazali płakać. No i... wygrałem.

– Taki aktor z ciebie?

– Ja sposobem. Jak powiedzieli płakać – pomyślałem o mojej Hani... o dzieciach, tam, w Polsce. A zaraz po ogłoszeniu stanu wojennego było... Co z nimi? Tak się rozpląkałem, że nie mogli powstrzymać. Czy pracowałem? Raz... Dali czarną marynarkę, spodnie. Wbiegam, jak przykazali, podchodzę, prędko, do trumny – że niby przyjaciel nieboszczyka, w ostatniej chwili, z drogi, że strasznie płacze, bo tak kochał... Wymyślone, żeby rodzinie przyjemniej było – że umarłak miał przyjaciół. Ale... natężam się i...

– I?

– Nic. Ani łezki.

– Trzeba było pomyśleć!

– Pomyślałem. Ale już przyszła z kraju wiadomość, że z rodziną w porządku... Taak... No więc jak, Michał? Idziemy pod kościół? Najlepiej: klinowanie. Sprzątanie, znaczy. Albo: demolejszen. Czyli rozbiórka domów. Może do malowania się załapiesz. Albo zmywania. Nie słyszeliście, chłopcy?

Stefan: – Wiktor niedługo przechodzi na handymena. Odstąpiłby zmywanie na Queensie. Miałbyś trzy i pół na godzinę, od trzeciej do trzeciej w nocy. I to siedem dni w tygodniu, na okrągło!

– Siedemdziesiąt godzin tygodniowo!

– Prawie dwieście pięćdziesiąt zielonych! Keszem!

– Pośpisz od czwartej do ósmej i dzień twój, aż do drugiej po południu. Zwiedzasz, chodzisz, uczysz się języka!

Ja: – Nie.

– Odlicz stówę na utrzymanie. Odkładasz pięćset, sześćset miesięcznie. Kwartał i masz malucha. Nie wspaniale?

Ja: – Ale...

– Zmywanie, panie pisarz, nie jest hańbą. Trzeba tu zapomnieć, kim się w kraju było. Zapominają lekarze. Inżynierowie. Ja z dyrektorem maluję.

– Ja z sekretarzem kopalni. Wiktor z jakimś profesorem zmywa.

Ja: – Nie o ciężko, nie o brudno, nie o śmierdzi mi idzie. Jak większość Polaków, swoje kroki ze wsi wiodę. A kto ze wsi, trudno żeby nie tyrał, albo żeby rąk w gnoju, błocie, piachu nie brudził. Panowie... Wzruszony jestem, że chcecie mi pomóc. Ale ja pisarz jestem. Ludzie mnie znają. Inaczej patrzą. Nie tylko mnie – im też przykro będzie, że tak się dla dolara poniżam. Reprezentant kraju jestem.

– A Lotomski? Też reprezentant! Pół telewizji było jego... O jego tryumfach w Stanach i Kanadzie czytałem w Ekspresie. Przyjeżdżam: a on tu pod kościołem o robotę wypytuje. Zygmunt był na plaży, opowiadał: Takie rowy ma na udach, w poprzek

– Ha, ha, ha!

– He, he, he, he!

– Jakie rowy?

– Od zmywania.

– Jak to?

– No, od opierania się o zlew, udami...

– Sam mu, he, he, he, piwo w „Continentalu” stawiałem.

Ja: – Właśnie...

– Co „właśnie”?

– Nie chcę, żeby się ze mnie tak śmiano. Nie chcę, żeby potem inni swoje poniżenie usprawiedliwiali, że Wieloisty, ten od „Dolorado”, Michał, też kiblował.

Ty, wtedy, zdenerwowany: – Zaraz, zaraz... Chcesz tu wczasować? To po co ja ci Michał, kurczę, zaproszenie słałem? Chciałem ci pomóc... żebyś budżet dolarami podreperował, a ty? Jakieś tego, kurwa, nieporozumienie, Michał!



Ja: – Panowie... Nie mogę. Bardzo bym chciał pobyc w Ameryce dłużej. Kraj cholernie ciekawy. Miasto fascynujące. Ale, panowie, godność mi nie pozwala. Osobista. I duma. Narodowa. Nie wezmę na siebie takiego upokorzenia.

- Zaraz... jak to?
- Godność? Duma?
- A ja?
- A my?
- A my co, kurcze, myślisz my bez honoru?
- Duma?

Ja: – Panowie, wybaczcie, ja o swojej godności – nie z zarozumialstwa... Ale – że ta... reprezentacja. Polski reprezentacja.

- Przepraszam cię, Michał, ale... której... Polski?
- Bo są dwie Polski...
- Jedna z czerwonymi sztandarami i Międzynarodówką...
- ... i z trzydziestoma miliardami zadłużenia.
- I druga: prawdziwa. Ta wewnętrzna. Prywatna. Rodzinna. Domowa...
- Polska Polaków takich, jakimi są!
- Polaków Piłsudskiego! Polaków Matki Częstochowskiej! Polaków Jana Pawła Drugiego! Polaków Wałęsy!
- Którzy chcą Polski takiej, jacy sami są! A nie Polski wydumanej! Broszurowej!
- No to której Polski jesteś, Michał, pisarzem? Tej fasadowej? Czy tej prawdziwej?
- Czytaliście moje książki... Osądźcie.
- Książki książkami...
- Po co ty właściwie przyjechałeś? Podglądać? Amerykę? Polonię? Nas? Opisać? Wyszycić może?
- Przyjechałem na własne oczy zobaczyć Amerykę, bo nikomu nie wierzę. Jaka jest. I co dalej będzie ze światem.
- Tere fere... Powiedziałeś: ponizamy się. Upokarzamy. A jakie zarabianie nie upokarzałoby tutaj?

– Że ty inżynier, inżynierujesz. I zarabiasz jak amerykański inżynier. Że ty, historyk – pracujesz jako historyk. A ja pisarz, piszę. Nie jestem przecie pętał. Już swoją stromą wspinaczkę, swoje frycowe odbyłem.

– Zaraz, panie pisarz. Myślisz, że ja, historyk, nie wolałbym historiozofować, a nawet zmywać, malować, sprzątać – w Polsce rodzonej? Niż tu, dla obcych? Zastanów się człowieku, kto upadł? Ja tak nisko upadłem, czy – złotówka?

– Kto ją, kurwa, tak rozłożył, że Polak musi po zagranicach szukać chleba i mięsa – jak za caratu? Ja? Czy oni, czerwoni? Wysłuchali z raz, dranie, mojego głosu? Okastrowali mnie z najmniejszego wpływu na cokolwiek. Przywłaszczyli wszystkie decyzje. Wolę i mądrość narodu mieli za psie gówna. Zblamowali się – i teraz sobie przypomnieli... zapraszają. Ale do świecenia gałami, do dźwigania blamażu zapraszają. Bo nie do współrządzenia. O nie, panowie sekretarze! Jestem Polakiem – ale nie waszym! Jesteście Polską – ale nie moją. I Andrzej, i Stefan, i... i dziewięćdziesiąt procent narodu tak myśli.

– To nie Amerykanie – to czerwoni nas tak poniżają. Przez nich tak dziadujemy.

– No to jak, Michał? Idziemy pod kościół? A nuż ktoś wie o robocie...

– Nie, Andrzeju. Nie pójdę.

– Znaczą: pana turystę przyjechałeś tu grać? Pisarza niezależnego? Dobrze. Ale odtąd radź sobie sam. Dumnie, niezależnie. Aha: łóżko, na którym śpisz i materac kosztowały mnie pół dnia upokorzenia. Dwadzieścia dolarów. A stół, chłopcy? Krzesło? A garnki, czajnik, telewizor, radio, telefon? Przecież używa. Ile kosztowały nas poniżenia? Jeśli cię stać na dumę, dobrze, płąć. Nas bardzo boli, Michał, sprzedawać dumę. Ile zamierzasz być?

– Sześć tygodni.

– No to, chłopcy, myślę, że czterdzieści dwa dolary za te

sprzęty, drobiazgi – nie będzie za dużo. Bo niechby spróbował kupić sobie to wszystko po kolei: czajnik, łyżkę, telewizor, poduszkę, koce.

– Czterdzieści dwa, plus, oczywiście, udział w czynszu, opłatach za gaz, światło, telefon... Oczywiście, herbatę, sól, cukier, pieprz i tak dalej, od dziś kupujesz sobie sam. Ameryka. Nikt tu niczego żadnemu z nas nie dał za darmo. Lodówkę przynieśliśmy z ulicy, wyrzuconą. Kosztowało to nas godzinę wstydu – Portorycy kpili, kiedy braliśmy ją, kiedy nieśliśmy. Tak, upokorzenie jest ciężką ceną...

Powiesz, Andrzej, że nie przypominasz sobie takiej kłótni, takiego rozliczenia. Zgoda. Ale ono się odbyło. W mojej wyobraźni. A wyczuwałem, że się odbywa także w twojej głowie i w głowach Zbyszka i Stefana...

„Czy on aż taki bogaty, żeby płacić w Niu Jorku dolarami w Polsce zarobionymi? Elegancki obiad na dwie osoby w Warszawie – za litr mleka w Nowym Jorku oddawać? Przejazd ekspresem z Krakowa do Gdańska – za byle kurs subwayem? Za jeden brooklyński bochenek chleba – w Polsce kupiłby na cały rok chleba, pięćdziesiąt takich samych bochenków! O co mu idzie? Rozrzutnik, czy – desperat?

Tak, Andrzej, tak było. Wdzięczny jestem wam – Tobie, Stefanowi, Zbyszkowi – za zrozumienie tego. Chciałem zobaczyć Amerykę – jaka jest. Co dalej będzie ze światem, czy można na nią liczyć. Udaje awangardę świata – czy nią jest. I nie naukowe miałem zamiary, nie poetyczne, nie strategiczne. Ja nie Chrystus, nie Napoleon, nie Majakowski. Prywatnie mi odpowiedź była potrzebna – prywatnie zabrakło mi sensu i nadziei wśród wszechogarniającego fałszu...

I oto – do dziś nie umiem wytłumaczyć dlaczego – z półmartwych wstałem. Otworzyły mi się czarne okna w beznaocznych ścianach. Życ mi się znowu zachciało!

Trzydzieści, czterdzieści kilometrów dziennie!

Wszystkie strity, wszystkie aleje, po obydwu stronach przedeptać – nie zmarnować do odlotu, nie przegapić ani dnia! Patrzenie oczu, słuchanie uszy, zapamiętaj głowo! Tam, w Warszawie, przemyślmy ten nowojorski bazar fascynujący, poukładany w komórkach! I swoje kolumbowe odkrycie nadziei opowiemy współdesperatom...

Więc co dzień od rana w Manhattan jak w las na jagody! Ech puszcza ludzka! Dżungla miejska! Te drzewa – chodzące, krzaki – gadające, kamienie – handlujące! Oni dla mnie, ja dla nich krzak-drzewo-kamień, kawałeczek tej puszczy... Czyż ten las ludzki nie gęstszy, nie bujniejszy od lasu leśnego? Jakiż sentymentalny byłem – z lasu ludzkiego do lasu leśnego tyle razy uciekając. Między wieś i miasto podzielony – w jednym cieple i wsioku, i mieszczur – usiłowałem w wiejskich odludziach przekonać miejską połowę samego siebie o wyższości dumania w brzezynie nad gadaniną w kawiarni. O przewadze młocarni nad maszyną do pisania. Że podglądanie jaskółek szlachetniejsze i bardziej wtajemnicza niż podglądanie lotniska. Ech, wsioku, wsioku... Ile razy porywał mnie ze śródmieścia do leśniczówek nadjeziornych, do chaty taplarskiej, do Pani Jelskiej nad puszczańską Supraślą. Ale mijał tydzień, dwa i Wędrowiec zrywał mnie nagle, choćby w środku nocy, plecak łapu-capu pakował i gnał po ciemku na stację. Do miasta, do tłumu, do sklepowych kolejek, rozgrzanego asfaltu, samochodowego zgiełku. I jakiż szczęśliwy znowu byłem... Co ono, miasto w sobie ma – jaką magię, poezję, alkohol jaki – że miliony, miliardy wsioków na świecie porzucają jak ja swoją chatę pod lasem, swoją miejscinę nad rzeczka? Ach, zrozumieć miasto! Wzór na elektryczność tłumu znaleźć... nauczyć się miasta! Manhattan... Czy nie za wcześniej? Z drugiej – trzeciej klasy gimnazjum Warszawa, po tygodniowych kursach Budapesztu, Moskwy, Paryża – znalazłem się raptem na najwyższym – nowojorskim – Uniwersytecie. Prawie nie umięjąc

mówić. I to na Wydziale Manhattan!

Do domu: umyć się, wyspać.

Sen: z ojcem siano wieziemy, na furze leżymy. Z północy jedziemy. Jednak nie z naszej dugnielskiej łąki, ale – z Central Parku. I nie dugnielską wyboistą drogą, ale... Piątą Aleją. Aleja na przestrzał pusta, ni auta, ni człowieka. Ma się ku zachodowi. Siwka poparskuje, kopyta stukoczą. A my, leżąc, na wierchy buldingów popatrujemy. Katedrę świętego Patryka jak krzyż w brzezince mijamy. Wreszcie w prawo, do Empire State Buildingu, jak do stodoły, skręcamy... Co za sen? Dlaczego akurat w nowojorskim łóżku tamten biegun mojego życia – taplarski, wiejski, prawiejski, już prawie zapomniany, prawie zasypany – odzywa się i nęka? O co idzie? Boję się? Za daleko wypuściłem się – i coś mi o korzeniach, chacie, bazie przypomina nocą?

I znówu: ogolić się – mleko, chleb, kanapka – i do metra, na Manhattan! Od Battery do Central, od rzeki Hudson do East River, prosto, na ukos, łamańcami, za żebrakiem, za pijakami, za afrykańską księżniczką, za kowbojem, za punkami, za turystami z KDL... Grand Central Station... Bus Terminal... Bary... Księgarnie... Central Park... Ani razu w muzeum, ani razu w teatrze... Tylko widowisko ulicy. Ach, Czterdziesta Druga! Czternasta! Gapienie się na ludzi i zdumienie ludźmi. Ludzką różnorodnością. Po latach socjalistycznej monotonii, nudy, glajchszaltowania. Cudactwa, bogactwa, pomysły, wymysły, fantazja! Śnię-nie-śnie... Jawa-nie-jawa... Nierzeczywistość–rzeczywistość. Z wolna przywykam, przestaję się dziwić. Tu wszystko może się zdarzyć.

Aż...

Z Bronxu wracałem – za twoją radą zobaczyłem kawałek innego niż Manhattan Niuujorku. Dla kontrastu. Dzielnicę pęsną, biedną, porujnowaną. Pusto było w wagonie. Wtem... huk! łomotnięcie w ławę! przy moim udzie! Oczy znad słow-

nika podnoszę: Murzyn stoi przede mną, wysoki, sympatyczny, lat dwadzieścia parę. Student, pomyślałem. Uśmiechnięty – ale jakby i trochę wyszczerzony. Co przedstawi, co zaimprovizuje – oni, czarni, tacy spontaniczni... idzie taki ulicą, kołysze się, śmieje do nieznajomych, tańczy do przechodniów, do samochodów, do Pana Boga... jakże inna ta radość od naszego słowiańskiego smętu, polskiego przygnębienia, socjalistycznego zahukania. A ten? Co ten wymyślił? Po co ręce z maczugą wzniosł do góry? A skąd ci się wzięli – szczęściu – a jeszcze przed chwilą pusto było? Ten naprzeciwko dłoń trzyma pod bluzą – w kryminałach tak ukrywają nóż, albo rewolwer. Aha, film tu jest kręcony, jasne. Tylko... gdzie kamera? I czemu sympatyczniak maczugą tak kiwa, jakby w ciemność miał mnie walnąć i „many, many” powtarza? Ech, ta nowojorska rzeczywistość-nierzeczywistość, jawa-niejawa... Napad? Na mnie? E, niemożliwe. Siedzę przed telewizorem i film oglądam, film z moim udziałem...

Przy Nassau wysiadłem, stragan zobaczyłem, jabłko mnie skusiło. Kupiłem, gryzę... do jednej kieszeni sięgam, drugiej, zapłacić. Co jest? Nie mam? Tak! Tylko parę przypadkowych centów. Jak to? Więc... naprawdę? Nie był to film? Obrabowali?

Tak. Pierwszy raz w życiu – najzwyczajniej – siłą – zostałem „obrabowany. W dwudziestopierwszowiecznym Nowym Jorku – jaskiniową maczugą...

Coś jak uderzenie prądem przeleciało po grzbiecie. Powiniennem mieć w domu pięć dolarów. Odlot za dwa tygodnie.

Pięć dolarów – na dwa tygodnie...

Albo niezwłocznie wyjeżdżać. Albo – do roboty.

I od razu, jak ostrzeżenie: na rogu Nassau i McGuinness kogo widzę?

„Zaszczuty”? Tak, Zaszczuty. Ale... co się stało?

Zawsze nie ogolony, bo nie miał na żyłетки, pomięty od spa-

nia na ławkach, cuchnący od niemycia się – teraz w białej koszulce z letnimi rękawkami, w popielatych odprasowanych spodniach, w granatowych adidasach? Jeszcze kilka dni temu zdesperowany, nieprzytomny... Nie poznawał ludzi, mnie zaczynał parę razy dziennie. „Wie może pan o jakiejś pracy? Cokolwiek!” Od agencji, do agencji, od człowieka do człowieka, od słupa z ogłoszeniami do słupa. Coraz bardziej spanikowany, zaszczuty. Trząśł się. Rozsypywał. Chudy nie był – pewno podjadał ze śmietników. Nie mógł zacząć się. Inni też przyjeżdżali bez angielskiego, w ciemno, ze stu dolarami. Ale tydzień, dwa – i zaczęli zarabiać. Ten niesympatyczną miał facjatę. Coś ze szurka, zawistnika, donosiciela. Żal było patrzeć: kończył się. Tylko że gdy inni Polacy staczający się chlali – ten kończył się na trzeźwo.

I oto stoi wystrojony, na krawężniku i starannie celując wymiotuje w ściekową kratkę. Obficie. Długo... Jakby całej dzielnicy, Greenpointowi całemu, wszystkim Polakom, Włochom, Hiszpanom ogłaszał: Widzicie ile zjadłem? Ile wypilem? Dżusem, panowie, zapijałem, widzicie? Dwie kwarty dżusu machnąłem! Już pracuję, panowie! Zarabiam!

W domu sprawdziłem bluzę... jest ten banknot?!

Był...

Położyłem się.

Spod listwy wylazł na ścianę kakaroc. Chyba kuzyn naszego karalucha? Klapnąłem kapciem – umknął. Cieńszy od naszego insekta, inteligentniejszy. Nowojorczyk. Wielkowiejska mutacja...

W telewizorze Godzilla contra Godzilla. Potwory rozdeptują miasto jak mrowisko, mociją się... King Kong wkracza, ryczy, wieżowiec w łapska jak kamień chwyta, zaraz zgniecie Godzillę, szczyty emocji, wtem bęc... Reklamówka! Rodzina ciasto napoczyna, napięty chłopczyna, podniecona dziewczyna, ma ma kroi, tata się boi – już ujmują, już próbują, Boże, czy będzie

aby smaczne... Ugrzyziono, oczy wzniesiono, stop: analizowanie – jaki wynik?! – straszna chwila... i... Zwycięstwo! Świat uratowany, wiwat Ameryka, wiwat wszystkie stany! Rodzinka zajada, spiker gada, firma, adresy, ceny – i znowu Godzilla, King Kong atakuje, bzdurę potęguje... u mnie w głowie zamęt! Jaka jest ta Ameryka? Infantylny filmy, wariackie reklamy, jaskiniowe napady, pornograficzne sklepy, flagi, parady – żart i patos jednocześnie i... I jakoś to wszystko się kręci. I to kręci się – znakomicie! Bogato, bujnie, radośnie – i wydajnie...

Wieśniak się odezwał: – Harują... Pięć, sześć, siedem, osiem dni w tygodniu harują. Po osiem, dziesięć, dwanaście, czternaście godzin. Zobacz, Wędrusie, ile tu pomyłonych – na ulicach, w metrze... Wysilek tu straszny. Korki wysiadają od napięcia. Wracajmy. Czym prędzej. Tam biedniej, skromniej. Ale i spokojniej. Nie tak ciężko. Nie tak prędko. Czasu na gadanie więcej. Na czytanie. Myślenie...

A Wędrus: W kontynent pojechać! San Francisco zobaczyć! Grand Canion! Niagarę! Chicago! Atlantic City! Florydę...

– Dolar, dolar, wszędzie dolar!

– Bo to taki cudowny groszek... Kto ma ten cudowny groszek, może mieć co zechce...

– Ważniejsze umiar, asceza, Wędrusie. Skupienie...

– Boisz się, Wieśniaku. Boisz się ruszyć w tę puszcę kapitalistyczną. W nieznane. W przygodę. Na swój zagonek byś wrócił, do swojej chatki, Słowianinie.

– Tak... – szepnął Wieśniak. – Boję się. Kraj to piękny. Ale... brutalny. Poker. Boks. Wrestling. A ja łagodny. A ja oszukiwać, a ja okradać nie chcę. Na pracownika ja stworzony. Nie na bankiera. Nie na gangstera... Wracajmy. Jutro do biura lotniczego idźmy, bilet o dwa tygodnie przestemplujmy, wracajmy. Do Stasia, Wandy. Tam nie tak straszno, nie tak biednie jak Amerykanie tu w swoich gazetach malują...

Zasnąłem.



Obudziłem się po północy – mokry od potu.

Śniło się, że tam w metrze błysnęły noże. I kiedy cofałem się, sympatyczniak rąbnął mnie w tył głowy maczugą. Noc. Jazgotały syreny, różnorakimi sygnałami pogotowia. Podszedłem do okna... Na tyle alarmu żeby choć łuna. Albo pobojo-wisko, trupy. Godzilla żeby... A to spotkały się na skrzyżowa-niu ambulanse – policyjny, strażacki, medyczny... chłopaki pozdrowili się wyjącami krowami jak gwizdkami – pobawili się w środku nocy, rozjechali się, ucichło.

Ucichło, a cisza zapadła nie zerowa, ale aż ujemna. Aż wa-sze sny było prawie słycać. Wasze sapanie, westchnienia, sieknięcia uderzyły jak przez wzmacniacz.

Zbyszek błagał – zawodził – łkał. Krzyknął – krzyk uwiązł mu w gardle, zagulgotał, zakończył się jękiem dorzynanego byka. Ty biłeś dłonią w ścianę, widziałem w półmroku: buch! pięścią w gips ściany, stęknięcie... Buch! stęknięcie... zawzięte, ze zgrzytaniem zębów. Dobijałeś kogoś, jakiegoś nowojorskie-go poniżyciela pięścią? Akcentowałeś przysięgę straszliwą? Przebijałeś się przez mur fatalny?

Tylko Stefan spał bezgłośnie, tak cicho jakby go nie było. Taki zmęczony? Taki zrezygowany? Czy tak zacząjony, że aż bez oddychania? Jak prześcieradło...

Groza! Grozą wionęło, piekłem! Ten greenpoincki półmrok aż wibrował utajoną zaciekłością – i krzywdą. Wysiłkiem i cierpieniem. Dumą, upokorzeniem – i żądzą odwetu.

Przylgnałem do wyra. Boże – kto nas tak poniżył? Amery-ka? Czy ludowa Polska? Co sprawiło, że niebiedni, wykształ-ceni, czterdziestoletni mężowie i ojcowie, po polsku hardzi i dumni, przyjmujemy twoje warunki, Ameryko? Ostatniorzędną pracę, niewolnicze stawki? Czego nam – mającym jakie takie mieszkania, a nawet samochody, nieciężką pracę, wczas, szkoły, lekarzy – czego nam aż tak w Polsce brakuje, że oto jeden przez sen kaleczy knykcie o gips amerykański. Drugi łka

– modli się – jęczy poprzez podwójne piguły nasenne. Trzeci rozplaszczyl się na podłodze jak prześcieradło. Jeszcze jeden w środku nocy na wyrze siedzi i usiłuje powiązać dwie strony nowojorskiego medalu: Bronx i Manhattan... Superpostęp i degrengoladę... A jeszcze inni, którym się noga powinęła, woła wyjadać ze śmietników resztki, okradać przechodniów, znieczulać hańbę alkoholem – w fatalnym parku między Lorimer i Bedford... niż wracać do kraju.

Czym nas uwodzisz, Ameryko, że wolimy być pariasami u ciebie niż Polakami w Polsce? Czym? Dolarami? Że cudotwórcze one, wszystkodajne? Czym jeszcze? Tym, że można tu żyć naprawdę? Że kto leń, może żyć leniwie, kto łakomy – łakomie, kto bujny – bujnie, kto genialny – genialnie?

Chyba tym... Tym, że i cierpi się tu, i raduje intensywniej. Powietrze tu jakieś gęstsze. Intensywniejsze kolory, słowa, gesty, okrzyki, muzyka. Stawki nieograniczone. Rywalizacja wszechogarniająca... Za ścianami twoich kolorowych domków i szklanymi ścianami drapacza chrzęści mordercza walka. I w sklepikach, fabrykach, uczelniach, redakcjach też. Przepychanka w górę, bezwzględna. Walka na inteligencję. Urodę. Seks. Mięśnie. Pigułki wzmacniające. Tabletki nasenne. Na subtelność i brutalność. Pozory i noże. Na reklamy. Na mafie. Talenty do żyłowania słabszych ludzi i słabszych – narodów...

A ja... Przecież te książki, filmy, opowieści o Ameryce brałem ja dotychczas za bajdy. Nawet Grona gniewu, nawet Śmierć komiwojażera przyjmowałem jak baśnie Amerykanów o Amerykanach. Ojca Chrzestnego, Pogodę dla bogaczy, kryminały, westerny oglądałem jako stylizacje artystyczne. W rodzaju Myszki Micky. A więc z przymrużeniem oka, z gderaniem konesera. Od strony „konsekwencji konwencji” ... Jak radzieckie filmy o bohaterach pracy socjalistycznej. Czy japońskie Godzilla.

A tu się okazuje, że te wasze przypowieści o gangsterach,

kowbojach, bokserach, bankierach, karierach, upadkach, brutalności, nędzy, luksusach, robotach, drapaczach, kanionach, preriach – nie są wcale upiększającym zmyśleniem, megalomańską legendą. Są najczystszy realizmem! Ty Ameryko naprawdę taka jesteś! I piękna i brutalna. Dwudziestodwuwieczna – i jaskiniowa...

Tylko przyjechałem, pamiętam, powiedziałeś Andrzej: To kraj dla ludzi twardych. A innym razem dodałeś: Dla twardych piękny. Dla mięczaków – straszny.

Pamiętam, nie całkiem zgodziłem się z tobą. Tu twardym być, to za mało. Właśnie Polaków słabością największą, że są po polsku honorowo twardzi. I dlatego niewiele osiągają. A jeśli poniektórzy trochę więcej, to harówką. Najczęściej – fizyczną. Bo tu nie twardym ani miękkim, ale – giętkim być trzeba. Polska twardość – to wieśniacza twardość. Nieruchawa twardość kamienia. Albo krucha szlachecka twardość przehartowanej stali. Tak, tak, Wsioku. Giętkość tu się liczy.

– Giętkość, hehe, aż cię porozginają i pozaginają po swojemu...

– Nie! Sprężysta giętkość. Sztuka giętkości. Nie słyszałeś o nowym cudownym stopie? Kształtka z takiego materiału – druciana, blaszana – jakkolwiek ją będziesz wyginał, przeinaczał – wróci do swego pierwotnego kształtu po wielu minutach, a nawet – godzinach... Takie „być sobą” w mieście jest konieczne, taka wierność sobie, taka twardość...

Żydzisz to mają. Japończycy. Chińczycy. Włosi. Hiszpanie. Grecy. Arabowie. Nawet Murzyni. Wszystkie narody, rasy, plemiona – rozwędrowane. Spośród Słowian, może Czesi. Polacy – nie. Nie jesteśmy narodem miejskim. I dlatego w Nowym Jorku nie liczymy się. Jesteśmy z innej epoki. Której na imię Wiocha.

Naprawdę, Andrzej. Czy o szóstej rano sygnaturka przy kościele na Driggsie nie dzwoni lirycznie – jak kiedyś w ma-

zowieckich parafiach? Do pracy, Polacy. Przeżegnać się. Paciorek zmówić... Gdzie jestem? W Nowym Jorku? Czy w Polsce, gdzieś nad Narwią... Czarną Hańczę? Nie! W jakimś polskim skansenie jestem! Nad Narwią, nad Hańczę już dawno nie dzwonią do pracy, nie żegnają się, nie mówią paciorka...

Czy zauważyłeś Andrzej, jak dobrze czuje się Kościół wśród rodaków? Polaków-wieśniaków? A wieśniacy – jak dobrze się czują w kościele? Ta sama pryncypialność... tradycyjność... twardość... sztywność... ograniczoność. Kto od kogo ją u nas wzięł: wiocha z katolicyzmu, czy katolicyzm z wiochy? Polak – skrzyżowanie wieśniaka z katolicyzmem. Unikalne. Jedyne na świecie. Tak, szczepiły się ze sobą te dwie ograniczoności – i już się nie rozczepią... razem z urbanizacją Kościół wjechał na karkach chłopskich wychodźców do miast... i nasze miasta są wiejskie... i będą już wiejskie... katolicyzm na wiejskości żyje i świetnie wiejskość konserwuje. Oto i na Greenpoincie Kościół pilnuje, żeby Polacy nie stali się Amerykanami – żeby wieśniakami pozostali nawet w najbardziej miejskim mieście świata. Nawet jeśli w dzinsach, w krążownikach, przed ekranami wideo – niech chata, dworek i paciorek będą im programem. A spod ołtarza patrząc każdy biznes grzechem jest. Zwłaszcza błyskotliwy. Moralna jest tylko harówka, Polacy! Zwłaszcza fizyczna. Zwłaszcza frajerska. Tak, wół i osieł mogą być pewni zbawienia. Lis – nie.

– Ulżyłeś sobie Michałku Wędrowcu? Światowcu ty nieopierzony?

– A ulżyłem, Wsioku Michałku, wieczny ty synku. Ty boisz się wędrowania – samodzielności – wolności – dorosłości. Ty musisz być przywiązany do czegoś. Jak do budy. Do kawałka swej ziemi pod stopami. Do okolicy rodzonej. Do dzielnicy. Do adresu stałego. Zawodu stałego. Pracy stałej. Ojczyzny stałej. Powłóczyłeś się trochę i już ci tęskno pod spódnicę Mamy Ojczyzny, syneczku...

...Ubrałem się i z pięcioma dolarami wyszedłem na Nassau Avenue. Jedna z trzech głównych ulic polskich w Nowym Jorku. Sklepy, sklepiki, stragany, agencje. Polska mowa, polskie twarze... Krateczka ściekowa – jeszcze z żółtym, po dżucie, zaciekiem... Ciekawe, co z odszczutym-Zaszczutym? Da radę? Startuje, jak startują prawie wszyscy. Jak startowali też sto lat temu dziadkowie kilkudziesięciu czy kilkuset Amerykanów, którym się udało z chaty, dworka i paciorka wyrosnąć i są dziś senatorami, milionerami, profesorami. Odważy się Zaszczuty wypłynąć w amerykańskie morze – czy uwije gniazdko pod sygnaturką na Greenpoincie?

A ja...?

Jadę do biura LOT-u przyśpieszyć wyjazd o dwa tygodnie. Wyjeżdżam. Z dumy jakoby. Że nie będę poniżał się gastarbeiterką drugorzędnością.

Oho, plakat „Solidarności” nad półkami. Jan Paweł Drugi. Orzeł w koronie. Biało-czerwone proporczyki... Chińczyk – parę miesięcy temu sklep ponoć otworzył. A już wie jak zważyć i mamić Polaków. Zuch. Czy Polak otworzyłby sklep w chińskiej dzielnicy – uczyłby się chińskiego i rozgrywał chińskie symbole?

Znowu biało-czerwona chorągiewka. Za inną szybko. Aha, Polacy.

Właściwie... co oznaczają dzisiaj kolory biały i czerwony na naszym sztandarze? Że PRL jest zlepkiem Polaków białych i czerwonych? A może – że Polak jest biało-czerwonym pomieszaniem?

Manhattan Avenue – główna arteria polskiej dzielnicy. Coś jak Nowy Świat w Warszawie. Albo Lipowa w Białymstoku. Taka skala. Tylko tandetniej. Za to Citicorp Center w perspektywie i środek Manhattanu za rzeką. Ale – nie ma mostu. Tak blisko temu Greenpointowi do wymarzonego Centrum – a tak daleko...

Sklepy, sklepiki, kramy, kafejki, bary... Wąskie, wydłużone sale – byle dopchać się witryną, drzwiami do ulicy, do chodnika... Tandetniej niż w centrum, prowincjonalniej. Ale też za-  
możniej, barwniej, żywiej niż w socjalistycznej Macierzy

Olśnienie! Tak wyglądałyby moja Grójecka w Warszawie, moja Lipowa w Białymstoku – gdybyśmy mieli dziś w Polsce ustrój nie radziecki, ale amerykański?

Tak, może trochę inaczej, ale jakoś tak! Rety...

Ileż różnorodności, bujności, tempa przybyłoby jezdni, chodnikom! Ile towarów sklepom, ileż żarcia barom!

Tylko dlaczego...

Tylko dlaczego tutaj tyle ludzkich wraków? Staruszka śpi na peronie, kartony podłożyła. Butelki, puszki, papierzyska między szynami. Smród. To szczyry tak śmierdzą. Metro w Paryżu – salon wobec tego. A metro moskiewskie – apteka. U tamtego rękojeść noża wystaje z kieszeni. Tam kobieta teczkę łańcuszkiem przymocowała do bransolety na przegubie. Czujne obserwowanie się... Uciekanie oczu przed spotkaniem się spojrzzeniami. Wszechobecność zagrożenia... Ten, w poszarpanej koszuli, chodakach powykręcanych, posiniaczony – chyba nie wychodzi z metra. Tu śpi. Tu zdobywa pożywienie, albo – na pożywienie. Tu znajduje buty, spodnie... U nas milicja zwinęłaby go natychmiast. Tu – nie. Będzie dogorywał – nie zareagują. Ma prawo. Wolność osobista. Nietykalność...

I już, w wagonie, następni. O, ten... Bez oka. Zębów. Ale krzyż w rozchełśnięciu bluzy, na gołym ciele. Ile ma lat? Sześćdziesiąt? A może dwadzieścia? Przemawia. Bu-bu, bu-bu-bu! Bububububu! Jedną sylabą. Przedrzeźnia? Kogo? Co? Intelktualną paplaninę? Wysokie przemówienia? Prezydenta? Papieża? Z jakiego kraju? Portugalczyk, Rumun? Nowojorski mieszaniec? Szwedo-Rosjanin? Żydo-Cygan? Filipińczyk? Cejlończyk?

– Gdyby siedział w domu, między swoimi, nie zagubiłby

się, Wędrusie... Świat, różnorodność świata go zwariowała. Popatrzyliśmy, Wędrusie, sprawdziliśmy, że człowiek względną istotą. Wracajmy. Po co szarpać się, próbować, rozpraszać. Do domu. Przeżyć co nam zostało – w skupieniu. Spójrz... – wysiadłem na Queens Plaza, przesiąść się do efki, stoję przed kioskiem z gazetami. – To już nudne. Ducha, istotę tego Babilonu już czujemy. Wystarczy. Wracajmy...

Okładki. Ciała, ciała. Biusty, zadki, brzuchy kobiet, muskuły mężczyzn, sploty ciał, figury. Twarze, makijaże. Żarcie. Boks. Zapasy. Ameryka, Ameryka... Kto szybszy. Kto mocniejszy. Kto bogatszy. Pod połyskiem luksusu i szczęścia: czujność, wysiłek, pazerność. I – strach! Żeby nie odpaść.

– A gdyby powalczyć z nimi, Wsioku? Co? Wygrać i dopiero wtedy wracać. Zwycięsko?

– Nie, szkoda czasu! Zapomniałeś, jak nas śmieszyły – brzydzyły Pewexy? A tu same Peweksy. Nowy Jork – jeden wielki Pewex. Ameryka cała: Pewex.

Wysiadłem przy Piątej Alei. Stałem na skrzyżowaniu. Zadarłem głowę jak wtedy – tylko bez tamtego nabożeństwa. Tym razem betonowe ogromy nie powaliły. Wzruszyłem ramionami. Piramidalizm. Choroba...

Fifth Avenue... Cztery kilometry szerokiego, głębokiego na dwieście, trzysta metrów kanionu o betonowo-szklanych ścianach. Po asfaltowym dnie płynie na południe samochodowa rzeka, z pięćdziesięcioma dopływami-odpływami poprzecznych stritów. Colorado... El-dorado. Eldorado, Dolorado... Tryumfów Dolorado... Cierpień Dolorado... Ciekawe, ilu z Was, rozpartych pysznie w tych limuzyniskach – jeden na tyśiąc? jeden na sto tyśięcy? – ilu z was zastanawiało się, miało czas się zastanowić, Panie i Panowie – zwłaszcza Panowie – nad takim oto prostym pytaniem: czy na pewno Ameryka ma rację? Czy czołem ludzkości będąc, lokomotywą – ciągnąc, wciągając świat w swoje torowiska – nie wiedziecie nas Ame-

rykanie ku jakiejś... katastrofie? Czy – jak nazbyt rozpędzona lokomotywa – nie wylecicie z szyn, a my... z Wami? No?

– Michale, wieśniaczku, nie ze strachu tak się rozprorokowałeś? A jeśli cię New Yorku strzaska jakiś kataklizm? Jakies trzęsionko? Po co straszysz? Kraczesz?

– A bo drażni mnie ich pycha. Czy nie za bardzo są pewni jedyności swojej drogi do szczęścia?

... Widziałem w dniach oszołomienia-oczarowania Manhattanem coś niemożliwego. Gdzieś przy luksusowym skrzyżowaniu Pięćdziesiątej Którejś Ulicy z prześwietną Park Avenue to było... Stuknęła furтка – wyszła dama. Ale... Sta nałem. Lat z pięćdziesiąt – czuło się to jakoś – choć ani zmarszczeczki przy ustach, czy broń Boże na szyi. W żurnalowym kostiumie, szaroniebieskim. Włosy też żurnalowo. Torebka w rękę, krok modelki – z tym eleganckim podaniem biodra do przodu przy każdym stąpnieniu. I – choć żadnego tam łkania, ramion podrygiwania, czy mazania się chusteczką – lzy suną jej ciurkiem po tej pięknej zoperowanej twarzy, aż w dekolt. Szloch bezszmerowy, tego jeszcze w życiu nie widziałem. Minęła mnie – okręciłem się. Podeszła do dziesięciometrowej limuzyny. Szofer – w uniformie kapitana marynarki, twarz i sylwetka Alaina Delona – czeka przy drzwiach, otworzył. Ona wsiadła do tego okrętu, on zamyka rufę subtelnie obchodzi, wsiada z drugiej strony. Spojrzałem za furtkę. Drzewka, klomby, kwiaty, za nimi dwupiętrowa willa... Między ogromami – tu gdzie każdy metr wysokości kosztuje miliony – taki willowy kaprys! Milionerka, ani chybi milionerka, dziwiłem się, za odpływającym okrętem patrząc. Multimilionerka! ale... zaraz... jak to?

To można być Amerykanką, Manhattanką, pięknnością żurnalową... mieć miliony, wille, limuzyny, Kalifornię, Paryże i – płakać? I – cierpieć? To do szczęścia, Amerykanie, potrzebne coś jeszcze prócz być Amerykaninem, milionów, żurnalowej sylwetki? Co?...



– Michał, wieśniaczku... Z takimi homiliami do katedry, o, właśnie mijasz.

– Wstąpmy, Wędrusie. Dygot uspokoić pod wysokim sklepieniem.

– Nie! Na Rockefeller Center! Nie Katedra Patryka symbolem Nowego Jorku, ale ten stupiętrowy obelisk!

Widziałem, jak natchniona kobieta wygrażała pysznemu drapaczowi Biblią. A potem go opluła. Tylko że ślina wlatywała do dwóch metrów, a gmach ma... ze trzysta. A wiatr, cyniczny wiatr – nawiewał rozpryski śliny z powrotem na jej prorocką twarz. Poprzeklinaj i ty, Wieśniaku, pourągaj Rockefellerowi pięścią z zaciśniętymi w niej pięcioma dolarami.

Słynna tablica... „Wierzę w najwyższą wartość jednostki i jej prawo do życia, wolności i dążenie do szczęścia”. I, mniejszymi literami, długie credo. Credo Rockefellera – i Ameryki?

Chyba tak. Potęga Ameryki – czy nie stoi na tym pierwszym zdaniu...

Hall... drzewka w cembrowinach... Kolejka do wind. Międzynarodowo. Jeszcze bilet – i zaraz zobaczą z wysoka najśłynniejsze miasto świata...

Taras... Już!

Słońce prosto w oczy – Nowy Jork u stóp... Jezu!

Wieżowce, wieżowce, wieżowce! Jak słupy. Jak filary. Jak drągi.

Ten z iglicą, trochę podobny do Pałacu Kultury – to Empire... Tam World Trade Center... dwa superkloce, bliźnięta. Gdzieś za nimi powinna bieleć Statua... jest! Ten punkcik, ta wysepka... Aha, tamten niebieskawy ład, to Staten Island... tam New Jersey... tam Harlem... Bronx tam... bliżej Queens... Rzeką Wschodnią... Tuż za nią Greenpoint. Dalej Brooklyn... Long Island... I Ocean, Ocean Atlantycki. I gdzieś tam, siedem godzin dalej, Europa...

Manhattan – wyspa... górzysta... szpice betonowych szczy-

tów... New Yorku!

Pięknys ty, Niujorku!

Plany, przewodniki z torby – i szukanie, wypatrywanie, identyfikowanie...

– Zaraz... a to-to małe pod nami, białe, z koronkami, wieżami, co to?

– Katedra. Katedra świętego Patryka...

– Jezu, taka maleńka?

– Mhm, wieśniaczku. Mała jak... Jak święty Patryk wobec Rockefellera...

– Oj na wielkim, wielkim szczycie jesteście!

– Tak, wieśniaczku. Na szczycie – cywilizacji.

Oczy nasyciwszy, usiadłem na ławie widokowej. Słońce minęło Staten Island, przechyliło się nad New Jersey... Jakaś królewskość, szczęście, pełnia ogarnęły. Jestem na czubku świata! Na Evereście cywilizacji. Przede mną najślynniejszy widnokrąg na Ziemi... Odtąd wszystkie będę do niego przymierzał? Pierwszy, rodzony – z Wielkiej Brzozy w Taplarach. Drugi – z wieży Rocha w Białymstoku. Trzeci – z Pałacu Kultury w Warszawie. Trzy moje dotąd najważniejsze widnokręgi. A teraz ten. Najdoroślejszy. Zamknąłem oczy – podpiły nęły wszystkie krajobrazy, nasunęły się na siebie.

Piąta Aleja... W kierunku Central Parku Siwka ciągnie furę siana. Ojciec na furze... sam. Coraz dalej fura, dalej... Koło Pięćdziesiątej Siódmej obejrzał się ojciec. – Michał! – usłyszałem z daleka szorstkie kochające wołanie: – Czas być dorosłym, zostawiam cię, Michał, samego... Bądź dzielny! Bądź mądry!

– Żegnaj, ojcze – odszepnąłem. I doszepnąłem:

– Żegnajcie, brzozy...

– Żegnajcie, Taplary...

– Żegnaj dzieciństwo...

Za furą pani Średzińska idzie kochana, która mnie kiedyś

liter uczyła. Z nią pani Orzeszkowa. I pan Prus kochany, i pan Żeromski. – Nie szydź z nas – usłyszałem. – Nasze czasy nie mniej zawile były niż twoje. Pamiętaj: rośnie mądrość świata, ale i rośnie głupota. Bądź przenikliwy!

– Żegnajcie, nauczyciele...

Następni Aleją paradyją. Profesorowie, wodzowie, na końcu mały, brodaty, z Kapitałem w jednej ręce, z różgą bakałarską w drugiej. Przy nim Fryderyk. Trochę w przodzie Włodzimierz, odosobniony. Tłumaczy się jakby z czegoś Karolowi. Przed nimi Klement, Wilhelm, Nikita... Między nimi Józef z fajką. I nasi: Bolesław, Władysław, Edward. Głowy opuszczone, twarze obwisłe. A co który oczy podniesie, na bogactwo manhattańskie spojrzy – głowa mu jeszcze niżej zjedzie. Kłótnia, swary, pretensje między wodzami, połajanki... Stąd, z wysoka, karłowaci jacyś, nadęci, żałośni. A czterdzieści lat was serio traktowałem.

– Żegnajcie, wodzowie. Świata naprawiacze-partacze...

A tu już szklany pojazd jedzie – w nim biała świątobliwa postać. Kraj płaszczą Wałęsa, jak ministrant, podtrzymuje. Mnie na trasie zobaczyli – dwoistego, rozdartego. – Znajdź coś trwałego! Coś pewnego! – Ojciec Święty woła. – Oparcie jakieś w tym ruchomym świecie... od ziarenka, zacznij, pestki, zarodka...

– Polski trzymaj się! – woła Lecho. – Polski!

– A której? – odkrzykuję. – Batorego Polski? Księcia Konstantego? Piłsudskiego? Ludowej?

– Królowej trzymaj się chłopcze – na to Ojciec Święty. – Ona zawsze ta sama. Częstochowska!

To błogosławiąc Manhattanowi, to palcem mu grożąc odjeżdża ku Central Parkowi. A ja obok Trump Tower bazylikę Jasnogórską widzę... Że też mała... Jak Zdrowaś Mario przy One Dollar...

Słońce zjechało nad pagóry New Jersey... Jezu – czy to

czerwone koło to naprawdę to samo słońce, które świeci nad Taplarami? Nad Warszawą? Białymstokiem?

Nie! Muszą być na świecie dwa słońca. Bo czy jedno i to samo słońce zrodziłoby dwa tak różne światy? Ten, najeżony drapaczami i tamte łączki, brzeziny, wierzby przy płotach, ścieżki, krzyże?

Stryjna Pawlicha – jej gęsi... malwy... dreptanie do kościoła...

– i girlsy z Czterdziestej Drugiej, pokazujące za kwortera wszystkie otwory.

Półkilometrowe kolejki za byle szamponem, czy pomarańczami...

– i tysiąc sklepów błagających: wstąp! Kup! Dopłacimy – ale kup!

Manifestacja pederastów i lesbijek Piątą Aleją – burmistrz nie odmówił, nie wzgardził – idzie z nimi. „Człowiek ma prawo do inności, do bycia sobą” – mówi...

– i miasto nazwane imieniem wodza rewolucji, metro: dwaj obywatele wloką na posterunek długowłosego chłopca z gitarą. Chuligan! Chuligan! Bo usiadł na schodach ruchomych i swojej dziewczynie zabrzdąkał, zanucił coś z Beatlesów. W styczniu '80 widziałem...

Tu słońce na twarz pobłażliwego milionera, z cygarem w zębach. Tam – oblicze I sekretarza, o surowo ściągniętych brwiach. Na dolnych promieniach medale podwieszzone.

Tu – bylebyś nie naruszył kilku zasad współżycia. Proste one i przejrzyste jak znaki drogowe. A poza tym bądź, jaki chcesz, rób co chcesz.

Tam tysiące przepisów. Do przepisów przypisy. Nadpisy. Spisy. Wypisy. Podpisy. Zapisy. Labirynt. Nie wiadomo, co wolno, czego nie wolno – przestępcą czujesz się nawet, gdy śpisz. Wszechobecność państwa. Wścibskość państwa. Za twoimi plecami wciąż natrętny ojciec, który „wie lepiej”.

Wtrąci się ci we wszystko. Co masz czytać. Co pisać. Co jeść. Co kiedy od której do której pić. Dozuje ci kieszonkowe. Dozuje premie. Jak jesteś niegrzeczny, nie dostaniesz. Z tej przekłętej troskliwości-wścibskości grzebie ci w szufladzie, w papierach, adresach, podczytuje twoje listy, podsłuchuje, podgląda. Podpytuje, czy nie masz brzydkich myśli. Wciąż ma cię za dziecko – nadzoruje – nie pozwala się usamodzielnąć. Rośniemy, starzejemy się, umieramy u tego ojca, w tym ustroju – w krótkich spodenkach, z rączkami na kołdrze.

Skryty jest ten ojciec, pruderyjny. Wmawia nam, że jest święty, bezbłędny. Daje czytać książeczki tylko o bohaterstwie, pracy i jasnej przyszłości. Jego pisarze piszą książki głupsze od niego, od siebie i od swoich czytelników. Niegłupi cenzorzy robią głupie poprawki. Wszyscy gramy głupszych niż jesteśmy. Mrugamy więc do siebie. Aluzjami gadamy. Cenzorzy do pisarzy. Pisarze do nas. My do pisarzy. Bywa, że i Ojciec pomrukuje. Jedno wielkie mrugowisko. Aluzjana...

Co robić? Tam – nigdy nie wydorosłeję.

W Ameryce mówią: dorosłeję się przez samodzielność. Spróbować – sparzyć się – przemyśleć – zapamiętać. Nie zabraniają bawić się w demonstracje, partie, spory, wybory, plebiscyty. Państwo wtrąca się jedynie, żeby rozdzielić zacie-trzewionych.

Zamigotały na Broadwayu neony. W wieżowcach pozapalały się żółte prostokąci... Gdyby tak móc zobaczyć wszystko piękne i wszystko podłe, które w tej chwili dzieje się w tej dżungli. W dorosłym, prawdziwym tym mieście. Fabryki tu i restauracje. Uniwersytety i kasyna. Kościoły i burdele. Ringi bokserskie i sale koncertowe. Central Park i hipermarket Macy's. Strona zachodnia i strona wschodnia. Partie prawe i partie lewe... Miasto prawdziwe: wieloiste. Tu każdy może się iść. Być.

A tam, pod słońce wschodnim – miasta jak i ludzie: niedoj-

rzale. Niedorośle. Fasadowe – jak i ludzie. Miasta w krótkich spodenkach, z rączkami na kołdrze. Ukrywające mroczne instynkty i zabawy – udające przyzwoitość. I jakby mało jeszcze było tej obłudy – smutek i smutnych Ojców piętnuje, urzędowe programy optymizmu ogłasza, obywatelski obowiązek uśmiechania się zarządza. Wyeliminujcie smutek, pesymizm i zachodnie maniery, towarzysze artyści, może w kapitalizmie człowiek wąpi, rozpacza, pije, na życie się targa – ale nie w naszym rozwijającym ustroju. Eksponujcie pracowitość, patriotyzm, optymizm i żołnierską dziarskość... Co tam striptizy, kasyna, co tam ciuchy, homary, jachty! I brakiem mięsa, butów i mebli przestańmy się dręczyć – my, towarzysze, my, nie oni, obracamy Koło Historii!

Jezu, co robić z tym staruchem?

Perswadować, żeby sam to koło sobie obracał – a nas do tego zaszczytu i tej przyjemności zwolnił?

Kłócić się? Grozić?

Milczeć – cierpieć – czekać, aż skona?

Nie skona. Przeżyje nas, nasze dzieci i wnuki. I nie zmienia go prośby, groźby, ni perswazje. Jak pazerny chłop nie podzieli władzy, ni majątku między synów, choć starzeją się. Mówi, że „wie lepiej”. A naprawdę – boi się. Wie, że go nie kochają i boi się, że wygonią.

Pozostaje – uciec. Ale nie jak gasterbeiterzy – na rok, dwa, po swoje kieszonkowe – i wracać do starucha. I ukradkiem wydawać zaharowane, ale cudotwórcze, dolarki. Nie! Uciec – na zawsze! Daleko. Za rzekę. Za morze. Gdzie łapska jego nie sięgają.

Tylko że uciec od niego – od tego sklerotycznego Ojca, z tego patriarchy, z tej wspólnoty pierwotnej – to zostawić tam swoje wszystko. Swoich bliskich. Swoje widoki. Ścieżki swoje...

I w nowym kraju raczkować – uczyć się chodzić mając lat

trzydzieści, czterdzieści...

Tak. Raczkować... Kilka dni wcześniej zadała mi pewna kobieta pytanie, można powiedzieć – sądowe. Takie zadają dziecku na rozprawie rozwodowej. Z kim chcesz zostać chłopcze – z którym rodzicem. Wybierzesz matkę – oddalisz się od ojca. Ojca stracisz. Wybierzesz ojca – stracisz matkę. Świat się rozwodzi – Wschód i Zachód odchodzą od siebie, mus wybierać – choć chciałoby się żyć w całej rodzinie świata.

Kobieta owa zapytała:

– No to jak? Zostaniesz tu? Czy wracasz?

Mówiąc inaczej, kogo wybierasz? Ojca czy matkę?

A, choć ojcem mi Zachód, urodził mnie Wschód.

Kobieta ta wyjechała po wybuchu głupoty w Polsce, piętnaście lat temu. Urządziła się równorzędnie, świetnie mówi po angielsku, nie tęskni. Siedzieliśmy na ławce w Central Parku, niedaleko Kolumba. Wędrownika.

– Zostać? – Zdziwiłem się. Dotąd myśl taka nawet mi nie mignęła.

– Pomogę. Znam ludzi. Skontaktuję. Co chcesz? Wydać książkę? Sprzedać scenariusz? Mów. Załatwię.

Zaciekawilo.

– To nie proste – powiedziałem.

– Dla mnie proste – uśmiechnęła się... zerknąłem... kawał ponętnej baby. I w głowie cholernie bystro.

– Ale... – podjęła, urwała.

– Co „ale”?

– Koniunktura na polski temat gaśnie. Choć jeszcze... Krótko mówiąc, musiałbyś się wykazać.

– Jak?

– Plując na czerwonych. I to nie trochę, ale... Wszyscy pluja, więc musiałbyś się tak natężyć, żeby innych przepluć. Rozumiesz? Amerykę lizać, a odpluwać na Warszawę i Moskwę. Pokaż język... No pokaż? O, jaki czerwony... Fajnie będzie

wyglądało, jak tym czerwonym językiem gwiazdki na amerykańskiej fladze lizać będziesz. Spodoba im się.

– Kpisz?

– Nie traktuj poważnie ni jednych, ni drugich. Ideologie, propaganda tu i tam są preparowane. Bądź ponad tym. Rzeczywistości porównaj, nie hasła. Na przykład... nie, zostawmy mięso, ciuchy, mieszkania, weźmy sprawy wyższe. Powiedzmy... podróżowanie. Pamiętasz, jak trudno tam sforsować granicę? Nawet do Czechosłowacji. Nawet do Wielkiego Brata. O Zachodzie lepiej nie mówmy. A tutaj? Zamarzyła mi się raz nad ranem Japonia... Miesiąc popracowałam, odłożyłam – i pojechałam na dwa tygodnie.

– Ładnie... Ale, widzisz... ja nie chcę opluwać Peerelu.

– Boisz się?

– Nie. Nie czuję nienawiści. To co czuję, to tylko... gorycz. Żal.

– W porządku. U mnie też tak się zaczynało. Potem zacznie nienawidzić. Że tyle życia ci zmarnowali. Dotrze to do ciebie, zrozumiesz, jak pobędziesz tu dłużej. Że czynią zło niewybaczalne. Miliard ludzi na świecie żyje przez nich kaleko. Żeby zmierzyć zło, wyobraź okaleczenia duszy jako okaleczenia ciała. Zawiazane oczy, skrócone języki, skrępowane ręce, okulawione nogi... Wyobraziłeś?... I co? Nie makabreska?

Zmieniłem temat. Spytałem, czy można żyć bez Polski. Czy brak ojczyzny nie dokucza, nie boli jak miejsce po amputowanej nodze...

– Kwestia trzech, pięciu lat. Byle przebić się za szybę językową... znaleźć się po tej stronie... myśleć, mówić po amerykańsku. Jeśli dziś wspomnę czasem Polskę – i siebie tam – to jakbym stary film oglądała, ze mną w roli głównej. Nudny szary serial... moja rola naiwnie napisana. Bubel. Wiesz, co robię, żeby sprawdzić czy tamta ja to naprawdę ja? Kiedyś wzruszała mnie taka piosenka Yesterday... Pamiętasz? Mam tę



płyte. Nastawiam, zobaczyć czy wzrusza. Piętnaście lat minęło.

– I?

– Wzrusza. Jednak. Czyli – tamta dziewczyna i ja to jednak ta sama osoba.

– A teraz w jakim grasz... filmie?

– O, ciekawszym. Amerykańskie filmy mają tempo.

Spytałem, czy współpracuje z Polonią...

– Broń Boże! – krzyknęła. – Wiesz dlaczego wyjechałam z kraju? Bo nie mogłam wytrzymać tej patriotyczno-katolickiej stęchlizny tak samo, jak nie wytrzymywałam czerwonej propagandy! Nie, nie jestem Żydówką, wiesz przecież. Wyjechałam odetchnąć od... Polski. Trafiłam do Londynu. A tam – Jezu! Ojczyzna – starzyzna. Ojczyzna – muzeum. Przyjechałam do Nowego Jorku – to samo. Skleroza patriotyczna!

Zaprotestowałam, że jednak coś się tu dzieje. Sporo organizacji, niemało ludzi wybitnych, akcje...

– A gdzie tam! – zachnęła się. – Strupieszale problemy, archeologiczne hymny. Zabawa w polityków... w zdalne, zza Oceanu, sterowanie Polską. Starsi, bardziej wtajemniczeni w Amerykę, żerują na polskości tych, co przyjechali później. Dwójka patriotów w radiu: pięć minut wielbią papieża – Polaka, Wałęsę, Solidarność i Matkę Częstochowską – żeby pięćdziesiąt pięć minut wielbić z tym samym przejęciem polonijne... kielbasy i kozuchy. Organizacje, kluby... Wykopaliskowe spory o gruszę na miedzy i że krowa weszła komuś sto lat temu w szkodę... Datek dziesięciodolarowy na jakiś pomnik i czym prędzej sfotografować się do gazety... Tytułomania... Jasełkami się onanizują, kujawiakami, staruszkowie. Nie mają zielonego pojęcia, co się stało, co się dzieje w kraju. Królowa Polonii – szefowa Parady Pułaskiego, w życiu Polski nie widziała. A co niedziela wygłasza patriotyczne kazania... Skansen!

Ja na to, że w ostatnich latach dużo młodych przyjechało. Wykształceni. Nowocześni...

– Dwóch, trzech z ideą, reszta – zdolarowani! Spoceni, zziajani pościgiem za Yankesami – języki wywieszane z wysiłku – żadnej współpracy – kliki kwestarskie – przepychanka o dotacje – kąsanie się w biegu. A co który spróbuje przemówić, to mu tylko trochę piany skapnie, wścieklej. Ani oni, ani ci starzy nie mają żadnego programu. Prócz antysowietyzmu. Niechby Rosja wyparowała, zgłupieliby. Jak byk na pustej arenie... Unikam tych polityków jak... trędowiska. Kto bohater, niech wraca do kraju i robi swoje serio. Jak Bujak, czy Kuroń. A nie tu, na pokaz, bezpiecznie. Z amerykańską „grin kartą”.

– Zaraz... To ty świadomie pozbywasz się... polskości?

– Nie. Polska sama we mnie zanika. Bo staram się być Amerykanką.

– Chcesz przestać być Polką?

– Tak. Żeby świat doścignąć. Polskość to ograniczenie. Nie ma nowoczesnej polskości. Jest tylko ta... sienkiewiczowska. Anachroniczna.

– A papież? Polskość mu nie przeszkadza.

– Przeszkadza, Michał. Obserwuj. On na Polskę... kuleje.

– A jednak... jednak nie oderwałaś się. Już ze dwie godziny mówisz o... Polsce.

– Dla ciebie mówię. Żeby uratować. Zmarnują cię. Zniszczą. Zginiesz tam, między tymi dwoma kołami młyńskimi: partyjnym i... maryjnym. Bo przecież nie przystaniesz ni do jednych, ni do drugich?

– Nie.

– Zresztą gdybyś przystał do któryś – jeszcze gorzej. Więc jak? Pogadać? Załatwić?

– Przyjechałem zobaczyć Amerykę. I żeby odpocząć trochę od polskiego pytania, polskiej idiotycznej alternatywy: Dziennik Telewizyjny czy Wolna Europa? Moskwa – czy Częstochowa? Innego wyjścia nie ma. Ja muszę znaleźć gdzieś na świecie taką mysią dziurę, w której choć z miesiąc mógłbym

porozmyślać o czymś ważniejszym niż Polska... niż polityka...

– O czym?

– Jest taka sprawa...

– Ty nie dasz rady nie myśleć o Polsce. Ty będziesz woził Polskę z sobą – jak garb... jak raka mózgu.

I rzeczywiście. Siedzę oto na szczycie Rockefellera i zamiast oczy cieszyć neonami, o kraju nieszczęsnym dumam. Strażnik przechadza się, kluczami podzwania wymownie. Jeden zostałem, gdyby nie ja mógłby zamykać. Ale jeszcze mam kwadrans. W Polsce teraz druga w nocy. Słońce odchodzi już znad Pensylwanii... potem pożegna Illinois... Nebraskę... Oregon... Wschodzi gdzieś nad Pacyfikiem... Potem wzejdzie Syberii... Rosji... Białorusi – wreszcie wychyli się zza jałowców w brzezynie i zobaczy Wielką Brzozę przy chacie, chatę, poszczerbiony dymnik – którego nie zdążyłem nareperować. Potem Narew zobaczy, Bug... Iglicę Pałacu w Warszawie i... pewne okno przy Grójeckiej. Staś, Wanda – śpią jeszcze na materacu podłogowym, czy upolowali już tapczan? A piecyk gazowy – czy nareperowany? Ach, przejść się we troje parkami nadwiślańskimi cudownymi, ze skarpy popatrzeć, w Łazienkach pooddychać...

– A, mięczaku, Słowianinie, krowo ty liryczna! Babo sentymentalna! Wieśniaku ty łzawy! Już znowu ty w ojczyźnie – ckliwiźnie? A pluń ty na brzozy! A niech wali się chata! A machnij ty ręką na tę Polskę niewydarzoną, maryjno-partyjną! Dwadzieścia lat ci zostało w portfelu – i chcesz je na dymniki, piecyki, tapczany, kolejki rozmienić? Do polsko-ludowego zastoiska wracać, w boczne świata drogi, ślepe ścieżki? Gdzie nuda, śpiączka, życie na niby, jedzenie niby, zabawa niby, umieranie – niby? Tutaj – zacząć! Gdzie żyją serio, walczą serio, cierpią serio, tryumfują serio! Kto słaby żyje słabo, kto łakomy – łakomie, kto genialny – genialnie! Tu autostrada świata – droga w przyszłe wieki! Odżyłeś przecież – znowu

chce ci się myśleć, pisać, wojować – otworzyły ci się czarne okna w beznadziejnych ścianach! A poharować – zarobić – i posmakować tego miasta nie tylko lizaniem szyby! I w drogę! Dalej i dalej! Od miasteczka do miasteczka, od farmy do farmy – przez ten kraj przerozległy – w przygodzie nieustającej, w ciekawości nie wysychającej, aż do ostatniego spojrzenia, ostatniego tchnienia!

– Zostaję! – powiedziałem krótko, dobitnie.

– What? – spytał strażnik.

– Zostaję tutaj – oznajmiłem. – W Ameryce. Niech coś się dzieje.

– I don't understand – rzekł strażnik pobrzękując kluczami.

– See you tomorrow.

– Gut lak! – powiedziałem, bo chciałem, żeby mi powiedział to samo.

– Good luck – powiedział.

Z rozczulenia podałem mu rękę.

I Andrzej, wszystko potoczyłoby się po twojej myśli, gdyby nie... koszula. Sprzedałbym komuś magnetofonik za parę dolarów, na przetrzymanie do pierwszego zarobku i jakoś waszym gastarbeiterskim szlakiem, zacząłbym... Ale ta koszula.

Wrzuciłem ją rano do kubła – dołałem płynu – potem, nierozważnie, dorzuciłem bordo bluzkę... wróciwszy z Rockefellera widzę: z białej koszula zrobiła się białobordowa. Wykreśliłem. Mydłem spróbowałem, szcztoką. Niestety... Do śmieci ją trzeba. Stałem nad kubłem, myślę... Pani Jelska stare rzeczy paliła. Chodaki, szmaty, papiery. „Dusza w powietrze uleci, a popiół ziemia rozpuści”. Bo nasze rzeczy przejmują naszą duszę – nasz pot, zapach, myśli nasze. Starą czapkę pod płót cisnąć – trochę jak własną głowę sponiewierać. A spalić – to jakby kogoś honorowo pochować, na tamten świat duszę wysłać. Ogień to ogień. Nie darmo mówi się: święty.

– Wyrzuć – mówi Zbyszek. – Za dolara kupisz u Żyda coś letniego, przewiewnego...

A ja... stoję. Z tą koszulą. Nad kubłem.

W tej koszuli – leciałem do Nowego Jorku.

W tej koszuli – w Paryżu kiedyś byłem. I w Budapeszcie.

I w Leningradzie.

W tej kieszeni – zawsze się adreśnik nosiło. W tej długopis. Którym niemalże stronic się zamazało.

Przez tę kieszeń – banknotów trochę się przewinęło.

W iluż wycieczkach, ucieczkach, smutkach, radościach towarzyszyłaś mi, koszulo!

Sześć lat po świecie razem.

Razem o sześć lat starsi. Zżyliśmy się – ja z tobą, ty ze mną. Zszywałem, łątałem... Wieczorem uprać, wykręcić, strzepać, rozwiesić – i rano na kark. Ten sam pot, jeden zapach. I... teraz... jak to? Do kosza? Przyjaciółkę sześćioletnią – do kubła, między niedopałki, obierki, skórki, flejty? A jutro – do śmieciobusa, siostrę – między murzyńskie, włoskie, portorykańskie odpadki – na przemiał i na wysypisko?

O nie, towarzyszek wierna, nie oddam cię na pohąbienie! Uratuję! Kupię preparat jakiś, wywabiający – choćby miał kosztować pięć razy tyle co nowa koszula. I będziesz ze mną. Nie zostawię cię w tym... obcym kraju.

– Jeszcze dumasz? – dziwi się Zbyszek. – Nie wyrzuciłeś?

Wyrzucić koszulę... To i stary notatnik z adresami wyrzucić. Z walizki. I z – pamięci! I – walizkę. I przyjaciół. I rodzinę. Jak już, to już! I Taplary, i chatę, i jabłonie przed chatą, i brzezinę. I Warszawę. I Polskę. I w świat! Na Hawaje! Do Australii!

– A pewnie! – Wędrowiec na to. – Dużo na świecie ojczyzn. I rzućże wreszcie tę szmatę w obierki!

– Nie wolno! – skomli Wieśniak. – Koszulę wyrzucisz, adreśnik wyrzucisz, rodzinę wyrzucisz – co zostanie? Siebie do

śmieci wyrzucisz!

– Nie wolno! – zgrzyta Wędrus. – Nie wolno aż tak przywiązywać się. Do nikogo, do niczego! Nie wolno tak zrastać się – ani z ojczyzną, ani z koszulą! Ani nawet z samym sobą!

A Wieśniak: – Nie ma co, Michał, światowcu niedowarzony... Wracajmy. Trzeba nam ciągnąć naszą furę... nie wyrzucimy, nie trzeba, nie damy rady wyrzucić naszej koszuli. Ani naszej przeszłości. Jest tylko przeszłość. Przeszłość na śmietniko wyrzucić – siebie wyrzucić...

I dyskretnie, żeby Zbyszek nie rozszyfrował – swoje książki, szmatki do plecaka jałem podrzucać. Do drogi. Czuję, że decyzja zapadła.

Lekko się zrobiło. Z górki.

Sam nie rozumiem, Andrzej, jak to się stało. Ale działało się tak właśnie. Wieśniak wygrał. Koszulą wygrał, przy kubie na śmieci. Choć na szczycie Rockefellera nie miał nic do powiedzenia. Wędrus – wydawało się – pokonał go ostatecznie.

...Czym na lotnisko się dostałem, jak miejsce w samolocie wywalczyłem, ile się naczekałem, za co żyłem – sprawa drugorzędna, temat uboczny. Jak w transie działałem. Do domu! Do Polski! Wieśniak szalał. Dopiero w samolocie, kiedy bezpowrotnie w powietrzu się znalazłem, Wędrus zajęczał – że nawet jeśli wracać, to po co tak od razu... pożyczyc można było, choćby u ciebie, Andrzej, z tydzień jeszcze pobyc. Helikoptere nad miastem przelecieć. Do muzeów wstąpić... Metropolitan Opery nie zaliczyłem! I słynnej giełdy na Wall Street! I Murzynki nie – a planowałem przecież. I w Atlantic City nie byłem. A podobno jest miasto podziemne – w nieczynnych tunelach metra żyje ponoć kilka tysięcy ludzi-szczurów – nie zajrzeliśmy...

– Y tam, muzea, giełdy – zlekceważył Wieśniak. – Takie tam bzdurki turystyczne. Są ważniejsze rzeczy na świecie.

– Bałeś się, Wsioku – wyrąbał Wędrus. – Bałeś się wysił-

ku. Walki. I – klęski...

Przyływ rozterki proszkiem przygasilem – o niebudzenie na posiłki poprosilem – i aż przed samym lądowaniem ocknięty zostałem. W samolocie poruszenie: zaraz Okęcie! Szum radości: Warszawa! Polska!

Choć nie u wszystkich miny jednakie... zwłaszcza na twarzach bardziej podamerykanizowanych, w oczach, które stan wojenny tylko na amerykańskich fotografiach i ekranach widziały – niepewność, lęk jakiś... ale może bardziej przed celnikami to prywatna trwoga niż przed ZOMO, cenzurą i fatalnym państwa zadłużeniem? A co ze mną po cudownym nad Warszawą przebudzeniu? Ach, nie byłbym Wieloisty... Już Optymista i Ironista wypchali na tyły Ponuraka i Desperata. Co tam gdzieś o reżimie, terrorze bają. Że od czasu do czasu chodnikiem dwójka milicjantów przejdzie – to terror? I że kto chce zmienić władzę, bierze w skórę? Na całym świecie tacy biorą... O, tam, w Nowym Jorku – dopiero terror! Codzienny. Codzienny strach w metrze, lęk że z pracy wyrzucą, gorszość i gorycz intruza-gastarbeitera – i bezsenność, zmęczenie, ciułanie w każdym momencie – prócz tej półlitrowki na dwóch w sobotę... To dopiero terror! Ech, Wandę, Stasia zobaczyć, przytulić – stare kąty obwąchać – na Grójecką wyjść – po Polach Mokotowskich przejść się – Żywieckie kropnąć – kaszanki kupić i w domu z cebulą usmażyć, ...Politykę i Przegląd Sportowy przejrzeć, dziennik telewizyjny poobserwować-rozszyfrować, jakoś żyć – ani się irytować, ani buntować – cały świat jest nedorzeczny, jeśli głowę przechylić w lewo, i cudownie sensowny, jeśli przechylić optymistycznie w prawo – albo odwrotnie... tak, tak, nie dać się wciągnąć w walkę z głupotą żadnej maści, własnej starczy na całe życie.

Lądowanie – lotnisko... dworzec? Jakies niewielkie te pawilony, ale niech tam, ścigajcie się sobie Amerykanie z Rosjanami w gigantomaniach... Przeprawa celna – jakby zdziwienie

celniczki, podejrzliwość, że tak prędko, że bez prezentów. Kiosk, znajome tytuły gazet – też uczucie ulgi. Co, że tendencyjne? A gdzie gazety nie tendencyjne, może – ha ha ha – w Ameryce? Nie mnie starego wróbla na takie plewy. I do „175”. Zaraz: a gdzie okrzyczana polska nędza? Dżinsy, adidas, sweterki, czupryny... dziewczyny ładniej ubrane niż Amerykanki. Pół do ósmej, dużo samochodów, ruch – gdzież ten okrzyczany kryzysowy zastój, panowie malkontenci? Autobus – tylko złoty pięćdziesiąt – tylko dwie minuty przeciętnej polskiej pracy, a u was, Amerykanie? Prawie dziesięć! Jak to właściwie jest: czy świat jest okropny, kraj okropny, miasto okropne – czy może okropność tę nosimy w sobie jak filtr na źrenicach? Sierpniowy poranek, przedjesiennie wysrebrzone powietrze... Ogródki... Drzewa... Polmozbyt – przy nim z tysiąc fiacików. Pola Mokotowskie – spacerowicze z psami – ładnie przystrzyżona trawa... Stadion Skry. I zaraz wysiadka, przy Lotnikach. Tutaj pięć lat temu siedziało się na drzewie, żeby zobaczyć papieża Polaka. A właściwie – żeby tłumy zobaczyć, pojąć co się stało, dlaczego aż takie oczarowanie, natchnienie, uwznioślenie rodaków. Zachwyt dla największej w historii kariery Polaka na Zachodzie – ale co jeszcze... jakich marzeń odłona, jakiego cudu oczekiwanie.

No i Wawelska, owszem za ciasna i za szara, farby u Was, Amerykanie, efektowniejsze. I na szyldy, reklamy idą, nie na hasła. A oto już i nasze domiszczce... okno naprzeciw wierzby? Otwarte – są! Prędej! Winda, drzwi, dzwonek... Wanda – zdumienie, Stasio – niedowierzenie. To ty? Ech, kochani wy moi, ma rację Wsiok w każdym z nas żyjący: jak krzak rodziną w ziemię wrosnąć, korzeniami trwałymi ją przerosnąć. A nie samolotami po wierzchu się ślizgać... pseudopostępowy doktryner-blagier z ciebie Wędrusie. Obściski, całowanie. – Już? – nie dowierza Wanda.

– Zgodnie z założeniem – odpowiadam – miałem wracać,



kiedy tylko odpodoba mi się.

Staś na walizkę zerka. – Zabawki kupimy Stasiu w naszym sklepie, jak tylko otworzą...

Na twarzy Wandy chmurka rozczarowania. No bo z Ameryki i nawet grapefruita, nawet pomarańczy? – To jaka ta Ameryka? – Jaka? Nie wiem... Inni ludzie, inny świat. Nie dla nas... I wcale nie taki raj. Gdyby nie ta Gierkowa wpadka, zadłużenie, kryzys, można by i nasz ustrój podziwiać. Jak na tyle bałaganu i tyle laby, żyliśmy całkiem dostatnio i całkiem kulturalnie. A piecyk – zajrzałem do łazienki – co, jeszcze nie nareperowany? – Nie. – A ten tapczan... wciąż nie mają takich stelaży? Dzwoniłaś? – Były, ale tylko wąskie, szerokie można zamówić u rzemieślników. Ale za siedem tysięcy. – Za ile?

– Przecież słyszałeś?

I powoli o tym, o czym się w kraju najwięcej przez ostatnie lata rzępoliło: co, za ile, ile czekania, ile w łapę... I z minuty na minutę coraz bardziej w Polsce. Realnej... Ile na kartce mięsnej gatunku pierwszego... Czy smalec już bez kartek? O, cytryna! jakim cudem? I ananas... w puszcze – skąd to? Z Pewexu?

– Z paczki. Amerykańskiej. Parafia rozdawała.

– Co! Chodziłaś tam? Żebrać?

– Sami przywieźli. Ktoś podał nasz adres i nazwisko.

Zamilkłem. Więc to tak... Nie chciałem Ameryki, uciekłem z Ameryki, a ona mnie dopadła? U mnie? W domu?

– Co ci się nie podoba? – spytała Wanda.

– Jałmużna mi się nie podoba. Zresztą nasza cebula czy kapusta nie gorsze od ich cytryn i ananasów.

– Powiedz to Stasiowi...

No tak. Są trzy rodzaje wołania o paczki: od osób naprawdę potrzebujących. Od cwaniaków-handlarzy. I od demonstrowców. Że ustrój taki dziadowski, tak nisko upadliśmy, że bez paczek zachodnich nie wyżyjemy. Staś i Wanda z jakiej są grupy? Chyba pierwszej. Im naprawdę potrzebny ten plutek

cytryny w szklance herbaty. Jak mnie sól, czy... cebula. Fizjologicznie potrzebuję surowej cebuli. Mój Wsiok potrzebuje. A jak to jest z naszymi „amerykańskimi” potrzebami? Czy w ciągu gierkowskiego dziesięciolecia naprawdę weszły w „fizjologię” narodu? Nazajutrz – mijaliśmy ze Stasiem drogerię – słyszę:

- Kup mi tata donalda.
- Jakiego „donalda”?
- No do zucia. Gumę...

Zrobiłem Wandzie awanturkę, że nauczyła chłopca pozerckiego ciamkania szczęką. – Wszystkie dzieci żują – odparła – a ty chciałbyś, żeby nasze dziecko wyrosło na zakompleksionego odmienca? Aha, może zostało ci parę dolarów – to kupiłbyś klocków LEGO, widziałeś jak się chłopak pasjonuje tymi układankami. A przy okazji – kup szampon, za półtora dolara... – A polski niedobry? – poniosło mnie. – Niedobry – odpowiedziała. – Nie dlatego niedobry, że gorszy, ale niedobry bo... nie ma.

I poczułem, jak co krok przechyla mi się głowa, przechyla spojrzenie – z optymistycznej strony, na drugą. I żadnymi sztuczkami, stoicyzmami, ni tumiwizmami, ni ironijkami kabaretowymi nie można tego ponurego przechylania się powstrzymać. Gazety, telewizja. Irytujące przemówienia, pokrętele komentarze. Zewsząd bezradność i beznadzieja. I złowieszcze narastanie bezpardonowego podziału na władzę i naród, na fasadę i rzeczywistość. I że nie będzie innej drogi z dna i zadłużenia niż zaciskanie pasa. Ale: narodowi przez władzę. Nikt tu się z nikim nie porozumie. Że nawet coraz mniej takich, którzy porozumienie chcieliby udawać. Coraz mniej takich po stronie narodu i coraz mniej po stronie władzy.

Ale nie tylko to rozdarcie zobaczyłem – dzięki zobaczeniu Ameryki, Andrzeju. Przedtem nie widziałem – przeczuwałem zaledwie – fatalność innego rozdarcia. Że urodził nas Wschód.

Wieś. Rola. Słowiańszczyzna. Ale ojcem naszym Zachód. Miasto. Przemysł. Ameryka.

Z amerykańskości pełnej, prawdziwej wróciłem do amerykańskości polskiej. W żalonym pretensjonalnym wydaniu. Dżinsy – na które pracuje się miesiąc. Czyli zaprzeczenie tego, czym są dżinsy w Ameryce. Manhattański – hm, hm – drapacz przy placu Dzierżyńskiego, drapacz, który nikomu nie jest potrzebny. Ale zrodził się z tej samej fascynacji Zachodem, co rockowe zespoły, punkowe fryzury, etykiety, naklejki, „shopy”. W kraju, gdzie majowe nabożeństwa i ziemia za paznokciami. Ach, ta religijna cisza przed stoiskami Pewexu...

Z rana Wanda poleciała do roboty, Stasio spał. Wziąłem igłę, nitkę, do cerowania skarpet się zabrałem. Wtem – ryknęło! Zamknąłem okno – niewiele pomogło. Chłopak wiercił się... Zjechałem uciszyć miłośników hard rocka.

Bawili się... przedszkolacy. Tak, cztero-, pięcioletnie warszawianeczki i warszawiacy. Podwórze udekorowano papierowymi wstęgami i girlandami, dzieci poprzyczepiały czuby, wąsy, pyszczki z filmów Disneya. Grała orkiestra... wojskowa. Saksofon, akordeon, trąbki i ambitnego perkusistę wzmocniono światowo mikrofonami i kolumnami. Jakies święto było – rocznica otwarcia przedszkola, czy urodziny kierowniczkii – nie dociekałem. Poprosiłem o umiar, o przyciszenie głośników. Nie rozumieli. – Niech pan nie psuje naszym dzieciom przyjemności – poprosiła jedna z asystujących mamus. – Rozrywanie uszu, to przyjemność? – zdziwiłem się. Przedszkolanczka nastroszona zielono-fioletowymi kosmykami, jak punkowie z East Village, zarzuciła mi, zdziwiona, że chyba jestem przeczulony... to zabawa, nie pogrzeb... Ja: – Ale robicie tym dzieciom krzywdę. Ogłuszacie na całe życie. I kształcicie stereoterrorystów... Przedszkolanka odwołała na bok twistującego malucha. – Lesiu, czy panowie grają za głośno? – Nie, psze pani, ja lubię jeszcze głośniej – oświadczył Lesio, a przedszko-

lanka: – No widzi pan... A druga, o czerwonych polikach i krowiastej tuszy – ale wbita w dżinsowy kostium o trzy numery za ciasny: Jeśli to dla pana łomot, to gdzie pan żył dotąd? W lesie?

Poddałem się. Powiedziałem tylko, spokojnie, że mojego syna do takiego przedszkola nie oddałbym. – No tak, schowa go pod ziemię – usłyszałem za plecami komentarz i śmiechy.

Niestety, dwoistość moja... W Nowym Jorku, pamiętam, harmider ulicy, sklepów, barów cieszył mnie i jednocześnie irytował. Cieszył się „Światowiec”, irytował się „Wieśniak”. Och, krzykliwość tego wielkiego miasta – jak za głośnie mówienie kogoś, kogo ogłuszono. Kultura – wrzasku. Natarczywy wrzask syren pogotowia. Ryk wielkich magnetofonów. Wrzask radiodbiorników. Wrzask reklam. Wrzask kolorów. Wrzask gazet. Wrzask, nachalność dolara. Hasło nad sklepem na dolnym Manhattanie: „Jeśli jesteś taki mądry, dlaczego jesteś taki biedny?”

Pocieszałem się: nasze domy biedniejsze, ale głowy – bogatsze. Więcej czujemy, więcej współczujemy. Nasza polska bieda z bogactwa wynika. Z bogactwa – fantazji, hojności, wielkoduszności. A wasz amerykański dostatek rodem, owszem, z rozmachu, ale i ze sknerstwa, procentów, pedanterii...

To Wieśniak tak roił. Bo Mieszczur już podpowiadał, że w tym cynicznym, kapitalistycznym haśle więcej sprawiedliwości niż w socjalistycznych urawniówkach. Amerykę ganią ci, co nie potrafią nauczyć się amerykańskiej dzielności. To oni głosują za socjalistycznym mazgajstwem, Wsioku. Jak tęsknią za wiejskością ci, co nie dadzą rady nauczyć się miasta.

I przestań wydziwiać, Wsioku, na Amerykę, bo zaczynasz śmiesznie wyglądać w oczach znajomych. Ciekawe, co ci nie wyszło. Złócisz się na tę Amerykę, jakbyś chciał przerzucić na Amerykanów winę za własne kalectwo. Wyjazd do Amery-

ki traktuje się, owszem, jako sposób na ekstrapieniądze. Ale i jako sprawdzian zaradności i męstwa. Ten mężniej szy, kto dłużej tam wytrzymał i więcej przywiózł. Coś jak samotny rejs przez oceany. Nie udało ci się, trudno. Ale rób z tego humoreskę, a nie mowę prokuratorską...

W sobotę, choć nie zapraszałem, zjechali się jak na czyjaś komendę, znajomi. Oczywiście, żeby posłuchać o legendarnym kraju. No i wywąchać, dlaczego nawiałem. Przycinki, aluzje... Ale ja – rozindyczyłem się. Zamiast szczerze przyznać się, że wyrwał mnie z New Yorku sentymentalizm wiejsko-polski... i strach rodem z soc-kompleksów, soc-wychowania, soc-zacofania, nuże ja perorować jak etatowy agitator o wszechobecności dolara i dolarowego myślenia. O idiotyzmie kupowania, żarcia, reklam, o analfabetyzmie kulturalnym... O USA-centryzmie, pyszałkowatości, ignorowaniu innych kultur, innych ideologii. O kulcie własności. Polkę, która wysiadła z auta i kucnęła pod tablicą „Private” – właściciel ustrzelił z fuzji jak królika. O lęku przed napadem i rabunkiem. O strażnikach, czyhających z dębową pałą u wyjścia ze sklepu, o pozorach wolności, wolnych wyborów, tolerancji. Znajomego obezwano „pieprzonym polskim komunistą” i w pysk podzielono – bo powiedział, że pod pewnymi względami socjalizm góruje – na przykład w dziedzinie oświaty i kultury... Słuchali.

Słuchał i Łukasz. Był w Stanach trzy lata – zaczął od szczotki do zamiatania i dwóch dolarów na godzinę, skończył na własnej brygadzie budowlanej i dwustu dolarach dziennie. Zresztą znasz Łukasza, Andrzeju, lepiej niż ja. Musiał wrócić, bo mu Jacek – ten najstarszy – rozchorował się niebezpiecznie.

Słuchał Łukasz, słuchał, papierosa za papierosem palił – a kiedy doszedłem do tego, że wiele zalet naszego ustroju docenić można dopiero sparzywszy się osobiście legendarną Ameryką, papierosa rozgniół w popielniczce i syknął:

– Fanzolisz, Michał.

Oczywiście, użył drastyczniejszego czasownika. Tego na „p”. Cicho się zrobiło i niebezpiecznie. Spytałem:

- Co powiedziałaś?
- Że fanzolisz – powtórzył
- Dlaczego „fanzolę”? – spytałem spokojnie.

I wtedy wybuchnął. Ty bibliotekarzu... molu książkowy... pustelniku – który czytanie, dumanie, mędrkowanie woli niż budowanie. Sens życia wolisz rozwikływać w bibliotece – niż w międzyludzkiej żywej współpracy lub walce. To tacy jak ty wymyślili ten poroniony wschodni socjalizm i chory komunizm. Wyobraziliście sobie w waszych bibliotekach, że da się ludziom minimalne żarcie – i stopy broszur dydaktycznych – i powstaną nowe społeczeństwa, nowi ludzie. A tymczasem ludzie – dziewięćdziesiąt procent, a może więcej – wszyscy prócz moli książkowych, zakonników i im podobnych zбочeńców – wołają smakować życie w działaniu. Siebie ćwiczyć, sprawdzać, rozwijać – innych poznawać, rozwikływać, doświadczać – w robocie. Dom wybudować! Sklepik otworzyć – rozwijać go w dużą firmę – w supermarket wreszcie! Od rzemieślniczego warsztaciku idąc do fabryki dojsć! Od ulicznego wózka z kielbaskami – do renomowanej restauracji! Oto twórczość! Oto aktywność! Oto życie! I w USA każdy może działać i tworzyć tyle, ile sił ma i zdolności. Kultura? Wydumana przez komunistów i wydzielona z życia „kultura”? Po co ta cała „kultura”? Czy może być piękniejsza kultura, niż sensownie kulturalnie zorganizowana praca? Niż narzędzia – precyzyjne, sprawne, radujące ręce i oczy? Niż pięknie wykończona jezdnia? Pięknie wypieczona i pięknie smaczna bułka? Niż radość-kultura pracowania i radość-kultura spożywania? Czy nie zauważyłeś, że tam ekspedienci, kierowcy, nauczyciele, policjanci, spikerzy mają uśmiechnięte twarze? Życzliwe reakcje? A zobacz u nas: beznadziejne oczy, umęczone obwisłe twarze, wóda... A wiesz dlaczego? Bo nie możemy tworzyć!

Bo inicjatywę, twórczość, planowanie przywłaszczyła sobie władza! Pozostawiając jednostce wolności tyle, co koniowi w kieracie. Wolność dreptania z nogi na nogę i parskania, nie za głośnego. Nie zauważyłeś podobnego wyrazu twarzy – w innych krajach demoludów? Wszędzie ta beznadziejna cierpiętnicza mina – i wszędzie zalewanie raka – alkoholem. Wiesz po czym ja w Nowym Jorku bezbłędnie rozpoznawałem przybysza z Polski? Po ubiorze? Nie! Po tych obwisłych policzkach i zgaszonych oczach! Och, wy – bibliotekarze! Od Marksa i Lenina aż po... ech! Naprawdę nie widzisz, że jesteśmy pół-martwi... pół żywi... pół senni? Naprawdę nie wiesz, kto nas obrabował z radości życia? Czyż nie najcięższa, najdotkliwsza grabież – zabrać człowiekowi właśnie radość pracy i działania? Ty albo ślepy jesteś. Albo: kłamiesz! Nas okłamujesz i – siebie! Po co – nie wiem...

Wstał. Nie podał ręki. – Jak zmądrzejesz, zadzwoń. – I wyszedł.

Nazajutrz od rana polowałem na skarpety. Zdeptałem, zjeździłem pół Warszawy. Koło trzeciej po południu – poddałem się. Pojechałem na bazar – i kupiłem skarpety u handlarzy, za pięćset złotych. Za dzień pracy. Chodniki i sklepy mrowiły się takimi jak ja: węszącymi, polującymi. Spoconymi od biegani-ny, zirytowanymi. Gdybym taczki z betonem dźwigał, mniej bym się umęczył niż tą pustą bieraniną. Najcięższymi godzinami Polaka są te po wyjściu z fabryki, biura. W tak zwanej pracy właściwie zbieramy siły na wysiłek kupowania. Na bieganie, wypatrywanie, chytrzenie, intrygowanie, przekupywanie, łapówki. A tam na Greenpoincie, owszem, pracujecie ciężko. Ale potem wszystko na was czeka. Pamiętasz – trzy niedziele zajęło nam kupienie radiomagnetofonu. Tyle odmian, wersji, ozdóbek i cen – że trudno było się zdecydować. Nie-szczęście – nadmiaru. Obfitości...

Potem stanąłem w kolejce po parówki dla Stasia. Z pół go-

dziny stałem, wyglądało na to, że starczy, dostanę. Kolejka – w wielkie „S” zakręcona – symbol i istota socjalizmu. Przestaliśmy naszą młodość w kolejkach. Przestoimy starość w kolejkach. Umrzemy – w kolejkach. Czyściec przecierpimy w kolejkach.

Ekspedientka sięgnęła po ostatnie paróweczki. – Pół kilo – poprosiłem, podając kartkę przydziałową. – Niestety, zostało trzydzieści deka – powiedziała kobieta, ważąc paróweczki.

I wtedy stanęła przy mnie energiczna mama z dzieckiem na ręku. – Ja to wezmę – powiedziała do ekspedientki. – Dla dziecka... – Ja też dla dziecka – objaśniłem nieśmiało. – Ten pan był pierwszy – poparła mnie ekspedientka. – Ale ja jestem z dzieckiem na ręku! – huknęła mateczka i... strąciła mój banknot z lady. Swój położyła. Podniosłem. Ekspedientka wydała mi resztę i podała zawiniątko z parówkami. – Widzisz, Urszulko, jakie chamstwo na świecie! – rozszlochała się do dzieciątka kobieta.

– Proszę, niech pani bierze – powiedziałem uprzejmie, ale wściekły, podając jej zawiniątko.

– A żryj! – warknęła, nie wiem czemu. – Zeżryj, udław się i skonaj!

Pociemniało mi od wściekłości-bezradności... zanim pomyślałem, już w jakimś spazmie-skurczu trzepnąłem parówczykami o beton podłogi – i wyszedłem. Och, gdybym miał granat, taki prawdziwy, cisnąłbym nim z Ochoty aż na róg Alej i Nowego Światu...

I jeszcze tego samego dnia wiadomość ze spółdzielni: „Termin przydziału mieszkania obywatelowi ustala... się na rok... i długopisem dopisane: „po roku 1991”. Rety... Jest rok 1984. Zapiisałem się w 1975. Miałem otrzymać w 81. Dziewięć lat czekania już. Siedem lat jeszcze. A za siedem okaże się – że jeszcze dziesięć. Rok dwutysięczny powitamy z Wandą i Stasiem w tej 17-metrowej norze? Jezu... Wściekłość, wściekłość.



Coście zrobili, Wieśniacy, z mądrego Marksa... Wspólnotę pierwotną! Rządy patriarchalne... Wieś, wieś – wszędzie wieś i wieśniacze horyzonty. Wiejska skala, wiejskie myślenie, wiejskie sentymenty. Ojczyzna – taki większy zaścianek. Taka większa parafia. Warszawa? Taka większa... wiocha. Niech no mignie zachodnie auto... język zadźwięczy obcy... Murzyn się pokaże... Już przystawanie, oglądanie się, sensacja... Nuda, szarzyzna, jednostajność... Boże – w imię czego tak nas zaporurczono... przybito do ziemi... w szczury sklepowe przemieniono, myszy kolejkowe, żebractwo podaniowe... Dlaczego... właśnie! – dlaczego na Marszałkowskiej nie może być radości, różnorodności, rozgwaru Czterdziestej Drugiej Ulicy? Alejami Jerozolimskimi, z gramowymi resztkami kartki mięsnej idąc, że to Fifth Avenue wyobraziłem... Sklepy, sklepy, sklepy, sklepy... Tłum... Rewia! Tańce na ulicy...

A tu?

Odrażający inwalida na pedałowce rzępoli i baranım beczy głosem „Czerwone maki pod Monte Cassino”. Potem „Dnia pierwszego września roku pamiętnego...”. Jak skończy, znowu maki czerwone... W centralnym punkcie Warszawy! W przejściu podziemnym koło Rotundy. Od lat dwudziestu.

... Wpada Marian – parę lat temu działacz partyjny. Ostatnia niedziela miesiąca! Msza za ojczyznę! Jedziesz?

– Nie! – powiedziałem. – Dość tego! Nie chcę! Nie chcę ani z wami, komuniści, ani z wami, klerykaliści! Pułapka! Straszne albo-albo. Albo fałsz czerwony, albo fałsz purpurowy! Rety: z fałszu w fałsz! I kto, kto tak ten polski supeł zaplątał? Czy nie wy naprawiacze-partacze? Mieliście przerzucić nas – jednym skokiem wysokim nad Niemcami, nad Anglią, nad Ameryką – z parafiańszczyzny-pańszczyzny – na czoło ludzkości... Skoczyliśmy – czterdziestoletnim skokiem – i wylądowaliśmy... gdzieś na śmietniku-kryzysowisku-pośmiewisku... Czy przywódcy – którzy sami siebie nie uprzemysłowili – którzy, choć

marksiści, tam w środku siebie, tam głęboko, wieśniakami – tak, wsiokami, zasiedziały, skumotrzonymi, nosa bojącymi się wyściubić za miedzę swojego bloku – czy tacy wodzowie-wójtowie przewodzić nam mogą w świecie wyzwolonym od ojczyzn, w świecie globalnym, rozwędrowanym?... Amerykę stworzyli wędrownicy, Kolumb i jego potomkowie, mający wędrowkę we krwi. Nawet farmerzy wędrowcami są. A nie... wsiokami.

– Ejże, Wędrusie... Cóż tak się mnie i wiochy uczeplił?

– A uczepliłem! Bo widzę tę wiochę, tę zasiedziałość. Tę parafiańszczyznę. Tę nabożność majową, ckliwość wigilijną, ideologię maryjną. Nie tylko we mnie – Michale Wieloistym. W całym narodzie widzę! I w przywódcach. W purpurowych. Ale i w czerwonych. Tak! W podziemnych i nadziemnych. Wiocha, wiocha, wiocha, wiocha!

A tu jeszcze, jak na złość, Wanda mówi: Pojedźmy do Taplar... niech Stasio konie zobaczy, krowy, brzezinę...

– Nie! – wybuchnąłem. – Dość tej słowiańszczyzny! Załatwię wam wczasy w Zakopanem. Niech się chłopak uczy świata.

Pochodziłem – poskomlałem – pożyczyłem – zapłaciłem – pojechali. Do Zakopanego. A ja plecak wziąłem i sam do... Taplar. Nie udało mi się wtedy, na szczycie Rockefellera, pożegnać dzieciństwa. Wieś to też dzieciństwo... Dzieciństwo cywilizacji. Ta cholerna koszula... fatalne nad nią rozrzewnienie... Teraz cię spalę!

I chatę... dopowiedział szeptem Michał Wędrowiec. Skończ z nią nareszcie, z tą świątynią, z tym ołtarzem. Wypal z duszy wieś, brzezinę, sentymentalizm. Bo ani ty, ani twoi bracia, twoje siostry, nigdy nie wyrosniecie z dzieciństwa. Chata, dworek i paciorek wloką się za tym nieszczęsnym narodem jak łańcuchy...

W południe przyjechałem. W blasku dnia popatrzeć na

Wielką Brzozę, chatę, jabłonie... Aparat fotograficzny wziąłem – pstryknąłem. Dla Stasia. Że coś takiego było. Za dwanaście godzin nie będzie cię, Chato. A ty, Wielka Brzozo, uschniesz od spiekoty. Do stryja zaszedłem. Ucieszył się:

– O, jak dobrze że przyjechał! Zostaw ty, Michał klucz od waszej chaty – ja tam by składował nawozy i cement, co ma pusta stać.

– Nawozy?! – zachnąłem się. – Cement? W chacie? Gdzie obrazy... Matka Boska... ojcowy zegar?

A w duchu: „Cement – w kaplicy rodzinnej? Przed ołtarzem plemiennym? W świątyni?”

On, że nawet zapłacić może...

Ja: –Nie stryku, wykluczone. Co by ojciec powiedział!

On: – Toż nie żyje!

Ja: – Ale gdyby żył! Przyjechałem właśnie... dach poprawić, dymnik okratować, sień posprzątać. A nie nawozami, cementem zniechłuić jak szopę.

A w duchu: Nie, stryku, lepiej niech święty ogień zamieni to wszystko w powietrze! Nie będę mazgał, rozwlekał, odwlekał tej sprawy magazynowaniem. Tej nocy będzie po wszystkim!

Stryko przysiadł. Papierochy wyciągnął. Wiedział, że z Ameryki wróciłem. Szczegółów był ciekaw. Czy chociaż na samochód dolarek był przewiozłem.

Wtedy ja, delikatnie, że nie tak lekko, oj nie tak lekko w tej rajskiej Ameryce, jak opowiadają. O harówce napomknąłem. O poniżeniu, upokorzeniach rodaków...

A on: – A ty wiesz ile tu ja jakich poniżeń przecierpieć muszę?! Ile podań pisać o byle gówno? Sznurek do snopowiązałki żeby dostać musiałem aż krzyż wojenny wyciągnąć, pokazać. Żeby innemu zabrali i mnie dali. Czyż nie hańba – krzyż wojenny pokazywać, żeby sznurek wyżebrać? Ech... Jakby ja miał z dziesięć lat mniej... Do tej Ameryki jechałby ja od razu! Co za kraj... Co za kraj!

Oglądał w telewizorze serial Wszyscy ludzie prezydenta. I, kiedyś, Pogodę dla bogaczy.

– Czemu nam Pan Bóg Ameryki nie dał za sąsiada – westchnął. I w stronę gdzie słońce zapada, w dal, popatrzył. – Tak ona daleko – a iluż ludzi wzbogaciła... Czemu nas Pan Bóg... – I w drugą dal, tam gdzie słońce wschodzi, popatrzył. – ... czemu tymi nas pokarał. Zabory... Sybir... I teraz jeszcze ta ich komuna proklata...

Zaraz, jak to... to i stryko Feliks jak i ja – dwoisty? Rozpęknięty? Podzielony? To nawet w takim mateczniku jak Taplary – człowiek cały glob w sobie nosi? Obie półkule? Wszystkie kontynenty? Wschód i Zachód? Kapitalizm i socjalizm? Pakt Atlantycki i Układ Warszawski? Więc wszyscyśmy – rozdarci? Podzieleni? I granica między Wschodem i Zachodem nie po Łabie biegnie... Ale przeze mnie. Przez ciebie. Przez każdego z nas. Przez środek mojego mózgu. Języka. Nawet serce, choć po lewej stronie ma prawą komorę. To dlatego tak męczę się, szarpię, kotłuję – że to we mnie rozgrywa się walka dwóch systemów... kultur dwóch... ideologii dwóch... To we mnie, w mojej duszy, wzrosło niebezpiecznie napięcie między moim prywatnym Wschodem i Zachodem... Zagrożenie narasta... I we mnie wybuchnąć może trzecia światowa... jakąś katastrofą.

Dwóch moich Serdecznie Bliskich już po wybuchu termojądrowym, już ich trawa porasta. Och, udało się wam, panowie politycy, udało się skłócić nie tylko państwa, kontynenty, ale i każdą głowę – jak glob – znerwicować.

– To wy stryku, tu, w Taplarach, duszę macie amerykańską?

– Nie. Polskie dusze mam. Ale bardziej ona amerykańska niż komunistyczna.

To nawet stryko – chłopisko, które w życiu nigdy dalej od chaty niż trzydzieści kilometrów nie było – nawet on pokawałkowany? Nawet w niego wsączyliście, panowie politycy, swoje

podziały, granice, barykady?

Zmarnowałem szansę. Trzeba mi było – zamiast nonszalanckiej rezygnacji i wyjazdu – wgryźć się w Amerykę. Żeby ją zrozumieć. Żeby o niej opowiadać potem na Wschodzie rozumnie i przekonująco. Trzeba mi było pobyć tam, w Ameryce, żeby poopowiadać o Wschodzie. Żeby opowiadać, że nie jesteśmy ani tacy nędzni, ani tacy głupi – jak o nas sobie w Amerykach nonszalancko opowiadacie.

– Stryku... – spytałem. – To podług was z tego socjalizmu nic nie będzie?

– A będzie! – odpowiedział stanowczo. – Będzie! Dobrobyt większy niż amerykański. A wiesz kiedy?

– No, no?

– Jak się mojemu Burkowi pod ogonem zagoi.

Splunął. Przydeptał. Poszedł...

Pod wieczór na dach wlałem. Cegły dymnika gliną oblepiłem. Kilka obsuniętych dachówek poprawiłem. Długo mitrężyłem. Żeby widzieli. I potem mówili: Nie, to wypadek, on na pewno nie podpalił – przecież jeszcze wieczorem reperował... Może czegoś nie wyłączył... Może papierosa nie zgaślił...

Na dachu siedząc, starałem się nie rozglądać... Wieśniak łkał we mnie. – Nie podpalajmy! – błagał. – Wędrowcu, ten grzech, po co ci? Dobrze już, poddaję się: wędrujemy. Wędrujemy – ale nie podpalajmy! Niech stoi chata... Niech się rozpadnie, rozgnije... ale nie mordujemy!

– Nie! – przy dusił go Wędrus. Nie Wieśniaku-Polaku. Nie, krowo ty liryczna, słowiańska ty babo! Już raz wystrychnąłeś mnie na frajera. Dziś twój koniec. Losem Wieloistego Michała od dzisiaj ja pokieruję – Michał Wędrowiec.

Tak, masz rację Andrzej. Nie można sądzić o Ameryce na podstawie samego New Yorku. Wyrusz greyhoundem przez Pensylwanię – radziłeś – Virginie, Karolinę Georgię – na Florydę. Stamtąd – przez Alabamę, Missisipi, Luizjanę, Teksas,

Arizonę – do Kalifornii. Przejedź z południa na północ wzdłuż Pacyfiku – potem z zachodu na wschód wzdłuż kanadyjskiej granicy. Jest lato – wszędzie po drodze znajdziesz u farmerów zarobek na etap następny. Popracuj z Amerykanami – zobacz jak żyją, jedzą, odpoczywają, modlą się – przyjrzyj się ich domom, sklepom, stadionom, kościołom. Nauczysz się głodować w tym bogatym i twardym kraju – uciekać i gonić, bronić się, pomagać. I zobaczysz, ile tu życzliwości. Szczerości. Dzielności. Pracowitości. Tak, Nowy Jork jest fascynujący. Śmietnisko Ameryki i – Świata. Ale i laboratorium – Świata. Tygiel wszechnarodowy. Największe skrzyżowanie kultur w historii. Ale – to tylko witryna Ameryki. Jedź w głąb...

Zlekceważyłem. Bo... Bo zarozumiałstwo? Lenistwo? Strach?...

Skończyłem reperować o zachodzie. Słońce zjechało na taplarskie zagajniki i pastwiska. Czerwone. Nie udawajmy, Michały, nie chowajmy głowy w piasek: to czerwone koło nad zagajnikami, i tamto czerwone koło nad Nowe Jersey – jest jednym i tym samym słońcem. Choć ten widnokrąg z drewnianej chaty i tamten Rockefeller Center różnią się o epokę. Sielisko tu, cicho... Z brzeziny wyszła sarna – rozejrzała się – weszła do stawu... pije... Stryjna Pawlicha konia prowadzi zza górki – ona stara, on stary – głowy opuszczone... Gdzieś daleko pies poszczekuje... I zapachy, zapachy... Słońce zapadło w nadnarwiańskie łąki... trwa właśnie ta największa pora, kiedy hen za horyzontem Dzień mówi nadchodzącej Nocy „Do widzenia”, odchodzi... A Noc jeszcze nie wchodzi... jeszcze stoi za horyzontem – czeka – ogląda się za odchodzącym w szarość Dniem. Cudowna chwila, nie ma nikogo: ni Dnia, ni Nocy...

Patrzyłem zachwycony.

– I chcesz to wszystko... ten widnokrąg... wszystko najdroższe z duszy wypalić? – wyszeptał Wieśniak. – Nie trzeba! Nie trzeba!

– Spójrz, Wsioku, po raz ostatni – rozkazał Wędrus, głosem katowskim. – I opuść oczy. I złaź!

Spojrzałem. Złazłem. Jak automat. Plecak wzięłem na ramię. Chatę z pokazowym trzaskiem zamknąłem. Do stryja zaszedłem, pożegnać się pokazowo. – Za tydzień przyjadę na dłużej – skłamałem. Stryjnę Pawlichę wylewnie pożegnałem. Wędrus już tym wszystkim zimno kierował. I poszedłem ścieżką – w las – do pociągu. Bilet kupiłem – ludzie widzieli. Wsiadłem do ostatniego wagonu i kiedy pociąg ruszył – wyskoczyłem na drugą stronę... w półmroku, przygarbiony, w lesie przepadłem. Nie śpiesząc się, w poblizze chaty wróciłem. Na skraju lasu przeczekałem, aż ściemni się na dobre. Do następnego pociągu mam trzy godziny – akurat tyle, żeby załatwić swoje – i wrócić lasem, do ostatniego, pustego już o tej porze wagonu... Zaczekałem, aż u stryja Feliksa i u stryjny Pawlichy zgaśnie w oknach. Zgasło... Cichuteńko wszedłem... Koc na okno zawiesiłem, lampę naftową, trzydziestoletnią, pamiątkową, przypaliłem. Bo list do ciebie, Andrzej... a może do siebie samego?... nagrać umyśliłem. I – nagrałem. Już powiedziałem, co miałem do powiedzenia... co musiałem komuś wypowiedzieć – po nowojorskim wstrząsie. Czas... Nie mogę dłużej odwlekać... bo spóźnię się na pociąg... Muszę to zrobić, Andrzej, no muszę!... inaczej nigdy – inaczej nigdy sobie z tą wiejszczyzną... słowiańszczyzną, polszczyzną – nie poradzę. Miasta muszę się uczyć... I Stasia muszę uczyć. Ma rację Wędrus: nie można aż tak przywiązywać się. Do nikogo. Do niczego. Do żadnego czasu. Do żadnej rzeczy. Do żadnego miejsca! Ojczyznę trzeba mieć w sobie – i wszędzie. Środek Świata wozić za sobą – i nie tęsknić za żadnym innym miejscem, ani innym czasem. Być tu, być teraz – gdzie się jest... I dlatego... musicie... musicie... umrzeć. Ty, nieszczęsna... droga... szmato...

Andrzej, teraz wyjmuję z mojego plecaka – który już na-

siąkł zapachem Twojej Ameryki – wyjmę koszulę... Magneto-  
fon słyszy, co mówię, co robię, co szeleści... Wyjąłem, rozpo-  
ścieram, oglądam koszulę – białą koszulę w czerwone smugi –  
tę koszulę, która rozrzewniła mnie do powrotu. Rzucę ją na  
łóżko – to łóżko, w którym czterdzieści parę lat temu urodziła  
mnie pewna wieśniaczka. A teraz wyjmę butelkę... W tej butel-  
ce jest pewien płyn – który buchnie ogniem jak bomba hiro-  
szimska. Niech się zacznie od koszuli. Polewam najpierw  
koszulę, Andrzej. ...Polewam, słyszysz? Polałem ...kładę na  
łóżku. A teraz ciebie poleję, moja kołysko, łóżko moje rodzone  
– które kiedyś, jeszcze przed moim narodzeniem, sklecił z  
desek mój ojciec... Muszę to zrobić, muszę. A teraz was skro-  
pię, obrazy wy moje prześwięte... A teraz schowam pustą  
butelkę do plecaka.

Andrzej – słyszysz mnie?

Teraz zdejmuję lampę z gwoźdźca. Zdejmę szkło. Wykręcę  
knot, żeby płomyk był większy.

Jest. Wysoki.

Teraz przypiekę sobie dłoń. Nadgarstek. Żeby doznać, że  
nie śnię, że to prawda. Potem będzie się to jątrzyło. Żeby  
pamiętał. Zaraz włożę magnetofon do kieszeni. I rzucę lampę  
na tę koszulę.

Czy mnie rozumiesz?

Jeśli tak... jeśli zrozumiałeś to... to jeszcze raz przyślij mi to  
zaproszenie! Może uda mi się jakoś dostać znowu paszport i  
wizę.

A teraz – dłoń i ogień...

Och, boli!

Andrzej, teraz rzucę lampę i ucieknę.

Bądź zdrow!

Jezu! Boli!

24.XII.1984



**TAŃCOWAŁY  
DWA MICHAŁY**

## Od Wydawcy

1. Tekst niniejszej opowieści był opublikowany – w 10 cotygodniowych odcinkach – w r. 1985 w Nowym Jorku, przez „Przegląd Polski”, tj. tygodniowy magazyn społeczno-literacki „Nowego Dziennika”, największej polskiej gazety poza granicami kraju (nakład 15 do 25 tys. egzemplarzy), czytany przez Polonię głównie w USA i Kanadzie.

2. W r. 1986 warszawski tygodnik „Kultura”, uchodzący wtedy za pismo tzw. reżimowe zaczął – bez powiadomienia autora – przedruk tej powieści, co – wskutek jego protestu – przerwał.

3. Podejmując publikację książkową, BGW zaproponowało autorowi skróty i uzupełnienia wynikające ze zmiany adresata (w Nowym Jorku – czytelnik polonijny; tutaj – czytelnik krajowy, dla którego pewne sekwencje wersji oryginalnej są nieistotne lub nieaktualne, inne zaś byłyby bez uzupełnień niezrozumiałe). Autor dokonał też – nieodzownych w edycji książkowej – poprawek stylistycznych i formalnych.

4. Ponadto autor – uważając, iż po 9 latach liczy się tylko reportażowo-dokumentalno-literacka wartość opowieści, zaś jego konflikt osobisty z „drugim Michałem” jest sprawą trzeciorzędną – zaproponował wydawcy zamianę autentycznego pseudonimu aktora na pseudonim fikcyjny. Zaakceptowaliśmy...

I. Było to 30 lipca; w szesnastym dniu pobytu mojego na sławnej Ziemi Amerykańskiej. Idziemy ci my z kuzynem Witkiem „małym Manhattanem” (tak na Greenpoincie nazywają Manhattan Avenue), a tu przed sklepem Ryśka Janucika kto? co? przed nami wyrasta? Ktoś siwy, siwy-przerzedzony nieznanjomy, a jakby trochę... znajomy? I głowę siwołysą schyla, i jakby przede mną przyklęka? Nie wiem, czy poznajesz... może pamiętasz... ja kiedyś w Krakowie... monodram... Nazywam się... I głos zawiesza, w oczy mi patrzy, czy przypomnę.

Błysk: aha, ten aktor... kręcił się koło „Piwnicy pod Baranami”... pseudonim dziwny miał... zaraz... Coś ze sklepu spożywczego ... Gruszka? Nie. Lecę wyobraźnią po regałach... Sardynka? Nie. Kiełbaska? Nie... to coś z pieczywa było... Rogalik? Chlebek? Kromka? Chałka? Nie. Coś z baru. Mlecznego. Mam!

– Pirożek?

– O! – ucieszył się. – Pamiętasz!

W rękę chciał ucałować... nie pozwoliłem! Poklepałem. Ośmieliłem. I czekam. Co powie. On czeka, oczkami świdruje: czy wiem, że grał. Czy mi już powiedzieli... Czy ja tu dawno, pyta, na jak długo.

– A ty?

Odpowiada... ostrożnie... żeby za dużo nie powiedzieć. Hm, myślę, co ty za sprawę masz, że narażając się na reprymendę za łamanie zakazu drogę mi zastępujesz? Oj, ważna musi być sprawa.

– Dwa razy Stany objechałem, z monodramami moimi... – informuje. – I Kanadę.

– A... co grałeś?

– Oskarżonego – powiada. – Dworzec w Monachium... Co-

las Breugnon... – I urywa. A oczy jego bystre mnie szpikują.

– Szkoda, że Konopielki nie grałeś – mówię smutno.

– O, nie! Parę razy zagrałem – pocieszył – ale tutaj, stary, ona w ogóle nie bierze – zmartwił.

I widzę, już nie przestraszony, nie unижony już, ale – wyprostowany już. Napuszony już! Już pewny siebie, bo pewny, że nie wiem. A jeśli nawet wiem coś, to niewiele.

– Słuchaj – mówię – ja parę lat temu list do ciebie wysłałem. Otrzymałeś?

– A ten, żebym nie grał... – mruknął ponuro. – Nie, nie otrzymałem! – oznajmił nagle, w oczy mi patrząc bez mrugnienia.

„Aha, takiś ty, bratku...”

– Słuchaj, Edward – wycedził już inaczej: choć nieduży, przecież jakoś z góry. – A gdybyśmy tak pojechali przez Stany i Kanadę... razem?

Zatkało mnie.

– Z Konopielką?

– Nno nie... Jakby tu powiedzieć... Gdybyś tak napisał... z myślą o mnie... monodram? Taki pod tutejszą Polonię... monodramik... No? Mam też w Meksyku znajomych.

– W Meksyku! – jęknąłem.

– Taaa. W Mechiko Sity...

Ja – dookoła Ameryki? Ja dookoła Ameryki. Coś... ktoś poruszył się we mnie... San Francisco? Vancouver? Montreal? Chicago? Tak, w starym koniu, w mężczyźnie chłopiec się poruszył. Ten, co kiedyś o podróżach marzył... Pensylwania, Alabama, Teksas, Kalifornia! Nazwy słynne... miasta legendarne... Jakies abstrakcyjne jednak... nieosiągalne... Jak Droga Mleczna, jak planeta Wenus... A ten ci...

– Ty, Edward, pisać umiesz, ja – spektakl zrobić i tournée zorganizować. Dwa razy przecież dokoła...

– Samochodem?

- Nie. Greyhoundem.
- Co to?
- Taki ich pekaes. To jak? – spytał, już nie z góry, ale całym z wysoka, choć nieduży. – Spotkamy się?  
Umówiliśmy się na jutro.  
I teraz będzie, jak się połakomiłem. A nieco dalej, jak mnie Pan Bóg za to pokarał.

2. Spotkaliśmy się pojutrze, 1 sierpnia. U mnie. Jul, współmieszkaniec, w robocie. Wchodzi on.

- Boże! – jęknął. – Taki artysta – i w takiej norze!

A mieszkanie, choć niewielkie, przez Julia – który mnie na pomieszkiwanie przygarnął z sentymentu do Konopielki, właśnie – zadbane. Schludne. Odmalowane. Karpety – czyli wykładzina podłogowa po amerykańsku – nowy, elegancki.

„Nora? – pomyślało mi się. – To w jakimż pałacu ty mieszkasz!”

A ten cenę swoją podbija... O recenzjach z monodramów mówi, że znakomite... ma wycinki, przyniesie, pokaże. Że Grodzicki w Życiu Warszawy – zobaczywszy go w Ateneum – nazwał jego Konopielkę najlepszym monodramatem, jaki widział w życiu. A przecież...

A przecież ja tymczasem, przez dwie doby, zdążyłem ludzi wypytać. I ową amerykańską kasetę z Bułeczkowym nagraniem zdobyć. I którą, z bólu skręcając się, przesłuchałem. Trajkocze – tak samo, jak kiedyś w Krakowie. Na jednej strunie. I tak trajkotał po Stanach i Kanadzie? Boże, niech ktoś mnie trzyma, bo ja go zaraz za kołnierz i...

Ale Meksyk, Arizona, Newada, Kanada!

A ten szpanuje.

– Wiesz, widział to Tadzio Łomnicki w Stodole. Powiedział mi, że...

- Tazio?
- To nie wiesz, że on z Krakowa startował? Morze wódki my razem... A Kudek to od razu chciał mnie do Starego.
- Kudek?
- No, Swinarski.
- Swinarskiemu było Konrad.
- My mówiliśmy Kundzio, Kudek. Widział też mnie w Ateneum Gucio... Nie rozmawiałem osobiście, ale mówili mi znajomi, że...
- Gucio?
- Holoubek, no!

Gucio, Kudek, Tazio... Ho, ho! Z herosami naszego teatru na „ty” nasz Pierozek! Kumpel ich, przyjaciel... Pasemka siwe zarzuca od ucha lewego aż na prawe, żeby nie prześwitywało. Bluza szpanerska, na klapie plakietka THEATRE – i coś tam jeszcze mniejszymi literkami. Orzełek. Znaczek „Solidarności”. Adidasy. Łączuszek na przegubie. I temu podobne bajery na frajery. Oj kocham ja, oj uwielbiam takich... ale że mi tak córkę moją – którą sześć lat płodziłem-rodziłem w bólach-mękach niewyobrażalnych dla chałturzystów – że mi moją Konopieleczkę, bez mojej ojcowskiej zgody, włóczy po chałturówiskach – męczy, obraża, kaleczy? Znam takich: w miejscu prestiżowym – w Ateneum, w Stodole – widząc recenzentów – spręży się taki, przejdzie samego siebie, zda egzamin. A potem – dla emerytów, żołnierzy, chłopstwa – w ich klubach, świetlicach, bibliotekach – odwała półtoragodzinny spektakl w trzy kwadransy, opuszczając rozdziały, pędząc do końca: do tyśiączka w kopercie – i do następnej świetlicy. Uch, chałtura! Chałturski świat. Chałturscy rekordziści. Chałturskie dusze. Forsa, forsa, forsa...

– Całą stronę organizacyjną, w tym finansową, na siebie biorę – mówi. – Przychody na pół dzielimy, koszty ci potrączę i te półtora, dwa zostanie ci na pewno. Oddasz kuzynowi dług...

bo teraz, na ten miesiąc – dwa pisania pożyczysz ci, nie? I tak to będziesz miał dwa miesiące turystyki amerykańskiej za darmo. No jak?

Słucham, jak przez mgłę, jak pijany – choć tylko colę z lodem pijemy. Ziścić się ma to, o czym tyle myślałem – bo marzyć, że zobaczę, nie śmiałem. Trochę po trzydziestce rozpęd straciłem – nie wody szerokie, oceany, ale studnia – mówiłem. W głąb! A nie wszerek, po wierzchu. Trawa, jabłonie, chata, brzezina. A świat? Karnawał w Rio, New York, Niagara, Sahara, Rzym? Nie, wykreślamy to, Chłopcze... Wykreśliłem, i Chłopca – którego każdy, ja, ty, on mamy w sobie, tego, co czytał Maya, Londona, Verne'a, który i marynarzem chciał być, i lotnikiem, i kowbojem. Po cichu, oschle, okrutnie się go pozbyłem. Niechłopaćka brutalność świata onego czasu w oczy mi zajrzała. Zgorzkniałem... Sił zabrakło? Odechciało mi się? Pewne możliwości podróżywania przecież miałem...

Miałem – ale i nie miałem. Możliwości były – ale za cenę upokorzeń ilu. Wszak młodym wielce obiecującym byłem – wystarczyły deklaracje. Ale ja chorobliwie, jak żrenicy oka niezależności pilnowałem.

I oto szansa: bez niczyjej łaski, prywatnym moim wysiłkiem – bez Departamentu Stanu, bez Wydziału Prozy KC – szmat świata objadę. I to jakiego świata!

Czarodziej się zjawił, który mi planetę Wenus pokaże, Drogą Mleczną przewiezie. Bylebym mu napisał ten monodram... monodramik pod Polonię.

– Ty angielski znasz? – pytam.

– Sześć i pół słowa – odpowiada. – To nieważne. Można znać perfektnie dziesięć języków i siedzieć w domu.

Rzeczywiście. Do Paryża kiedyś i do Niemiec narzeczona siłą mnie zawiozła. Gdyby mi zaproszenia z USA przyjaciele siłą nie wmusili, dokumentów nie załatwili, do samolotu nie załadowali – nigdy bym się w Nowym Jorku nie znalazł. I choć

Manhattan oszołomił mnie, z martwoty wskrzesił, podelektryzował – czyż odważyłbym się w świat ruszyć dalej? Nie, na pewno nie.

A czarodziej:

– Zorganizuję ci podróż życia! Po spektaklu rozmowy, przyjęcia, zwierzenia... Ludzie chcą się wygadać. W dwa miesiące więcej się dowiesz o Ameryce niż inni w lat dziesięć. To nie jakieś turystyczne łązenie po muzeach. Pod skórę wejdziesz! Rozumiesz? A po tej podróży znowu napiszesz – i znowu pojedziemy!

Koncepcję wyklada:

– Pierwsza część – monodram. Ja wykonuję. Druga część: dyskusja z tobą. Ale napiszesz tak, żeby tych głębów poruszyło, szarpnęło, wkurzyło. Pomidorem niech ktoś rzuci albo krzesłem! Tu, stary, skandal jest sukcesem. Napiszesz?

– Boże... – westchnąłem, Chłopiec we mnie westchnął. – Jak ja kiedyś geografię, historię lubiłem...

– Wiesz... – pochylił się, oczy zamglily się mu wzruszeniem, gra? – Dziesięć najlepszych lat mego życia zawdzięczam tobie. To znaczy twojej Konopielce...

Nie, nie gra, pomyślałem, tak dobrze by nie zagrał, to musi być prawdziwe.

– I Edward, cieszę się – ciągnie – że będę mógł spłacić ci ten dług wdzięczności podróżą. Więc jak? Ile potrzebujesz, żeby napisać? Miesiąc? Dwa?

– Powiedzmy, że półtora – powiedziało mi się.

– Znaczy... robimy? – wyciągnął dłoń.

Impresario z ciebie, widzę, wybitny. Tylko, że aktor niezbyt zaszczyty. Że chałtura... Ale:

Georgia, Alabama, Teksas, Arizona...

Utah, Newada, Oregon, Kanada...

Fantastyczne nazwy same w pieśń się układały.

– Robimy! – powiedziałem. I podałem tzw. łapę.



Na wsi mówią: Jak Pan Bóg chce pokarać, to rozum odbiera.

3. Kuzyn Witek, po gasterbeitersku zaharowany kuzyn Witek, powiada: – Piękna sprawa! Ach, co ja bym dał, żeby tak...

Jul torbę długopisów i flamastrów mi zafundował. – Pisz – powiada – widokówki będziesz mi przysyłał z równoleżników...

Papiery się kupiło – a w Nowym Jorku, gdzie gazetowym papierem szasta się za centy, papier listowy i pisarski antyrozumnienie drogi – i...

I niestety, będzie teraz to najnudniejsze. Nudne jak flaki z olejem, ciężkie jak ołów w tyłku, przykre jak uwięzienie w czterech ścianach – kiedy za oknami Nowy Jork huczy fascynujący, Ameryka podniecająca, egzotyka kapitalistyczna, fantazja imperialistyczna. Radzę ze trzy rozdziałiki przeskoczyć... o pisaniu będzie.

Bo pisanie jest nudne jak flaki z olejem. Każdy kiedyś jakiś list pisał – wiemy, ile tego zbierania się... odkładania... zaczynania... wyrzucania... A czasem ni stąd, ni zowąd szast! prast! i list napisany, pięć, dziesięć stron! I w zawodowym pisaniu podobnie. Też zdarza się, że piszesz łatwo, lekko i z przyjemnością. Że pisząc nawet śmiejesz się sam do siebie. Albo łzy masz w oczach. Jednak przeważnie – mordęga to. Dobrowolny przymus i dobrowolna męczarnia.

Ja trzy mam motory pisania.

Pierwszy to przekonanie, że jeśli ja czegoś tam nie napiszę, to nikt inny tego nie napisze, nie urodzi.

Druga podnieta: meta. Wyobrażenie mety. Wyobrażenie czytelnika, który czyta, jak czyta. Trochę jakbym po rynnie wlał przez okno... podglądał. Albo wyobrażenie premiery i publiczności... emocja, jak to będzie? Nuda, syki, skrzywione

gęby... czy elektryczność w sali... śmiech, wzruszenie, oklaski?  
Kłapa – czy szczęście?

Trzecia dla mnie pokusa pisania: ludzie. Porozumienie z ludźmi. Listy piszą, telefonują, którzy czytali, widzieli i myślą podobnie. A nawet nie piszą, nie telefonują, ale wiem, że są. Przyjemnie. Dobrze. Rodzina mi się powiększyła. Rodzina współczujących. Na nieprzyjaznym tym świecie.

Pieniądze? Też. Ale co do mnie, nigdy mi się żadna fortuna jakaś nadzwyczajna nie marzyła, nie śniła, wywyższenie pieniężne ponad innych. Pewnie, trzeba zarobić na następne pisanie...

Tym razem, kiedy Dolorado zaczynałem, inne światło przyćmiło tamte światła. Inny blask, inna luna, inna zorza:

Meksyk, Arizona, Kalifornia!

Utah, Newada, Kanada!

To nie Porożek – to Chłopiec zagnał Mężczyznę, starego konia zapędził w cztery ściany, od Nowego Jorku odgradził.

Mówią: żeby pisać, trzeba mieć olej w głowie i ołów w tyłku. Niestety.

4. Pisałem ja kiedyś „na zadany temat” w wielu konkursach, często wygrywając. Ale to było dawno. Dziś mogę pisać tylko o tym, co mnie obchodzi. Co najgłębiej dręczy. Hmmm... Czy jest coś takiego, co mnie dręczy – a jednocześnie Polonię by interesowało? Bo przecież „pod Polonię” monodramik być musi...

Od ściany do ściany stąпам, gazety polonijne podczytuję, to kawą się podniecę, to zimną wodą ostudzę i, czuję, że oj, niełatwo będzie. Zamęt, niestety, zamęt straszny w głowie! Mózg jak mrowisko, w którym Nowym Jorkiem jak kijem nagle mi za wiercono – ruch w tym mrowisku gorączkowy, paniczny, jeszcze nie odbudowa, nie przebudowa – rozpadanie się dopie-

ro, rozsypka... Podobno żaden z tych, co na Księżycu stanęli i stamtąd na Ziemię, na Amerykę, na domy swoje i sprawy swoje popatrzili – żaden podobno sobą nie pozostał. Podobno całkiem poważne kłopoty z tzw. równowagą psychiczną mają...

A ja tak z Nowego Jorku na Polskę, na chatę, na filozofie, ideologie nasze, na obozy i programy, popatrzyłem...

Witek raz o sąsiedzie z fabryki, gdzie pracuje, opowiadał: „A skąd on?” – spytałem. Z naszych stron – odpowiada. „Spod Białegostoku?” – pytam. „Nie, z Jugosławii” – odpowiada.

Gdzie Skopje, gdzie Białystok. Tak, tak... Poszerzyła nam się okolica.

Po drugie: cóż ja wiem o Ameryce! Pytań mi przybywa dziesięć, sto dziesięć razy prędzej niż odpowiedzi.

Po trzecie: co ja wiem o Polonii! Poszatkowana jakaś, każda fala emigracji inna, krzyżują się fale, zderzają, wiry, wirowisko polonijne, swary niezrozumiałe, różne Polski pamiętanie, wyobrażanie. Rozproszeni... Nawet do komunizmu nienawiść ich nie jednoczy...

A po czwarte: dom, mieszkanie. Ciasnota, napięcie.

Elektryczność międzyludzka. Kuzyn Witek do nas dołączył – bo tam za nerwowo było, za konfliktowo. Zaraz potem znajomy znajomych o schronienie poprosił – na los szczęścia wysiadł z dalekobieżnego samolotu. No i za ciasno się zrobiło, za nerwowo. Każdy przecież niepewny, przestraszony przekręcony – w Kosmos wystrzelony... każdy z najwyższym wysiłkiem równowagi pilnuje, przed szaleństwem i przed rejteradą się broni. W piątek wieczorem krople Smirnoffa na znieczulenie łykamy, w niedzielę rano w kościele Św. Kostki o niezwarowanie prosimy. Parę razy też byłem, popatrzeć. Pomyśleć. Zastanawiające, widziałem: wchodzą do kościoła na rękach i po godzinie szeptania z Panem Bogiem po polsku – wychodzą na nogach. To, że Pan Bóg jest Polakiem, bardzo to pomaga.

5. Mnie nie pomagało... Rozsypka. Co noc inny pomysł, co dzień rano darcie wczorajszych kartek i od nowa, inaczej... nowy koniuszek nitki uchwycony... znowu nitka za krótka, skończyła się, obrazek na pięć minut powstaje, a nie spektakl na półtorej godziny. Niedobrze. Im bardziej chcę, tym gorzej... nie będzie Meksyku, Newady, Kanady. Z czterech ścian wylażłem na powietrze, na Manhattan ruszyłem podniecający, z tydzień między drapaczami człapałem...

Do katedry Św. Patryka często wstępowałem. Wielki to fenomen, równy Niagarze, tylko odwrotny. Przy Piątej Alei, w centrum nowojorskiego kotłowiska-dolarowiska-żmijowiska taki azyl... taka kapsuła... taki batyskaf. Taka bania magiczna. Taka niespodziewana pieczara spokoju. Ciszy. Powagi.

Człapałem w tym rojowisku, w stolicy świata, w sercu świata, aż wy człapałem.

Dwieście lat trzeba, żeby Amerykę i Nowy Jork jako tako pojąć, zrozumieć. A w tym czasie ona mi o czterysta ucieknie... nie dam rady. Nie mam prawa ni o Ameryce, ni o Polonii pisać. Za głupim. Obcy. Zewnętrzny.

A przecież...

A przecież jest w Nowym Jorku takie miejsce i jest taka sprawa, o których nikt – żaden amerykański historyk, psycholog, ni pisarz – nie wie tyle co ja. Co to za miejsce, co za sprawa? Moja głowa i to, co się w niej działo, kiedy zwałił się na nią Manhattan.

Moje trzęsienie ziemi, trzęsienie głowy, mój zamęt opisać muszę. Każdy tu przeżył trzęsienie ziemi. Czy tak jak ja? Ktoś tak, ktoś inaczej – niech porównują.

Znowu się zamknąłem. Na dwa tygodnie.

6. Umyśliłem, że bohaterem będzie biało-czerwony. Ktoś jak ja, ze Wschodu – Marksem, socjalizmem-komunizmem na-

promieniowany, podczarwieniony, w którym – gdy na Zachodzie się znalazł – Białe się odzywa i z Czerwonym za bary się bierze. „Tańczyły dwa Michały – jeden Krasny, drugi Biały”. W jednym Michale – Wieloistym.

Piałem – blisko końca było – zrezygnowałem. Z powodu cenzury. Nie, nie tej z PRL. Że kiedy wrócę, kto inny się mną zajmie niż cenzura. Przestraszyłem się cenzury USA. A dokładniej: cenzury Polonii amerykańskiej.

Choć w czterech ścianach zamknięty, czytałem przecież Nowy Dziennik, Gwiazdę Polarną, Relax, Życie Polonii ... kalendarze polonijne, przewodniki, Dwóch Edwardów słuchałem, Głosu Ameryki, Wolnej Europy. Także tom Droga Pani Józefa Mackiewicza i Barbary Toporskiej i parę innych tzw. ostrych rzeczy przeczytałem. A i do sklepu chodząc, chcąc nie chcąc parę razy z ludźmi pogadałem. No i sam Pierożek w nocnych konsultacjach telefonicznie uświadamiał. Zgadzało się... Gdyby Pierożek odważył się z moim tekstem wystąpić, nasze turnée zakończyłoby się nie w Kanadzie, nie w Montrealu, ale już tu w Nowym Jorku, w połowie premierowego przedstawienia, pomidorem w nos albo krzesłem po głowie, kozłowaniem ze schodów... obydwaj obezwani zostalibyśmy komunistami, agentami, plotka i gazety podałyby to dalej i – klops!

Byłem na odczycie mecenasa Siły-Nowickiego: widziałem to osłupienie, oburzenie, czytałem napastliwe komentarze. Odważył się porównywać praworządność w USA z praworządnością w PRL, bezprawie w PRL, z bezprawiem w USA! Jak mógł! Szok! Jeśli rozmawiasz z Polonią, mów jej językiem: Gułag, Katyń, KGB, SB, totalitaryzm, reżim, junta, kołchozy, puste półki, SS-20, ZOMO, kolaboranci, glempić, Mongoły, itd. Język, którym nic sensownego nie da się powiedzieć, bo trywializuje, upraszcza. Frazeologia urągająca swoją „radycarnością” rozumowi – „Trybuna Ludu”, tyle że na odwrót, naiwniej i... głupiej.

Schematy, schematy...

O Ameryce tylko na kolanach, o PRL – tylko z pogardą. Spróbuj rzecz rozważyć, dyskutować. Im logiczniej będziesz rzecz pogłębiał, tym pewniejsze, że usłyszysz ni stąd, ni zowąd nagle: – „Jak ci się Ameryka nie podoba, s...j do Jaruzelskiego!”.

*Mniej bałbym się w Polsce Służby Bezpieczeństwa jeżdżąc z panegirykami o prezydencie Reagane i premier Thatcher, niż Polaków w USA, jeżdżąc z monodramem o Michale Białym-Czerwonym. Czerwonego w Polakach nie ma – i już. Głowa w piasek...*

7. Raz w Greenpoincie „filozofowałem” ambiwalentnie przed sklepem „Adamby”. Wtem nie wytrzymał rozmówca: – A co mi tam będziesz pieprzył o plusach i minusach, wejdźmy choćby do tego sklepu!

Weszliśmy. Spożywczy, nieduży. Iks wskazał na szafki, półki, chłodziarki. – I o czym tu gadać! – podsumował. I poszedł.

A kto inny pokazał mi na Manhattanie i przetłumaczył napis:

„Jeśli jesteś taki mądry, dlaczego jesteś taki biedny?”

I dodał: – Zastosuj to pytanie do Ustroju, spytaj tego Wschodniego Ustroju: „Jeżeli jesteś taki mądry, dlaczego jesteś taki biedny?”

Tak, obydwaj mieli rację. Mieli, ale i... nie mieli.

Z manhattańskiego aforyzmu wynika jedynie pytanie, czy trzeba, żeby mądry był biedny. Ale nie wynika wcale, że bogatszy na pewno jest mądrzejszy.

Gdyby tak było, ja np. musiałbym uklęknąć przed Pierożkiem, złożyć dłonie i śpiewając „Mądry, Mądry, Mądry!” całować mu adidasy.

8. Zmartwił się Pierożek, że miesiąc zmitrężyłem kręcąc się za własnym ogonem. „Odetchnij” – doradził przyjacielsko. Do „Kuby” kontraktora, wziął żebym dolarowania spróbował, popodglądał gasterbeiterów, milionera, milionerkę, bossa. Manhattan, jedenaste piętro, remont mieszkania kupionego za trzy miliony dolarów. Ciekawe to było... Czwartego dnia koło trzeciej, dziury szpachlując, na innych Michałów się zdecydowałem... na nadgodziny nie zostałem – że już więcej nie przyjdę, Kubie, zdziwionemu, a nawet jakby obrażonemu, powiedziałem – dwieście za te cztery dni zainkasowałem i znowu w czterech ścianach się zamknąłem. Oto Białego i Czerwonego porzuciwszy, z Michała Wieloistego dwóch innych Michałów wyodrębniłem: Wsioka i Mieszczura. Uniwersalniejsze to. A i bezpieczniejsze, pewniejsze.

Dwa miesiące jeszcze – wrzesień i październik – mózg roztrzęsiony wyżymałem, duszę katowałem (bo Meksyk, Newada, Kanada!), żeby ten „monodramik pod Polonię” uskładać, mimo zamętu-kotłowiska w głowie. I tego tu życia do góry nogami, krzyżujących się godzin, oddechów, sporów... mimo burzowej elektryczności w greenopoinckim mieszkaniu. Pierożek stał za plecami.

– Kończ, kończ! – naciska. – Potem doszlifujesz! Wizy przedłużajmy – skoczmy na święta do Meksyku, po Nowym Roku w Niu Jorku prapremiera i – w drogę!

Ostatnią stronę dostukuję, ostatnią kropkę, jeszcze: „2.XI.84, godz. 18.45” dopisuję, kartkę wykręcam, on ucapił, do tamtych kartek dołączył, zakręcił się, podskoczył, pobiegl. Na Queens, do swojego apartamentu.

– Dziś Zaduszki w Polsce – westchnął Jul, który widział, jak ja się tym amerykańskim pisaniem katuję. Nieraz w nocy różaniec szeptał. Potem kiedyś wyznał, że szeptał w intencji, żeby mnie nie zwariowało. Kochane chłopisko. Bo kto wie, gdyby nie ten różaniec.

Przed północą telefon. Pierozek.

– To jest to! – pieje – Och jak ja to zagram, jak ja to im zagram! Na całość pójde! Na full!

Odetchnąłem. Będzie Meksyk. Będzie Kalifornia, Arizona, Newada, Oregon, Kanada...

9. Zasnąć nie mogłem. W owe miesiące żadne relania, nitrazepamy, rumianki nasenne mnie się nie imaly. Wódka nie. Tylko bomba piwa (0,9461) działa niezawodnie.

Wypiłem bombę. Nic.

Drugą bombę. Też nic.

Witek z nocnej roboty wrócił – schowaliśmy się w łazience, szepczemy.

– Ty mu maszynopis bez żadnej umowy dałeś? – zadrzał. – Toż on tego się nauczy i ucieknie! Tu Ameryka, tu Polak jeden drugiego jak może kantuje, oszwabia, ograbia! Ty nie znasz druzgocącej siły dolara – tłumaczy – jeszcze nie wiesz, że dolar każdą uczciwość, każde słowo honoru łamie. Matkę Polkę skurwi, Orła Polaka zeszmaci... Trzeba było mu – sztukę wręczając – umowę podsunąć. „Za napisanie w trzy miesiące zamówionego monodramu tyle a tyle... udział w kosztach wyprawy taki a taki... w razie gdyby sam pojechał, odszkodowania tyle a tyle... Człowieku, ja już tysiąc ci pożyczyłem i jeszcze będę musiał pożyczać – ja muszę mieć zabezpieczenie!

A ja: – E, nieładnie, Witoldzie, aż tak wobec drugiego człowieka być podejrzliwym. Polak Polakowi musi trochę na obczyźnie ufać.

A on: – Właśnie dlatego, że ty Polak i on Polak, dwa razy więcej musisz uważać. Na Hiszpanach, Grekach, Brazylijczykach Polak się nie zna. I dlatego oszukuje Polak kogo? Polaka!

A ja: – Jeśli nawet oszuka, to po ludzku. W granicach normalnego, przez Boga ustanowionego skąpstwa. W ramach



zwykłego sknerstwa polskiego na obczyźnie. Przeboleję. Ale co zobaczę, to zobaczę.

A on: – To nie zauważyłeś, że o Meksyku jakoś gadać przestaje?

Rzeczywiście. O jakich komplikacjach napomknął.

– Nie, on mnie nie oszuka – powiedziałem. – A wiesz dlaczego? Bo mu będzie zależało, żeby kiedyś jeszcze raz ze mną pojechać.

Roześmiał się kuzyn Witek.

– Po co mu dwa razy, chi, chi, uczyć się i dwa razy, chi, chi, chi z tobą jeździć, jak on tyle co z tobą za dwa razy, sam jednym razem – chi chi chi! cha cha cha cha! zarobi...

Nie rozumiałem, z czego się śmieje. Nie wiedziałem jeszcze, że w Ameryce, inaczej niż w Polsce, ofiarę, jelenia, kwituje się śmiechem, a nie współczuciem. Cwaniakowi zaś podziw się należy i szacunek. Im kant większy, tym większy podziw i szacunek.

**10.** Stron napisałem 50, z zapasem. Czytamy. To, co da radę aktorstwem zastąpić – wykreślimy. I, widzę, zna się szelma na słowie, oj zna. Oko mu to przygasa, to rozbłyska i, widzę, dobrze przygasa i dobrze błyska: przygasa tam, gdzie słabo, chudo, rozbłyska tam, gdzie mocno, celnie.

– Gdybym miał miesiąc jeszcze – mówię – gdybym mógł to jeszcze raz, na nowo... ja wszystko parę razy piszę...

– Nie! Jest dobrze. I czas nagli.

Telefonował, wpadał – z ubikacji korzystał – herbatę wypijał – pędził. Już program teatralny, plakat, reklamę organizował. – Zawodowcy jesteście – mówił – i wystrój musi być zawodowy. Budzący zaufanie. Wiesz, jak my się nazywamy?

– Wiem.

– Nie wiesz.

– Jak to?  
– Nazywamy się Polski Instytut Teatralny w Nowym Jorku.

– O!

– Dziś wieczorem spotykamy się z panią Polan. Aktorka amerykańska. Założycielka i szefowa tego Instytutu. Weźmie nas pod swoje skrzydła. Ona będzie miała na wykazie zrealizowanych tytułów o jedną pozycję więcej. My – szyld. Jasne?

Kupiliśmy różę, pojechaliśmy.

Manhattan, niedaleko Kolumba. Mieszkanko małe. Kilkoro miłośników sztuki polskiej, maniacy dalekiej ojczyzny. Sympatyczni. Wzruszające to, ta tęsknota. Między nimi córka najstynniejszego polskiego reżysera teatralnego. Siwiutka.

O księdzu Popiełuszce pogadaliśmy. O brutalności. O ciemnej stronie człowieka. O aktorze z Kalifornii, który po Ameryce podróżował, kantował innych aktorów i publiczność. Bułeczka, że spotkał go, że tfu! Z obrzydzeniem...

Wreszcie o naszym przedsięwzięciu. Co to, o czym, jak. – Muszę wiedzieć, jeśli mam firmować – mówi pani Polan.

– Niech Edward powie – na to Pieróg. I rekomenduje:

– Czołówka prozy i dramatu krajowego...

Przyjemnie mi się zrobiło, z uwagą patrzę. Mówię przeto. Krótko, zwięźle – o dziwo – składnie, trafnie. Oni zaciekawieni, Bułeczka ukontentowany. Miło było. Artystycznie. Twórczo. W swoim gronie. Ludzie sztuki. Ani słowa o pieniądzech.

**II.** A teraz, kochany, reklama! Ja strona fachowo-finansowa, ty teksty...

Piszę wstępy, ulotki, życiorysy. Fotografujemy się. Bo:

– Tu ludzie konkretni, lubią przed transakcją poznać partnera. Fotografia ma zaciekawić i – wzbudzić zaufanie. Aha, plakat Jasio mi robi, Sawka. Kumpel z Krakowa... Razem

my... Fajny facet! Ruszyłbym po sponsorach – forsa na druk potrzebna – ale... Sygnał potrzebny. Mocny sygnał. Przydałby się fragment monodramu w „Dzienniku” ... tobie trochę Kono-  
pielki drukowali – masz tam kogoś?

Mówię, że z okazji tego wydrukowania szefową wydania sobotnio-niedzielnego poznałem. – Nawet ładna dziewczyna – dodaję.

– Ładna? – zaciekał się. – To umów nas – komenderuje. – Fragment zaniesiemy, zdjęcia. Życiorysy napiszemy. Stary, ja sam sobie recenzje tu pisałem, cha, cha, cha, chwaliłem, krytykowałem, porównywałem, ta ich prasa, ech! Aha: musimy zrobić jeden standardowy wywiad, który roześlemy do wszystkich naszych miast etapowych, do tamtejszych gazet, z informacją, żeby drukowano na dwa tygodnie przed naszym przybyciem... Ameryka!

Słucham zdumiony.

– Tak, tak, panie pisarzu. Ameryka! Co ty wiesz o Ameryce... Cztery miesiące jesteś, ale trzy przesiedziałeś w izolatce... A to dżungla, bracie, prawo pięści... a raczej: sprytu prawo, kto kogo!

– Zobaczymy – mówię. – Co przesiedziałeś w tej izolatce, to przesiedziałeś. Za to teraz... Meksyk, Newada, Kanada... Ech!

Zamyślił się. – Choroba... – zmartwił się. – Z Meksyku chyba nic nie wyjdzie. Czas. Za mało czasu. Nie damy rady.

– Trudno – wyznałem. – Najważniejsze dla mnie Stany. No i ta Kanada.

– Opracuj ten wywiad do „Dziennika”.

– Ona nie jest naiwna...

– We dwójkę pójdziemy, sam spaprałbyś, za ustępliwy jesteś. Dzwon!

**12.** Spotkaliśmy się. Wciskamy. Naszych reklamówek, przez nas napisanych, nie chce. Sama wypytuje, notuje. Pierozek, że dwa tysiące spektakli Konopielki w kraju i za granicą. Rekord Polski! Ona go przeświała. On zły. Zdjęcia wcisnęła... wahając się, wzięła. Wracamy.

On: – Co ty jakiś taki... Cichy, niepewny... Wyka mówił o tobie, że... Andrzejewski napisał, że... Co z tobą? Ameryki się przestraszyłeś? Rozejrzyj się: bęcwał na bęcwale. Tu z tupetem trzeba! Jak jesteś wart sto, zachowuj się na trzysta! A ty się pomniejszasz... Fatalnie! Ameryka, ucz się Ameryki! Pewność siebie! Skoroś pewny, znaczy: masz rację. Pewny – bo ważny. A ważny – bo bogaty. A bogaty – bo utalentowany. Z góry, ostro! Na dziesięciu siedmiu się podda. Dwóch ucieknie. A ten dziesiąty? Może w mordę da. Ale może nie da? I widzisz? Siedmiu wycykałeś. A bez tupetu nic. Nikogo. Zero.

Śmieję się. Temperamentu ma Bułeczka za trzech. Idziemy, on pierwszy. Energiczny, Sancho Pansa. Ja pisaniem wycieńczony. I prawdę mówiąc, z powodu zamknięcia od ludzi odzwyczajony. Gwarem zapeszony. Ameryką przestraszony.

– A... – przypomniało mu się. – Mówiłeś coś, że ładna dziewczyna. – Brrr! – zatrzęsło nim. – Dawno tak koszarnej baby nie widziałem.

Śmieję się – wszystko, co mówi, jest od tej jego sarkastyczności niewymownie śmieszne. Bo wszyscy wokół tumany, bęcwały, głąby, koszmarki, kanciarze, bandyci. „Baran” w jego ustach brzmi jak komplement.

Pytam, kto nie jest bęcwał. Polański? Skolimowski? Sawka?

**13.** Nietrudno było ustalić, że Pierozek szanuje tych jedynie, którzy odnieśli sukces i mają pieniądze. Świat to przepychanka o forszę. Sztuka – towar. Towar trzeba umieć sprzedawać. Talent składa się z dwóch części: z talentu artystycznego i talentu

handlowego. Trzeba mieć obydwu. Duży talent artystyczny, duży handlowy? „Jeleń” jesteś. Mały artystyczny, mały handlowy? „Cwaniura”. Duży handlowy i duży artystyczny – „kawał faceta”. Więc Polański – kawał faceta. Kosiński – kawał faceta. Penderecki – kawał faceta... Rzecz jasna, jeleń ma nosić kapcie cwaniurze. A cwaniura facetowi.

Pierozek: – Musimy mieć forszę na druk programu i plakatów. Masz?

– Ty miałeś to załatwić.

– Dobrze. Trzeba znaleźć sponsorów. Takich co bogatszych Polonusów. Że kulturę polską. Na obczyźnie. Powinni. Podtrzymywać. Obowiązek to ich. Patriotyczny. Paru bogaczy sentymentalnych znam. Nowych trzeba.

Ja: – Wstyd.

On: – Czego?

Ja: – Żebrać.

On: – To nie zebranie. W socjalizmie ministerstwa, związki, wydziały pomagają. Tutaj – prywatny mecenas. Jak w średniowieczu. Michała Anioła utrzymywał książę... książę... jak mu tam... a pies z nim tańczył. Tutaj tak samo. Reklamę będzie miał taki za to. I z podatku takiemu dotację odpiszą. Nie wiesz? Oj, oj... Ucz się, chłopie, Ameryki. Aha: Fibak też kawał faceta. Nie zdobyłbyś telefonu?

– Mam. Z pewnych powodów...

– No to już, dawaj!

– Nie.

– Plakaty i programy będziemy oczywiście sprzedawać. Nagram też kasetę. Ty zastanów się nad książką – pożycz u kuzyna i wydrukujemy tekst jako książkę. Po dyskusji autografy – będzie szła jak woda. No to daj ten telefon do tenisisty. Nie bój się, przedstawię się jako Polski Instytut Teatralny, ty niczego nie ryzykujesz. Aha: wiesz jak ją, panią Polan, podkreść? Zaproponuję jej wspólne tournée dookoła Stanów w przy-

szłym roku cha, cha, cha! Poleci na to. Jak éma.

Tu przerwał, bo stanąłem. Zauważył, że mnie tknęło.

– I oczywiście zorganizuję – zagłaskał wpadkę. – Z tą kobietą warto trzymać.

Czułem, że brnę... W nie moje rejony.

**14.** Nareszcie koniec ciasnoty! Za ścianą klitka się zwolniła – bierzemy ją z kuzynem, będziemy mieszkać we dwójkę. Drogo, ale nareszcie po ludzku. Sprzątamy, malujemy, ustawiamy.

W czwartek Święto Dziękczynienia – Thanksgiving Day. Połączymy je z polskimi „wprowadzinami”. Jul dostał z fabryki indyka wielkości byka, preparuje, piecze w natchnieniu – a dyplom kulinarny ma, nie z akademii kucharskiej, ale specjalny, bezpośrednio od Pana Boga. Talent. My z kuzynem kupiliśmy wódkę. Jeszcze troje przyjaciół. Zasiedliśmy w nowym mieszkaniu... Obyczaju amerykańskiego spróbujemy – indykiem jak opłatkami się dzielimy. Toast na cześć Ameryki wznosimy. Potem, za tych, co o nas teraz w Polsce myślą... Zaduma... Tęskno...

Telefon!

– Żeby tylko nie Pierówek – westchnęliśmy zgodnie.

Pierówek.

Zaprasza mnie na popijawę do New Jersey. Ja, że wykluczone, bo wprowadziny, święto, właśnie jemy indyka ...

– To zaproś.

– Wybacz, Pieróg, ale...

– Takiś ty? Przyjaciela nie chcesz?

– Pierróg, jestem współgospodarzem tylko... Chcieliśmy pobyć w swoim małym gronie.

– Nie zaprosisz?

– Nie.

– To przyjadę!

I rzeczywiście, pół godziny później: Edward, Edward! – pod oknami. Oblężenie krzykiem.

Wpuściliśmy. On trajkocząc, je... Je i pije, pije i je. Ale gdybyż to, jedząc tyle, pijąc tyle, choć jedno miłe słówko wydusił. Gdzie tam! On pałaszuje i – wybrzydza się. Taki styl artystyczno-sarkastyczny. Julowi przykro, inni też zdegustowani, mnie przykro, że moim współpracownikiem święto im zmarnowałem. O „Piwnicy pod Baranami”, o pobycie w Rzymie, spotkaniu z papieżem, o Ameryce, Kanadzie trajkocze – ale pilnie wciąż sięga, odkraja, wchłania... trochę z żalem i złością, ale więcej z podziwem słuchamy, patrzymy: fenomen! Zjadł indyka większego od siebie!

Teraz zaczynam wierzyć w to, co raz nam podczas dyskusji o sztuce oszczędzania wyznał: „A wiecie, ile ja w moim dwumiesięcznym tournée po USA i Kanadzie wydałem? Na jedzenie, napoje, rozrywkę, telefony itepe?”

No, zgadnijcie!”

My, że pięćset... że, po pięć dziennie licząc, trzysta może...

A on: „Dwadzieścia sześć dolarów!”

My, że niemożliwe. Telefon quodrę kosztuje, widokówka do kraju ze znaczkiem ponad pół dolara...

On, że trzeba mieć charakter. Nikt w Ameryce do bogactwa nie doszedł bez dyscypliny.

Stół tedy oczyścił, badając, docinając. Ale, dziwne: obzarłszy się, Polak przecież sennieje, zwalnia, trawi. Ten nie... Fenomen! Przyspieszenia dostał. Wszystkich i wszystko złościwością jak z koltów ostrzeliwuje... mnie nawet to bawi. Ale Jul, w religijność ukłuty, pięść zacisnął i gdyby nie to, że gości się nie bije, strzeliłby swoim pershingiem. I stało się: rozwalił nam intruz przyjacielskie spotkanie.

Rozeszliśmy się. On i ja zostaliśmy.

Rozrzewnił się. Zwierzenia zaczął (które nie do druku). Słuchałem ze współczuciem.

Odprowadziłem do *subwayu*. Trzecia w nocy. Na peronie stacji Nassau popisywało się krzykami i kopaniem puszek kilkoro czarnych wyrostków. Widzę: boi się Pieróg.

Normalka, też bałbym się. Kupiłem tokena, wszedłem, żeby mu w czekaniu na pociąg potowarzyszyć. Wzruszył się – tak, pamiętam dokładnie po kilku miesiącach: zwyczajnie, po ludzku wzruszył się Piereżek moim opiekuńczym gestem. O swoich planach mówił... Że ma dość pieskiej włóczęgi – dom w stylu podkrakowskiego dworku szlacheckiego z roku 1848 buduje – chciałby wreszcie pożyć statecznie, rodzinnie, po-cziwie.

Przyjechało GG – wszedł.

Wracając, myślałem nad samotnością cwaniaków. Los karze ich na bieżąco. Ludzie im nie ufają. Mają tacy pieniądze – nie mają przyjaciół.

**15.** Wywiad, wywiad! Ten, co będzie nas poprzedzał! Czemu zwlekasz! Ja latam, załatwiam, wkuwam tekst nocami, w me-trze, przy goleniu – a ty leniuchujesz! Tu Ameryka, stary, tu trzeba pracować...

W niedzielę wieczorem usiedliśmy przy magnetofonie. Za-proponowałem formę: zadaję mu pytanie, on odpowiada, kon-truje pytaniem, ja odpowiadam... i tak dalej. On robi wywiad ze mną, ja z nim.

Zaczęliśmy. Parę minut nagrane. Cofamy. Przesłuchujemy. Niezadowolony.

– Fataaatalnie! Dwa bojaźliwe, skromniutkie ciule. A tu przecież Ameryka! Musimy im wmówić, że jesteśmy dobrzy! Jak sami siebie nie zareklamujemy, kto nas zareklamuje? Choć nienachalnie, swoje wsączyć trzeba. Od nowa. Ty mnie podzi-wiasz, ja ciebie...

Tedy od nowa. Razem obmyślamy każde pytanie, każdą od-



powieź. Ćwiczenie z przedmiotu „reklama”. Jego pouczenia: co Amerykanów bierze, co nie. Nawet zabawne to wszystko. W końcu zapytuję, dlaczego zdecydował się to grać. Odpowiada:

„Przekonuje mnie szczerść tego opowiadania. Przejmująca gorycz Polaka '84. I twój apel o – mimo wszystko – godność. Dolary – tak. Ale nie za każdą cenę!”

I na końcu:

„E. Red. – Boję się premiery. A ty?”

Pierozek: – Podwójnie! Bo boję się publiczności i ciebie.”

Sam to nagranie na papier z taśmy spisałem, skróciłem, wygładziłem. Sam mu pięknie – cha, cha, cha! – przepisałem na maszynie.

Z kogo się śmieję?

Z pewnego aktora, którego „przejął” apel, żeby nie tracić godności wskutek żądzy dolara.

A jeszcze bardziej z faceta, który apelował.

**16.** Dzień, dwa odetchnąłem – i znowu do więzienia. Pisać. Opowiadanie zrobię, książkę. Bo on kasetę wykona. Kto książkę wydrukuje, za czyje pieniądze, na razie nie myślałem – nie wiedziałem zresztą czy dam radę napisać. Tymczasem Pierozek dostrzegł, że mam parę Konopielek (na prezenty z kraju przywiezionych) – kazał sobie ofiarować z autografami: Po sponsorach ruszam – oznajmił. – Będą pieniądze na wyprawę, reflektor, scenografię, program, plakaty. I na kasetę. I na książkę. Moja głowa...

Ruszył. Jak z tymi sponsorami rozmawiał, czym uwodził – nie wiem. Telefonował – klął, że bogaci, ale skąpi.

– A tekstu uczysz się?

– Taa... Muszę wykuć na blachę...

– Zanim zaczniesz próby, chciałbym posłuchać, to i owo

poprawić, podciągnąć. Daj znać kiedy – żeby nie było za późno.

– Dobra. Ale wiesz... Ten tekst nie jest taki dobry, jak myślałem.

– Bo?

– Ostrzej trzeba było! Po oczach komunie! I Ruskom dokopać! Oni tutaj to lubią.

Oj dobrze, że z Michałów Białego i Czerwonego się wycofałem... Ach, jakbyś z tym wyszydzeniem Czerwonych podlizywał się polonijnej gawiedzi. Amerykanie upodobali sobie *polish jokes*. Polacy, nie mogąc zrewanżować się im *american jokes*, odbijają upokorzenie, poprawiają samopoczucie *soviet jokes*. Sztafeta głupoty. Im głupszy Rosjanin czy komunista w takim dowcipie, tym śmieszniej.

Zaczynałem żałować już mojej szczerości, żarliwości w *Dolorado*. Nie na jego pazerność takie niuanse...

Wciąż po Greenpoincie biegał. Trzy razy dziennie potrafił pod oknem krzyczeć „Edward!”. Żebyśmy wejściowe drzwi otworzył. O ubikację szło mu głównie. O herbatę. I o telefonowanie. Bo automat kosztowałby dwadzieścia pięć centów.

– Siedzisz tu w czterech ścianach jak dzik! Do ludzi byś ruszył!

– Nie bądź perfidny. Przecież wiesz, że siedzę w czterech ścianach – dla tej nagrody. Dla podróży mojego życia. Jasne? Myślisz, człowieku, że ja napisałbym dla ciebie jedno zdanie – gdyby nie ta podróż?

Sponurzał. Na chwilę.

**17.** Tymczasem Nowy Dziennik wydrukował fragment *Dolorado* – z życzliwymi – choć ostrożnymi – informacjami o nas i naszym przedsięwzięciu. Dwa zdjęcia do tego.

– Wyobraź sobie – mówię Pirożkowi – kupuję chleb w

sklepiku „Adamby”, a ekspedient, ten wysoki, w okularach, mówi: „Pan Redliński, prawda, poznaję ze zdjęcia”...

– I co?

– Nie, odpowiedziałem, pan się pomylił. A on, zmartwiony: „To szkoda... Bo fragment czytałem... przyjemnie mi było, że pisarza moimi towarami żywię”.

– Dlaczego zaprzeczyłeś! – zdumiał się Pierózek.

– Nie lubię, jak mnie ludzie znają. Przeszkadza mi to. Krępuje. Wolę, żeby znali to, co piszę.

– Taak? – popatrzył jak na wariata – No to raz-dwa, obuwaj się. Idziemy!

– Gdzie?

– Do tego faceta. Przecież to rodzony brat tego wielkiego Adamby. Handlowca polonijnego. Niech ekspedient namówi brata, żeby dał nam z pięćset...

– Fiuu!

– Tu buty. Tu kurtka. Już!

– Pieróg, ja teraz opowiadanie robię... w innym świecie... żyję.

– Pieprzysz! Też jestem artystą, tekstu się uczę, a widzisz? Chleba pilnuję.

Poszliśmy. Pan Janek stał za ladą. Pieróg projekt programu pokazał – że stronica reklamy 500 dolców, objaśnił – niech z bratem się skontaktuje, zażądał.

Nazajutrz przechodziłem koło sklepu, pan Janek mnie zatrzymuje.

– Brat powiedział, że da. Tylko trzysta, ale da. Namówiłem.

– Skąd ta życzliwość?

– Polubiłem pana, jeszcze nie wiedziałem, kto pan, a obserwowałem w sklepie. Wie pan: jak się stoi za ladą, mus być psychologiem, człowiek się wyrabia: jeden rzut oka wystarczy, żeby człowieka wyczuć. A w kraju inżynierem byłem... w

kopalni... ludźmi się kierowało. Powiem coś panu: niech pan uważa na tego Pierożka.

- Dlaczego?
- Nie wiem. Powiedziałem już: jeden rzut oka...
- Uważam, panie Janku.
- No to wszystkiego najlepszego.

W domu telefon. Pierożek. Od „Adamby” dzwoni, tego głównego. Że właśnie piją koniak, że świetny facet. Nie pyszałek, choć bogaty. I patriota. Zna się na polskiej sztuce...

„Aha, telefonuje przy nim, podlizuje się. I mną – swoim wspólnikiem się popisuje...”

Potem drugi telefon. Już z miasta.

– Czek dostałem, trochę za mało – narzeka. – A w środę pójdziemy do Fundacji Kościuszkowskiej. Od czego ona, jeśli nie od popierania kultury polskiej? A zwłaszcza teatru polskiego i dramaturgii polskiej – które tu na obczyźnie zamierają, a które my im ratujemy.

- Nie pójdę.
- A chcesz jechać w tournée?
- Nie szantażuj.
- Baran!
- Ty, uważaj!
- No, Edward... – miękko, krotchwilnie. – Na żartach się nie znasz? To będziesz w środę w Fundacji? Czy mam iść sam?

– Idź sam.

Wahanie, sapanie słycać namysł.

– Edward... – Troskliwie, opiekuńczo. – Powinieneś tego prezesa poznać. Pamiętam, mówiłeś, że dla swojej powieści musisz choć ze dwa tygodnie na prawdziwym Manhattanie pomieszkać.

- Chciałbym.
- No właśnie. Słyszałem, że oni jakiś pokoik hotelowy na

Manhattanie mają, zagaisz przy okazji.

Rzeczywiście... Sam nie odważę się do tak górnej Instytucji, w tak przyziemnej sprawie, nawet telefonować.

**18.** Kamienica nowojorska, właściwie pałacyk, Upper East Side, najdroższy Manhattan. Wita nas człowiek wysoki, młody – od nas na pewno dużo młodszy. Siadamy, on za biurkiem, my w fotelach.

– Słucham panów – mówi uprzejmie.

Pierożek, dziś przeziębiony, zakatarzony, w stroju tym razem byle jakim, niereżyserowanym – zaczyna. A jakże, zgodnie ze swoją teorią tupetu.

– Hmm, chr... hmm... Tego... To jak pana zwać? Prezes? Przewodniczący? Sekretarz?

Ciarki poleciały mi po kręgosłupie.

Nie odpowiedział młody. Chwilę w blat biurka patrzył, wiedziałem: już nas zdefiniował. Zakwalifikował. Ustalił traktowanie i penię. Niezależnie od tego, co jeszcze usłyszy.

A Pierożek mnie przedstawia jako wybitnego, ale to już tak wybitnego, że musiał się zdziwić prezes, dlaczego to Miłoszowi, a nie mnie Nobla dano. I powiada: – Mów, Edward...

Więc zacznę „po amerykańsku”, na pewniaka, z tupetem, o epokowej wadze naszego przedsięwzięcia... o ruszeniu tematów tabu... dramacie Polaka tułacza... ale szszszuu! szszszuuu! słyszę. Szelest. W powietrzu. Dolarów szelest. Wszechogarniający. Tonę. Gubię się w słowach...

– Przepraszam cię, Edward – przejmuję głos, ratuje Pierożek. – Jesteśmy, prezesie, w Ameryce, wśród Polonii amerykańskiej już kilka miesięcy. Wiele, niewymownie wiele zawdzięczamy temu wspaniałemu krajowi i naszej Polonii. Chcielibyśmy odwdziżyć się najlepiej, jak potrafimy. Ale trzeba nam w tym pomóc...

Gadanina następuje. Pieróg kiwa, Prezes zbywa. Kulturalnie, przysłowia cytując angielskie, aforyzmy chińskie. Pieróg coś o doli polskich gastarbeiterów w Ameryce, a on – dyskretnie, aluzyjnie nas obnaża: przecież wy też gastarbeiterami jesteście. Gastarbeiterami sztuki...

– Pieniądzy nie mam – usłyszeliśmy. – Salą służę. 1 mogę podać parę adresów ludzi sztuce przyjaznych.

Zajrzał do jakiejś broszury, jedno nazwisko wyłuskał, drugie.

– A mógłby mi pan ten spis sprezentować? – szybko Pieróg.

Prezes spojrział... Sprezentował.

Jeszcze trochę gadaniny. Pieróg innych wytrychów próbuje, niestety – uprzejmy opór, dyskretnie zbywanie.

Ja rzecz jasna o tym pokoju hotelowym zapomniałem. Wychodzimy. Teoria tupetu sprawdziła się, ale tym negatywnym przypadkiem. Nie dostaliśmy po twarzy, a przecież wychodzimy jak spoliczkowani, z gębami czerwonymi: Pieroga czerwona ze złości, moja ze wstydu.

Idziemy przepiękną Park Avenue, ku Midtown... Świątecznie, mikołajowo jarzą się jak nieziemskie jagody – żaróweczki na drzewkach. Piąta po południu, w zmierzchu blask wystaw, latarni, białe oczy samochodów, tłoczno, gwarno, wielkomiejsko! Ekstrawagancka młodź, drogocenni biznesmeni, damy w futrach... rewia mody, urody, bogactwa. Przechodzimy na Madison Avenue.

– Czy wiesz, że to najdroższy punkt świata? – podnieca się Pieróg. – Wynajęcie metra kwadratowego powierzchni sklepowej kosztuje tu... – I wymienia jakąś dolar-liczbę. – Na drugim miejscu Hongkong. Na trzecim Londyn...

Rozdygotany. W euforii! Ja za nim ze zwieszoną głową.

Wtedy właśnie pomyślało mi się: Sancho Pansa i Don Kichot...

A ze zwieszoną ja głową, bo już wiem: żegnaj Meksyku, Newado, Kanado. Nie pojedę. Jeszcze trzyma ze mną Pierożek, bo jeszcze nie wszystko ze mnie wycykał. A jak wycycka – sprowokuje kłótnię, obrazi – żebym to ja się obraził i odszedł. I drogę miałby wolną. – Och, kocham to! – prawie śpiewa, oszłomiony światłami, rojowiskiem, dezodorantami. – Centrum wielkiego miasta, czyż może być większa radocha? Boże!

I do mnie:

– Ty, smutasz ty! Czemu się nie cieszysz? Czego ci brak?

Zaraz. On – Sancho Pansa. A ja? Czy na pewno Don Kichot? A może muł ja – na którym Sancho jedzie?

– Kto ty jesteś! – zdenerwował się. – Zastanawiałeś się kiedy nad sobą? No?

Cha, cha, czy zastanawiałem się... Kiedy od kilkunastu lat nic innego nie robię – tylko i wyłącznie zastanawiam się nad sobą i bliźnimi.

– Wieloisty jestem – odpowiadam.

Nie rozumie – choć nasz monodram właśnie o wieloistości człowieka. Ale sztuka dla Pierożka, to sztuka... zarabiania na życie prawdziwe. Nie widzi, że Michała Wieloistego i Dolorado, choć ono ułomne, nie dorobione – ze swoich żył wyprułem. Z masochizmem prawie, byleby napisać. Tak strasznie chciałem tej podróży amerykańskiej, spotkań, niespodzianek.

– No spójrz na siebie! – krzyczy już. A Piątą Aleją idziemy. – Czym tu w Nowym Jorku jesteś! Do restauracji? Teatru? Ty nawet do pizzerii wejść nie możesz, frajerze! Masz konto – ale ha! ha! ha! – minusowe. Na ile się zadłużyłeś?

– Ponad dwa – mówię. Cierpliwie.

– Przecież od wydawcy pięćset za Konopielkę dostałeś!

– Gdybym nie dostał, byłoby dwa i pół.

– Posłuchaj, Edward... Groźnie, serio. – Ja nie mogę jeździć z kimś, kto zachowuje się jak ty. Bo nie zechcą nas kupić. Ameryka! Musisz być atrakcyjnie ubrany! Masz być ważny,

pewny siebie. Imponujący!

– Przestań – proszę, jeszcze łagodnie. – Nie widzisz, że jestem strasznie zmęczony? Cztery miesiące w czterech ścianach... na duś... kawa, herbata na okrągło... głowa mi pęka... nie śpię. Wszystko to w imię naszej podróży.

– Nie – mówi bez ogródek – z takim zdechlakiem nie pojedę.

Tak. Chce, żebym dał w pysk. Albo kopnął.

– Obrażasz mnie, żebym się wycofał?

– Uświadamiam ci prawdę.

No, sprawdzę cię, graczu...

– Uważaj, Pierogu – oznajmiam groźnie. – Jeszcze raz powiesz coś do mnie takim tonem, a zdenerwuję się i będziesz musiał jechać sam!

Aż stanął. Aż twarz mu się zajarzyła. Przez moment. Bo po chwili:

– No, nie... – mruknął niby zafrasowany. – Sam nie pojedę...

– Nie szanujesz mnie, Pierogu...

– Słuchaj, talent to ty masz... Ale co z tego?

– Zacząłbyś mnie szanować, gdybym pokazał ci sto tysięcy na koncie?

– Przesada. Pokaż mi... dwadzieścia.

A miasto kipi, jarzy, wiruje, oszałamia! Wirowisko w oczach, wirowisko w głowie... Nowy Świat, Lipowa, Fifth Avenue, Rockefeller, Mikołaje, Dorotka, brzozy, Murzyni, Chińczycy, samochody, helikoptery... Tasowało mi się w pamięci całe życie... Wspomnienia, zdarzenia układały się we wzburzonej duszy w nową konstrukcję, ład nowy, sens inny. Jaki? Nie wiadomo, nie wiedzieć, czy się złożą, może nie? Szedłem przy nim bezgranicznie zmęczony.

– Zajdziesz ze mną do doktora Zet – oznajmił. – Dentysta. Miłośnik sztuki. Da. On daje...



Centralne centrum Nowego Jorku: róg Piątej Alei i 38 Ulicy. Siedemnasty floor, jak na Manhattan niewysoko. Wjeżdżamy. Mężczyzna w białym kitlu uwija się wokół panienczki w fotelu. Pomoc każe usiąść, czekać.

- Ten pan jest pisarzem, a ja aktorem – na to Pieróg.
- Zęby my mamy zdrowe. My w sprawie sztuki.
- Panie doktorze – melduje pomoc – artyści do pana!

Pacjenteczka słysząc „artyści”, głowę aż wykręciła z fotela – pan doktor dowcipnie opuszkami palców po policzkują skarcił. „Uan moument”, zawołał. Usiedliśmy. Obrazy na ścianach, oryginały. Sztuka. Mrugnął do mnie Pieróg. Że kupuje. Kciukiem znak dał, żebym głowę trzymał prosto. Wygramy!

Przyszedł pan doktor, przywitał, do drugiego pokoiku wprowadził. Żywy, dowcipny, optymistyczny. Na czym polega przedsięwzięcie, pyta, czym mogę pomóc.

– Czym, to na pewno pan wie! – śmieje się Pierówek. – Ale najpierw się przedstawimy.

Mnie przedstawia. Wycinek gazety i Konopielkę z moim autografem wręcza. Projekt programu wyjmuje – życiorys swój i osiągnięcia niby mimochodem cytuje.

Doktor, nagle zatroskany, pyta, czy my na pewno jesteśmy ludzie poważni. Bo on jednemu malarzowi pomagał. Pokoju użyczył, dolarami zasilał. A ten zniknął znienacka... parę nie-swoich rzeczy do walizki w pośpiechu zapakował.

Czerwienię się, pocę. W Polsce nigdy nie żebrałem. Pilnowałem niepodległości mojej czujnie. Talon samochodowy zwróciłem. Mieszkania pozakolejkowego w Warszawie nie wzięłem. Wczasy zagraniczne, wycieczki delegacyjne – choć nie prosiłem – mi przydzielano... nie jeździłem. Spotkań autorskich – bo to złodziejstwo – nie praktykowałem, z wszelkich etatów – bo płacenie za dyspozycyjność mnie mierziło – porzygnowałem. Jednoosobowy mój związek (ze światem) pod hasłem „Niezależność” założyłem sześć lat przed Solidarno-

ścią. I ot, teraz... Jezu! Kto mnie tak skundlił? Plerożek?

Doktor książkę wziął, powiedział że nad dotacją się zastanowi, proszę zadzwonić pojutrze, do widzenia – do widzenia, zjechaliśmy.

– Widziałeś jaki optymistyczny? A dlaczego? Bo ma pieniądze. Gdybyś miał kilkadziesiąt tysięcy zapasu, też byś głowę podniósł i... pokochał Amerykę. Oto czego ci brakuje! Kozak z tego doktora... Kawał faceta! Gabinet w pępuszku Manhattanu, wiesz, jakie stawki? A jego koledzy ze studiów, tam w Polsce, co?

Brzydkiego słowa nie wymówił – za to podeszwą buta pokręcił na betonie wymownie.

– Pieróg – powiedziałem niegłośno, ale ostatecznie. – Ja już więcej z tobą chodzić po sponsorach nie będę.

Oczywiście nie zmartwił się. Ale z okazji dogryzienia skorzystał.

– A widzisz! Żalisz się, żeś natrudził... Ale, mistrzu, pisani na w czterech ścianach to laba, raj w porównaniu z piekłem, które się zaczyna... Niedobrze! Jeśli ty takich prościutkich rzeczy nie wytrzymujesz, to co będzie dalej? – dobił.

„To nie Plerożek mnie skundlił – pomyślałem – To Ameryka. To Ameryka już się zaznacza”.

Gdybym nie był zadłużony, wsiałbym choćby zaraz do samolotu w tamtą – wschodnią – stronę.

**19.** Teraz, po pół roku, wiem: to był ostatni moment na to, żeby przeciąć aferę. Powiedzieć trzeba było Plerożkowi zdecydowanie „żegnam pana”, dać w gazecie komunikat, że wycofuję się ze współpracy z nim i nie biorę odpowiedzialności za jego działalność finansową (naciąganie sponsorów) i artystyczną. Zażądać wycofania mego nazwiska z jego plakatów i programów. Powiadomić, że gra moją Konopielkę bezprawnie. No i

przeprosić wszystkich, których moim nazwiskiem Pierozek uwikłał. Skończyłoby się na dotychczasowych stratach. Oszczędziłbym sobie następnych tygodni i miesięcy wojowania z nim. Czasu, nerwów i wydatków. I...

Wtedy bałem się publicznego skandalu. Wstydu. I – muszę się przyznać – choć już niezłe Pierozka rozszyfrowałem, nie doceniałem jednak jego klasy. Wydawało mi się, że postawię przed nim bariery, których nie da rady przeskoczyć.

Chociaż nie powiedziałem mu tego wprost – w duchu pożegnałem się z wyprawą. Już nie o Meksyku, Newadzie, Kanadzie marzyłem, ale... jak wy leżć z długu. Być wolnym. Oto już nie dla podróży muszę przedłużyć pobyt w USA – ale żeby do łopaty iść, ciuć o mleku, chlebie i smalcu jak inni – żeby się z niewoli wykupić. Średnia pensja miesięczna wynosiła podówczas w Polsce 20 tysięcy złotych, tj. 30 dolarów (czarnorynkowych). Moje zadłużenie wzrosło do 80 pensji krajowych, czyli do 7-letniego zarobku w PRL. Dolarowego długu złotówkami w Polsce i w dziesięć lat bym nie spłacił. W odwrotną stronę ekstrapzelicznik bije katastrofalnie.

Dlatego skorzystałem z propozycji wydawcy z Chicago, który – przeczytawszy fragment opowiadania w „Przeglądzie”, zaproponował mi wydanie książkowe. Spałem się – pisanie, pamiętam, w Wigilię dokończyłem – kiedy inni opłatkiem się dzielili, ja z 42 Ulicy maszynopis „Federal Expressem” wysyłałem. Jeszcze przed sylwestrem zatelefonował wydawca, że przyjmuje – że będzie drukował – ustaliliśmy, że zapłaci mi jednorazowo – za Dolorado i za dodruk Konopielki łącznie. Wyliczyłem, że akurat starczy mi na wykup z niewoli. Choć z sześciu miesięcy prawie pięć w ścianach przesłęczałem, przecież Nowy Jork i Manhattan przedeptałem, o Amerykę się otarłem, wymarzoną powieść o Wielkim Mieście chyba już dam radę doszlifować.

Dzień przed sylwestrem kuzyn Witek powiada:

– Tacy jak ty najgorsi. Dopóki cię przez maszynkę do mielenia mięsa nie przepuszczono, nie masz prawa filozofować o Ameryce. Bo nic nie wiesz. A pojedziesz do Polski – i będziesz się mądrzył! Uogólniał! Teoretyzował... Uch, wy, pismacy!

Za jego radą podanie o przedłużenie wizy złożyłem. W ostatniej chwili: czternaście dni przed upływem ważności dotychczasowej wizy, kwadrans przed zamknięciem biura. Zmierzchało na ulicach, sylwestrowy rejwach się zaczynał... Odpowiedź przyjdzie za miesiąc, dwa, a może za pół roku – objaśnił doświadczony Witek.

– I jeszcze pobędziesz sobie w Ameryce. Legalnie.

**20.** W pierwszych dniach nowego roku oznajmił mi Pierożek, że klops. – Wiza skończyła mi się ze starym rokiem, tobie wkrótce. A dowiedziałem się właśnie, że niestety... nie możemy się ubiegać o wizy kanadyjskie, nie mając przedłużonych amerykańskich. A przedłużenie może otrzymamy, może nie – i nie wiadomo kiedy. A tu za dwa tygodnie trzeba ruszać w trasę, terminy zaklepane. Osiemnastego musimy być w Denver, zaraz potem w Houston, San Diego, Los Angeles... Wpadliśmy!

– Ty miałeś organizacyjnych spraw pilnować!

– Przegapiłem jeden przepis. Co mam zrobić? Powieszę się?

– Trudno. Pojedziemy tylko po Stanach.

– Tylko po Stanach, i to we dwójkę – nie opłaci mi się. Nawet na autobus nie zarobimy.

– Sponsorzy dali ci kupę forsy.

Mówię to, bo wiem, ile już uzbierał – swoim, ale głównie moim nazwiskiem, moim życiorysem, moim zdjęciem piłując. Na pewno – sześć. I trochę. A ile to „trochę” wynosi – tysiąc, kilka tysięcy, czy więcej – nie wiem. I wiem, że program i

plakaty kosztowały go półtora, zresztą będzie je sprzedawał, z zyskiem. Organizacyjne telefony – pięćset. Czyli, potrąciwszy: co najmniej cztery tysiące ma w kieszeni już. Bez jednego występu. Może rozważy czy nie przysnąć... czy warto tekst wkuwać...

– Kupę dali, ale nie forsy! – zachnął się. – Nawet na plakaty i program nie starczyło, musiałem swoich dolarów dołożyć. Co, nie ufasz mi?

– Oczywiście, że nie ufam. Ale nie myślę cię kontrolować. Powiedzmy, że nie starczyło. To dołożysz i do biletów. Żeby być wobec mnie w porządku.

– To wołę zapłacić ci odszkodowanie za robotę. Powiedzmy... tysiąc. I zrobisz sobie wycieczkę sam.

– Dobrze. Dasz mi tysiąc. I te swoje adresy i terminy – przycisnąłem cwaniaczka. – Z Nowym Rokiem odczytałem formę. Pojadę sam. Z odczytami autorskimi.

Zaskoczony!

– Nie przyjdą na ciebie.

– Moja sprawa. Daj te adresy.

Zmieszany, zakłopotany. Ja, choć wiem, że nic z tego – zabawa to tylko, igranie, próbowanie cwaniaka – naciskam.

– Będę im czytał Dolorado. Może gorzej niż ty. Ale atrakcją będzie, że autor czyta.

– Hm... tego... Nie, Edward. Poczekajmy jeszcze. Do przyszłej soboty. Może poczta przyniesie wizę.

Znowu kluczy. Brr! Te małe kłamstwa, oszustwa, kanty – układające w wielomiesięczny łańcuch, w duże oszustwo. Jak najprędzej odczepić się od tego cwaniury! Niech da mi ten tysiąc – dług mi się o tysiąc zmniejszy. Podpiszemy umowę, że to odszkodowanie, że zrzeka się praw do monodramu, grać go nigdy nie będzie – i cześć!

– Dobrze – powiedziałem – jeśli do soboty wiza nie nadejdzie, w poniedziałek spotkamy się w banku. Zapłacisz ten

tysiąc i... Zaraz – przypomniałem. – A premiera? Miała być w piątek, jedenastego. Wzięłeś od ludzi forszę. Musisz zwrócić.

– Oszalałeś?! Oddawać forszę?!

– No to jak to sobie wyobrażasz? Uciekniesz, a ja zostanę tu na lodzie jak palant? Jak współhochsztapler?

– No nie... Jakaś premierkę się zrobi, żeby się nie czepiali. Ale nie mam sali.

– Mówiłeś, że pani Polan znalazła.

– Trzeba by to zobaczyć.

Pojechaliśmy na Manhattan. Teatrzyk przy Ósmej Alei. Za daleko od skupisk polonijnych. Weszliśmy z panią Polan do kawiarni. Rozmowa. Pani Polan oznajmiła Pierozkowi stanowczo, że chce zobaczyć próby – w ciemno ani swojego, ani swego Instytutu imienia nie użyczy.

Wtedy Pieróg przyznaje się, że jeszcze nie opanował tekstu. Że prosi o zarezerwowanie sali na koniec marca, premierę w Nowym Jorku zrobimy na zakończenie tournée.

– Aha... – dodaje przymilnie, kusząco. – Dawno już chciałem pani zaproponować... Czy nie pojechałaby pani, pani Nino, ze mną i Kaziem K. – to znakomity polski aktor – za rok w następne tournée? Polonia zna panią i uwielbia. Zrobi pani nam ten zaszczyt? Stany i Kanada... co pani na to?

Ciekawe! Nina Polan mieszka w Nowym Jorku od dawna. I przyjechała z Anglii – która też nie jest krajem pocziwym. Czy pozwoli się Pierogowi omamić?

Patrzą sobie w oczy – ja to jedno, to drugie oczy obserwuję.

Oczy Pieroga poważne. Szczere. Mądre. Patriotyczne. Kulturą Polonii przecież zatroskane... Aktor.

Oczy pani Polan uśmiechnięte, optymistyczne, ufne, prostolinijne. Amerykańskie. Amerykanie lubią patrzeć oczy w oczy. Na dowód, że są szczerzy. I pani Polan tak patrzy. Amerykanka. Aktorka.

– Taak? – Z pięć sekund go prześwietlała. – To ładnie z

pana strony, że chce pan zrewanżować się.

Tak powiedziała. Co myślała, nie wiem. Ameryka. Im wyższa cywilizacja, tym niezależniejsze od siebie mówienie i myślenie.

**21. Sobota. Telefonuję. Naciskam.**

– Wydrukowałeś bez mojej wiedzy ten nasz reklamarski wywiad aż w „Relaxie”. Że jedziemy razem. Tak dłużej płatać nie możesz, decyduj się, Pieróg... Albo jedziemy razem, albo jedziesz sam – ale w poniedziałek płacisz mi ten tysiąc. Sądzisz, że to dużo za trzy miesiące pisania monodramu i za miesiąc pomagania?

– Poczekajmy do następnej soboty.

– Przecież za trzy dni wyjazd!

– Dzwoniłem już do Denver i Houston, odwołałem. Pojedziemy od razu do San Diego. Coś straciliśmy, ale zyskujemy tydzień czekania... nuż ta wiza przyjdzie i pojedziemy! Tymczasem ostro tekst wkuwam – wybacz, Edward, że mój telefon będzie wyłączony – będę wkuwał dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zadzwoń za tydzień.

W środę sprawdziłem, rzeczywiście – telefon nie odpowiada. Kuje Pieróg. Może pojedziemy? – odżyła mi nadzieja.

Powtórzyłem telefon w piątek przed północą. Poznałem głos Leszka, współmieszkańca.

– Cześć. Z Pieróżkiem chciałbym.

– Nie ma.

– Jest. Wiem, że jest. Kuje.

– Nie. Nie ma. Wyjechał.

– Taak? A... dokąd?

– Nie wiem.

– Wiesz.

– Wiem. Ale zabronił mi mówić.

- To powiedz tylko czy... daleko?
- Daleko – powiedział, w głosie usłyszałem coś jak ludzkie dla mnie współczucie. – Bardzo daleko. Cześć.

Odłożyłem słuchawkę. Pośmiałem się do ściany. Pożyczyłem. Do „Liquor storu” poszedłem, trunków nakupełem. I ze współmieszkańcami zrobiłem polski bal. Ni to wesele, ni stypę. Podsumowanie mojego półrocza w Ameryce. Głowy bolały nas do poniedziałku. W czasie huczało – jakbym w ciągu tych dwóch dni i dwóch nocy objechał Meksyk i wszystkie stany z Alaską i Hawajami włącznie. I Kanadę.

22. A w poniedziałek, kiedy mi Ameryka głowę rozsadzała, zatelefonował wydawca. Że jest w drodze, będzie u mnie za dwie godziny. Szczęście w nieszczęściu! Już mi częśćkę należności czekiem przysłał, teraz główną forszę wiezie. Tak myślałem. Ach, przywiezie, długi zwrócę – przestanę być niewolnikiem! Wyplączę się z zależności! Które mnie dobijały. Boże, jak ja nie znoszę być zadłużonym! I – wio do Polski!

Przyjechał. Gadanie. Czekam, kiedy pieniądze wyjmie. A tu nic. Obiad mu trzeba postawić. Pożyczyłem. Postawiłem. Kolację. Wino kupić. Jezu, mój businessman sknerzy? Na mojej podłodze się zainstalował – bo żałuje na hotel? Na to wygląda, ale to przecież... niemożliwe!

Poszedł do miasta – umówiłem go ze znajomym, w sprawie jakiegoś zakupu. Trzy godziny później telefonuje do mnie mój znajomy, ostrzegawczo. A sześć lat już w Ameryce, doświadczony. – Uważaj, Edku, to żaden biznesmen. Na obiad mnie naciągnął. Na zakupy chciał u mnie dapożyczyć. Jest bez grosza, sprawdziłem go, Edek, ty na nic nie licz...

Tak. Szok. Młotkiem w głowę. Nóż kuchenny położyłem pod poduszkę. Kuzyna i sąsiadów poprosiłem, żeby go nie wpuszczali, bo nie ręcą za siebie. Nakryłem się kocem na



głowę. I zachorowałem.

23. Cały luty chorowałem. W Polsce poszedłbym do szpitala. Tu musiałem leczyć się chałupniczo. Spać, nie myśleć.

24. Witek, który miał trochę czasu, siadał przede mną i uczył Ameryki. Że kraj to twardszy, brutalniejszy niż Polska i że człowiekiem prostolinijnym trudniej tu być niż w Polsce. Zwłaszcza żyjąc, jak my, nie na wysokich piętach, ale na dnie Ameryki.

– Aby wśród s...synów być uczciwym – tłumaczy – trzeba być sk...synem większym niż oni.

Nie rozumiałem.

– Jeśli chcesz wśród bandytów, złodziei, nożowników być uczciwy, musisz umieć bić się i kraść lepiej niż oni... musisz widzieć ich na wylot, a w razie czego umieć znokautować, wyrwać nóż... odkraść, co ci ukradziono. Dopiero wtedy uwierzą w twoją dobroć. Dobroć powinna wynikać z przewagi, a nie słabości. Zapisałbym się do szkoły karate. Ale nie mam czasu...

– I szkoda forsy – dodał. – To drogie.

Innym razem:

– Popatrz, polityka... Jakie to sk...syństwo! Żeby zrobić coś szlachetnego, trzeba być superkarateką dyplomacji. Wiesz, za co szanuję naszego papieża? Że jest chytrzejszy od cwaniaków Wschodu i od cwaniaków Zachodu. Wśród wilków da radę robić swoje.

25. Parę razy poderwałem się do akcji, na krótko. Obrażona duma i wściekłość, podrywały. Jeden i drugi zrobili ze mnie „jelenia”.

W sobotę 2 lutego sięgnąłem do przewodnika polonijnego,

znalazłem polskie nazwisko i telefon w Los Angeles. Przedstawiłem się nieznanym jako polonijny farmer spod San Bernardino i spytałem, czy nie wiadomo jej przypadkiem, kiedy występować będzie Pierożek.

– Dziś występuje – usłyszałem. – O szóstej i o ósmej. Właśnie się wybieramy.

– A co gra?

– Dolorado Redlińskiego.

– Podobno ten Redliński z nim jeździ... czy też będzie?

– Nie. Pan Pierożek mówił, że autorowi nie przedłużono wizy i musiał wyjechać do Polski.

– To szkoda – powiedziałem. – Bo bardzo chciał zobaczyć Kalifornię.

– Szkoda – usłyszałem. – Bo chcieliśmy go zobaczyć.

A w poniedziałek zadzwoniłem do wydawcy. Powiedziałem, że ponieważ wyparł się swoich zobowiązań ustnych, będę odtąd porozumiewał się z nim tylko na papierze. Wkrótce przyślę list z moimi żądaniami i warunkami. Zapowiedziałem, że będę dochodził swego wszystkimi istniejącymi sposobami, z sądem włącznie.

Czesław Czaplinski, do którego zatelefonowałem, żeby ponarzekać, doradził:

– Idź do apteki, kup proszki od bólu głowy, zażyj i – zapomnij. Zapomnij o jednym i o drugim. Pieniąctwo dobre w kraju – bo w Polsce czas tani. Jesteś w Ameryce. Przekalkuluj, długopisem na kartce. Zobaczysz. To, co może – ale tylko może – odzyskasz, będzie zaledwie częścią tego, co stracisz... Aha, telefonował znajomy z San Francisco, że był na Dolorado... Mówi, że bardzo dobre. No to gratuluję ci i... współczuję.

Zatelefonowałem też pod dawny numer Pierożka. Słuchawkę podniosła kobieta – myślałem, że żona. Ja, że mówi Redliński. Ona, że siostra Pierożka. Ja, że mam do niego ważną sprawę. Ona, że brat tournée kontynuuje, gdzieś w świecie. Ja, że

przyszło zaproszenie z Australii. – Polonia zaprasza nas z Dolorado... Oczywiście, skłamałem, wymyśliłem tę Australię na poczekaniu. Wtedy ona podała mi numer do żony Pierożka. Zatelefonowałem. Że muszę się z nim skontaktować, bo Australia... a nie wiem, gdzie Mistrz przebywa.

Chwyciło. Podnieciło. Że on gdzieś w Kalifornii – ujawniła. Że skontaktuje się, powie.

I tydzień później oddzwoniła. Że rozmawiała z mężem, powiedziała o Australii. Zainteresowany! Pozdrowia mnie serdecznie. Żebym tej Australii pilnował, prosi. I poinformowała, że tymczasem Pieróg w kiepskiej formie... wizy USA nie przedłużono, Kanada przepadła. To wynagrodzilibyście sobie pecha Australią... powrotem do Polski przez antypody...

Jeśli naprawdę uwierzyli w tę Australię i moją życzliwość, znaczyć to może tylko jedno – pomyślałem. Że mają mnie za jelenia bezgranicznego. Frajera absolutnego.

Sporadyczne to były zrywy, nerwicowe, Witek, sąsiedzi bardzo mi współczuli. Coraz więcej znajomych i niezajomych wiedziało, jak mnie Pierożek wycykał. Ktoś wiedział, ile tysięcy wycygańił u sponsorów. Ktoś inny wiedział, ile przywozi z każdego tournée. Dla gospodarbeiterów były to sumy imponujące. Z podziwem tedy mówiła Polonia o Pierożku, i z szacunkiem. Ironicznie – o mnie. Z litością jakby. Kpiny też i śmiechy zacząłem słyszeć za plecami. A przecież trochę tej dumy się ma. Nawet dużo razy więcej niż trochę. Skromności, ale i dumy. Przestałem pokazywać się na Greenpoincie. Żeby nie pytano. Żeby nie tłumaczyć się. Upokorzony. Frajer. Pocziwiec. Wsiok z Dolorado... chi, chi, cha, cha... Ameryki mu się zachciało... To wściekłość mnie rozsadzała, to bezradność paraliżowała. Duma – i poniżenie... Stu Michałów we mnie tańcowało. Przeciwnstawnych. Nerwica...

26. Przestałem kupować w „Adambie” – omijałem, żeby nie spotkać pana Janka. Bo spyta, dlaczego ja nie w podróży... co z premierą w Nowym Jorku...

– Dobry wieczór – usłyszałem w „Busy Bee”, przy Nassau Avenue. – Jak się panu wiedzie w Ameryce?

Dziennikarka z Polski. Przyjechała pół roku przede mną. Wiem, że próbowała wszystkiego: malowania (oczywiście ściennego), tapetowania, handlowania, pielęgowania, sprzątnia...

– Jak? Amerykanin odpowiedziałby „wery fajn, tenkju, end ju?”. Ale ja odpowiem po polsku: jak się tu czuję? Jak g... o w koleinie. A pani?

– W dzień pracuję, wieczorem chodzę do szkoły.

– Język?

– Nie. Zawód. Uczę się oprawiać brylanty. Sympatyczna robota, dobrze płatna. Stary mądry Żyd tak mnie ustawił.

– A Polacy?

– Czy pomogli? Gdzie tam. Owszem, zdarzyły się jakieś pomocne odruchy, gesty. Ale tylko od takich biedaków jak ja. Ci bogaci potracili serca, uczucia. Polskość, Solidarność, patriotyzm – to tylko jeszcze jeden sposób na pieniądze.

– Gorzkie słowa.

– A tak. Pozbyłam się marzeń i złudzeń. Za co jak za co, ale za utratę naiwności powinnam być Stanom wdzięczna.

– Nie żal czegoś?

– Nie. W nic nie wierzę. Prócz... wie pan czego?

– ?

– Prócz... dolara. Och, to wspaniała rzecz! Klucz do wolności. I szczęścia. Tu, nie mając pieniędzy, jest się kaleką. Nic nie jest dostępne. Ni wolność, ni godność, ni... miłość.

– O!

– Tak. Albo trzeba być śliczną, zgrabną, dwudziestoletnią dziewczyną, albo trzeba mieć pieniądze, żeby brak urody czy

nadmiar wieku wyrównać. Pięknym domem. Drogim samochodem. Mieć sto tysięcy dolarów, to jakby mieć biust Marilyn Monroe.

– Rozumiem.

– Książkę panu wydano w Ameryce, widziałam. Nie jest pan zadowolony?

– Zadowolony? Zacząłem nienawidzić, pani Jadwigo.

– Kogo? Co?

– Czterdzieści cztery lata przeżyłem w Polsce i nie dorobiłem się ani jednego wroga osobistego. Nikogo nie znienawidziłem. A w Ameryce już po pół roku mam dwóch przyjaciół, dwóch dobroczyńców takich, że, o, tymi palcami, z rozkoszą bym ich... udusił.

Ona w śmiech, serdeczny, głęboki. Przenajszczęszy. Aż zachłystywała się tym śmiechem. Czemu... Co jej się przypomniało – krzywda jaka, nienawiść własna jaka? Czy jej też ktoś w Ameryce już tak dopiekl, że chciała... udusić? Może... dusiła?

Wyśmiała się. Spoważniała.

– O, to jeszcze długo nie wyjedzie pan ze Stanów – rzekła refleksyjnie. – Już dwóch pan znienawidził, hm, znaczy: już, powoli, pan się... zagnieżdża.

Zamilkliśmy – żeby to mądre spostrzeżenie pogłębić.

– Na pewno przyjemne to, wroga udusić. Ale niech pan tego nie robi – doradziła.

– Nie uduszę. Boję się.

– Pana Boga?

– Nie. Więzienia. Raz minutka szczęścia. I jeszcze druga minutka. A potem całe życie za murami? Albo krzesło elektryczne? Czy ja po to przyjechałem do Ameryki?

– Więc gdyby nie kara, udusiłby pan?

– Kiedyś mi to przejdzie. Ale teraz, z najwyższą rozkoszą. Wepchałbym mu do gęby sto jednodolarowych banknotów i –

dusił.

Przyjrzała się mi uważnie. – Muszę już iść – powiedziała zmęczonym głosem. – Pół do szóstej. Szkoła. Jakiego szczęścia panu życzyć: polskiego czy amerykańskiego?

- Polskiego.
- No to życzę. Do widzenia.

27. O Pierozku postanowiłem zapomnieć. Przyznać się do klęski. Zapisać pół roku na straty. Trudno. Jemu też nie całkiem wyszło. Pochąturzy trochę w USA – ale Meksyk i Kanada przypadły.

Skupiłem się na liście do wydawcy. Pisałem, mazałem, niemrawo. Z obrzydzeniem. Brzydząc się listu, wydawcy, książki i siebie. Napisałem. 6 marca wysłałem.

W niedzielę 10 marca, tuż przed północą zatelefonowała znajoma znajomych – pani Alicja z Kanady. Że jej matka przyniosła rano z kościoła ulotkę. 24 marca wystąpi w Toronto... Pierozek. Pokaże Dolorado Redlińskiego. I szczegóły: adresy, godziny, kto rozprowadza bilety, numer telefonu.

28. Anioł by zaklął, święty zazgrzytał! Wyzgrzytałem się, wykląłem, metr kwadratowy tynku wokół telefonu wygryzłem. Ja nie święty. Zemsty! Kary! Kary! Zemsty! Jak wjechać do Kanady, żeby oszustowi kości policzyć. Przez zieloną granicę? Wynająć kogoś tamtejszego – kto go ode mnie kijem pozdrowi? Kogo? Za co? Co za chytryść... ile pazerności... Odwiódł mnie od starań o wizę kanadyjską – a sam załatwiał, może już miał załatwioną...

Spróbowałem wyobrazić sobie Pierozka teraz tam, w Kanadzie. Jak myśli o mnie, co? Gryzie go sumienie choć trochę? Czym je oszukuje, jakie preteksty wymyślił? A może chichocze tam ze mnie? A może jak mnie „wyeliminował”, opowia-

da?

Wiedziałem, od pierwszej naszej rozmowy w Nowym Jorku wiedziałem, że będzie chciał mnie oszukać. Zawczasu pogodziłem się ze stratami i kosztami. Ale że aż tak oszuka? Tak bezwzględnie, tak ordynarnie? Aktor szacownego krakowskiego teatru? Artysta? Człowiek, który, jak sam wyznał, dziesięć najlepszych lat swego życia zawdzięczał mnie i mojej Kono-pielce? Nie, aż takiego rozboju moralnego – nie przewidziałem. Bo i nie miałem prawa przewidywać.

Bo dotąd jeszcze w życiu aż z taką pazernością się nie zde-rzyłem.

Bo z pazerności, bo z bezgranicznej żądzy pieniądza uczynił Pirożek to, co uczynił. Sam pojechał, żeby:

- oszczędzić sobie na moim autobusie,
- nie dzielić się przychodami,
- nie krępować się moim towarzystwem i moimi skrupułami w kantowaniu innych, reklamowaniu się, wyłudzeniu,
- nie wstydzić się przede mną zebrania u sponsorów, pie-czeniarstwa po domach polskich, brania kanapek i jałmużny...

Czy były też powody artystycznej natury? Też chyba. Apo-dyktyczny, egoistyczny – nie chciał, żebym wtrącał się do jego reżyserii i aktorstwa. Tekst bym kontrolował, do tego, co tak lubi – przyprawiania cudzego tekstu swoimi dowcipasami – bym nie dopuścił.

I splendorem artystycznym – wobec widowni i w domach – musiałby się dzielić, nie byłby – ach – gwiazdą jedyną...

Co teraz? Boże... Pytanie podstawowe: czy wróci jeszcze do USA? Czy – wyeksploatowawszy nowojorskich sponsorów, dolarodajne stany zachodnie i dolarodajną Kanadę – czmych-nie do Europy, Australii, Polski?

Jeśli czmychnie – pozostanę tu, w Nowym Jorku, sam na sam z obrażonymi, oszukanymi sponsorami. Jako współwinny. Choć nie tylko że ani centa od Pirożka nie wziąłem, nie tylko

dla niego się zadłużyłem, ale i trochę tych żywych dolarów w niego wpakowałem. Jezu!

Winny! Ośmieszony! Zadłużony! Spalony... Już dwóch sponsorów – na razie okrężnymi drogami – mnie monituje. Wkrótce następni zaczną. Już sklep „Adamby” omijam... księ-garnię okrążam... na greenpoinckie ulice wstydzę się wychodzić. Nawet nieznajomi zaczepiają, pytają... czytali przecież o „tourné” w Dzienniku, w Relaxie, zdjęcia nasze widzieli. I w listach z kraju znajomi się dopytują...

A najbliżsi – pocieszają, współczują. Brr! Czy może być coś bardziej dobijającego niż współczucie-politowanie? Kuzyn zatroskany moimi klęskami i depresją – zarobkowanie na farmie mi załatwił. Gość z kraju – doktor filologiczny – doradził mi serdecznie wracać natychmiast do kraju – i leczyć się w szpitalu. „Bo padniesz”.

Dwa nerwicowe wrzody puchły mi w mózgu. Jeden – Pierozek. Drugi – wydawca. Bolały... Nie spałem.

To, że każdy, prawie każdy Polak zapłacił w Ameryce swoje frycove – małym było pocieszeniem.

Rozsądek mówił: zapomnieć. Starać się zapomnieć.

Gniew i duma krzychały: rozprawić się!

**29.** Piszę to, co właśnie piszę, i myślę: czy ta historyjka kogoś interesuje? Przecież mysia, szcurza, biedniacka skala tej opisywanej wojny, spór toczy się o parę tysięcy dolarów. Amerykańskie dramaty dzieją się wokół stawek milionowych...

Nie, pocieszam się, mój Czytelnik wie, że ja nie o dolarach tu piszę – więc mało ważne, czy stawka wynosi tysiące czy miliony. Wie, że ja o chciwości i godności, dumie i chamstwie, podłości i uczciwości... Jak na meczu: obserwujemy drogę i zygzaki piłki. A tak naprawdę? Naprawdę to graczy obserwujemy, ich zręczność, wyczyny... ich reakcje w starciach... ich



charaktery.

Nie sędzę, aby wielu było w Polsce majstrów chałtury równych Pierożkowi. Uważam go za chałturzystę wybitnego. Czesław nawet nazwał go po pewnym jego wyczynie – „genialnym”. Powinien założyć Akademię Chałtury – zawyrokował – jechaliby do niego z całego świata uczyć się, jak do Grotowskiego...

I mogę bez fałszywej skromności, choć może z pewnym zrozumiałstwem dodać, że mało jest w Polsce tak zacieklej anty chałturzy stów jak ja.

I oto mistrz chałtury uwikłał świątka anty chałtury...

„Pszczola literatury w sieci pająka chałtury!” Dobre, nie?

Chałturzysta wygrywa. Ale antychałturzysta się ocknął – walczyć będzie! Czy da radę! Czy – chi, chi, chi – dobro zwycięży, czy cha, cha, cha – zło zatryumfuje. Bohater pozytywny i – czarny charakter...

Śmiech śmiechem, ale o tym ta opowieść.

Czy da się to czytać? Czy to coś warte?

O, to już nie od skali pieniężnej konfliktu zależy – czy tysiącami grają gracze, czy milionami.

W literaturze – i w sztuce w ogóle – nie obiekt, nie fizyczność przedmiotu czy tematu stanowią o randze utworu. Witkacy powiada, że nieważne, co namalowane: głowa Chrystusa czy głowa kapusty. Istotne: jak namalowane.

Można ziewać oglądając film o multimilionerach.

Można drzeć oglądając film o nędzarzach. Na przykład La stradę.

Kogo interesują miliony, a nie ludzie – niech skończy czytanie moich Michałów na tym zdaniu. Żegnam Was Kibice Milionerów.

A Wy, których obchodzi szarpanina nasza ludzka – pozostańcie ze mną. Zaśmiejemy się jeszcze razem parę razy. Zasmucimy się... zadumamy.

**30.** No! Będę cię ścigał, panie Pierożku! Pościg zaczynamy i osaczanie. W poniedziałek rano telefonuję do pani Alicji w Toronto, z prośbą o ustalenie współrzędnych artysty. Postara się... Telefonuję na Brooklyn do jego żony. „Ona już tu nie pracuje – słyszę – nie wiem, gdzie teraz pracuje i nie chcę wiedzieć!” Telefonuję na Queens, do apartamentów Pierożka. Cisza. Niedobrze. Do Toronto telefonuję – pod numer tamtejszego kolportera-impresaria Pierożka... przedstawiam się jako wielbiciel z Pittsburgha. Czyli oszukuję, niestety. Ale mam już przemyślane, rozstrzygnięte: czy wolno mi telefoniczną hochsztaplerkę stosować. Tak, wobec niego wolno: kiedy ktoś mnie wali gazurką, nie muszę dbać o dobre maniery.

– Mówię w imieniu grupy... chcemy spotkanie z nim zorganizować...

– Obecnie występuję w Edmonton. Do Toronto przybędzie dwiętnastego wieczorem, proszę zatelefonować i porozmawiać z nim osobiście. Czy wraca do USA i czy może wstąpić do Pittsburgha – nie wiem...

Biorę mapę... Edmonton – stolica prowincji Alberta... Czyli był już w Vancouver... w tym cudownym Vancouver, o którym tyle śliczności mi naopowiadał. Jezu, niech ktoś mnie obejmie i ściśnie, bo pęknię z żalu.

I, psiakrew, z wściekłości!

Jeszcze raz telefonuję na Queens... ktoś podnosi słuchawkę. Żona? Tak. Ona. Słyszę, że on w Seattle. Nie, to nie w Kanadzie. Północno-zachodni kątek Stanów. Wizy kanadyjskiej nie ma. Amerykańska nie przedłużona jeszcze. Wczoraj telefował.

– Daj mi jego numer... – proszę. Zakłopotanie słyszę w słuchawce. – Numer gdzieś jest... ale jestem chora... bałagan... jak znajdę, zadzwonię...

Aha, teraz zadzwoni do Kanady, że Redliński się dobija, co robić? Naradzają się i – co wymyślą?

Podadzą mi przekreślony numer w Seattle – przewiduję, zastanowiwszy się.

Poczekalem na sygnał od niej. Cisza. Telefonuję. Nic. Nie podnosi słuchawki.

Tedy do pani Polan. Że Pierożek występuje już w Kanadzie. Obawiam się, że nie wróci. Co robić?

Zaniepokojona. – Ale jego żona telefonowała wczoraj do mnie, w sprawie premiery nowojorskiej w marcu.

Ja: – Mogą pozorować tę premierę, żebyśmy – sponsorzy, pani, ja – nie wszczylnali rwetusu.

Pani Polan: – Możliwe. W takim razie powiem jej, żeby dała zadatek na tę salę. Jeśli serio planują tę premierę – dadzą grosz. Jeśli zwodzą – nie wpłacą.

Ja: – Mogą poświęcić ten zadatek dla celów „wyższych”.

Roześmiała się: – Nie poświęcę. Wiem już z wielu źródeł – jest artystą utalentowanym, ale – śmieje się, szuka słowa – ale bardzo... oszczędnym.

Znowu na Queens dzwonię. Cisza...

Kuzyn dzwoni z fabryki. Lunch. Prędko mówię co i jak.

Komentuje:

– Jeśli chcesz rozszyfrować jego plany, wiedzieć, dokąd się kieruje – wejdź w jego skórę i włącz jego motor. No? Dokąd ten główny motor go pociągnie? Co jest tym jego głównym motorem?

Twórczość? Seks? Polityka? Co?

– Dolar – mówię. – Głód dolara.

– Otóż to. I dlatego – jak bocian do Egiptu, jak ćma do żarówki – tak on do dolarowych żerowisk pociągnie. Weź mapę Kanady i Stanów – popatrz, gdzie najwięcej Polaków. Czy nie w Chicago i północno-wschodnich stanach?

– Tak. Chicago. Nowy Jork i okolice. I Detroit, Buffalo, Boston, Portland, New Britain, Filadelfia, Pittsburgh...

– No proszę. Z takiego zagłębienia by zrezygnował? Wróci.

- Nie. Mnie bać się będzie.
- Nie będzie. Wierzy, że jakąś pięćsetką twarz ci zatka.
- Niech zatyka. Bylebym miał go na długość ręki.
- Wybij ty sobie z głowy rękoczynny. Takiego jak on wali się nie w twarz, nie w krok, ale w portfel... Oto prawdziwy ból dla takiego. Kopa w podroby odcierpi, zapomni – będzie oszukiwał dalej. A uderzenie w kieszeń będzie bolało go całe życie...

Przyjrzałem się mapie. Jest w Edmonton. Będzie w Toronto. A w Calgary, a w Regina był, czy będzie? Jeszcze Winnipeg. Ottawa. Montreal.

Do Detroit, Buffalo, Cleveland, Chicago, Milwaukee – z Toronto dwa kroki...

Emocje się zaczęły. Detektywistyczne. Podniety... Chęć działania. Miała rację redaktorka Jadwiga: nienawiść zagnieżdża. Wiąże ze światem.

„Nie odzyskam zdrowia, równowagi – póki z nim się nie rozliczę” – skonstatowałem

Znowu telefon na Queens, do bazy Pirożka. Żona podniosła. Dyktuje mi ten numer do Seattle. Czyżby... prawdziwy?

Telefonuję tedy do Seattle. Odpowiada mi Amerykanka. Nie, taki tu nie mieszka. Powtarzam nazwisko, pseudonim. Że Polak dodaje. Nie, nie mieszka.

I nigdy nie mieszkał.

Takaś ty, pani żono pana Pirożka... No, no. Duecik. Jak ciuciubabka, to ciuciubabka.

– Dziękuję – powiadam jej przez telefon. – Porozmawiałem.

– Z... nim?

– Tak. Z Pierogiem.

– Do Seattle dzwoniłeś?

– Tak. Pod numer, który podałaś. – I nasłuchuję, co na drugim końcu drutu. – Powiedziałem o kłopotach ze sponso-

rami...

- Taaak? – słyszę zdumienie.
  - A co do Australii, to kazał mi uzgodnić wszystko z tobą.
- Aha, masz pozdrowienia.

W słuchawce... prychnięcie.

- Poozdrowienia?
- Pozdrawia cię serdecznie.
- Pirożek?
- Pirożek.

Jeszcze raz prychnięcie. I... śmiech! Wybuch niepohamowanego śmiechu. Śmiechu nedorzecznego. Czekam.

- Ty, naprawdę się... dodzwoniłeś? – słyszę wreszcie.
- No dobrze, porozmawiajmy serio.
- Może się pomyliłam – usprawiedliwia się prędko. – Może to są polskie jedynki, a nie amerykańskie siódemki. Spróbuj więc...

– Nie spróbuję. Ty się z nim kontaktuj. Posłuchaj, jest pilna sprawa: czy masz w domu programy i plakaty Dolorado?

- Tak. Są.
- Natychmiast przywieź. Dwaj sponsorzy zagrozili, że jeśli nie pokażę im ich firm na plakacie i w programie i nie podam im daty premiery – zgłoszą mnie i Pirożka na policję. Jako naciągaczy.

- O, Cholerka! – przestraszyła się. – Jutro ci przywiozę.
- Nie. Dziś mieć muszę – mówię stanowczo. – Daj adres, będę za godzinę.

Nim się opamiętała, miałem adres. I natychmiast do subwayu...

Dziwne to: Pirożek był u mnie kilkadziesiąt razy, ja u niego – nigdy. Dwa razy zapraszał, ale... gdy zgodziłem się, coś tam przypomniał sobie, zaproszenie wycofał. No tak – ukrywał apartamenty i adres.

- Pirożek... – spytałem kiedyś. – Dlaczego ty, mając takie

ładne nazwisko, przedstawiasz się wszędzie tym swoim głupkowskim pseudonimem?

– Bo moje ładne nazwisko nic im nie mówi. Ludzie znają mnie jako Pirożka.

– A może ty się konspirujesz? – zażartowałem, bez złośliwości. – Może to twoja... ksywa?

– Fanzolisz – zbył gniewnie, zapinając swoje portfolio, artystyczną swoją – metr na metr – teczkę. Bo kupił ją nie tyle do noszenia plakatów, co dla efektu. Robiła wrażenie. Legitymację artystyczną mu zastępowała, dyplom, wizytówkę. (Co ja powinienem nosić, żeby mu dorównać – zastanawiałem się. Maszynę do pisania? Nos przekłuć długopisem?)

No, jest dom, są drzwi, dzwonek – zaraz będę w apartamentach Pirożka. Tego, który nasze mieszkania, Julia i moje, nazwał norami.

Otworzyła mi pani – już plakaty i programy w ręku miała. Ale żurawia w głąb zapuściłem, oko sfotografowało. Kotły centralnego ogrzewania, kielbacy rur. Beton podłogi papierami przykryty. Piwniczne okno... Scenografia jak w Emigrantach Mroźka. Tak, apartamenty. Komfort... Z Piwnicy pod Baranami do piwnicy pod Amerykanami. Awans.

– Przepraszam – mówi – jednak to były jedynki, nie siódemki... I w oczy mi patrzy prosto i uczciwie, ach jak uczciwie... i ja patrzę prosto i ach jak uczciwie, rety, Panie Boże, czy odpuścisz jej, mnie, nam wszystkim aktorstwo-oszustwo nasze codzienne użytkowe?

Wiele lat temu czytałem esej profesora Kołakowskiego: „Prawdomówność jako nerwica”. Że codzienne zakłamanie jest naszym nieodzownym ubraniem wyjściowym. Szczerłość to nagość. Dziwiłem się wtedy...

– To męczy się biedak w Seattle... – kiwam głową, w jej oczy patrząc współczująco. A spojrzenie moje ach jakie prostolinijne, a współczucie moje ach jakie szczerze.

– Tak, w Seattle – mówi, w oczy mi patrząc smutno. A spojrzenie jej ach jak prostolinijne, a smutek jej ach jaki szczerzy.

**31.** Zamknąłem się. Pisać. Co innego. Zarobkowo. Wyłączyłem telefon, żeby nikt mi o Pierożku nie przypominał. Zadzwońię do Toronto 19 marca, wieczorem.

**32.** Wtorek, 19 marca, wieczór, pół do dziewiątej. Telefonuję do impresaria w Toronto.

– Tak jest, kwadrans temu wyszedł na miasto... Będzie mieszkał pod numerem takim a takim. W Toronto występuje do niedzieli 25 włącznie. Montreal? Jeśli chcecie panowie zamówić w Montrealu jeden występ, radzę Dolorado. Ma jeszcze Konopielkę i Dworzec w Monachium, ale najciekawsze Dolorado...

Czy dzwonić pod podany numer? A jeśli odezwie się Pierożek? Przecież pozna mnie po głosie... a ja zaplanowałem śledzić go z ukrycia, nie płoszyć... jak najdłużej udawać nie zorientowanego jelenia.

– Ty nie oszukujesz, bo – nie potrafisz – powiedział mi kiedyś...

– Potrafiłbym – odpowiedziałem. – Ale się brzydę

– Kłamiesz, chłopie.

– Czemu?

– Powiedz „nie potrafiłbym”, to ci uwierzę. Nie oszukują ci, co nie potrafią.

No to teraz zobaczymy, panie Pierożek. Na twojej własnej skórze ci udowodnię, że oszukiwać, grać potrafię, i jeśli chcę – oszukam. Tak, są ludzie, którzy nie oszukują, bo niewinni są, prostolinijni. Są ludzie, którzy oszukują, bo utracili niewinność, szczerłość, naiwność. I odzyskać jej nie chcą, albo nie

mogą. I są ludzie, którzy zaszli dalej – nie oszukują, choć potrafią. I tych cenię, Pierozku, bardziej niż tych drugich, i niż tych pierwszych. Najniżej pochylam niemłodzieńczą moją głowę przed tymi, co:

- kraść umieją, a nie kradną
- umieją uderzyć, a nie biją
- puszczali się, a są wierni
- podcinali żyły, ale żyć postanowili i żyją
- są pijakami, a nie piją
- są szczupli, choć mają pełne lodówki
- nie są bogaczami, choć mogliby mieć wiele
- na uboczu żyją, choć ich zapraszają na salony
- nie znienawidzili ludzi, choć doznali niejednej krzywdy
- milczą, choć mają więcej niż ja do powiedzenia.

**33.** Ryzykuję: dzwonię z mojego Greenpointu, że niby z Montrealu. Wielbiciel. Do Pieroga – do Toronto.

Słuchawkę nie Pieróg jednak podniósł, ale – współmieszkaniec. Gaduła. Rozpapał się. Pierozkiem zachwycony. Że wielki artysta... wielkie w Toronto powodzenie. Wczoraj miał prawie komplet w siedmusetosobowej sali, aż cztery godziny grał – Dworzec w Monachium i Dolorado, po dziesięć dolarów za bilet. I ma drugi czterogodzinny zestaw: Konopielkę i Dolorado. Ale oficjalne występy to jeszcze nic! Wynajmują go miejscowi na... jakby to po polsku powiedzieć... na prywatki. Za dwieście, trzysta dolarów, monodram im pokazuje, kawałki z kabaretu... Nie, tego autora, jak mu tam, aha, Redliński, nie ma, nie dostał wizy kanadyjskiej.

**34.** W niedzielę telefon od pani Alicji z Toronto: – Byłam na Dolorado, o czternastej. Nie jestem zachwycona. Ani tekstem, ani wykonaniem. Za monotonne.



– Najważniejsze, pani Alicjo: muszę się tego wstydzić, czy nie?

– Skądże, kompromitacji nie ma. Widowni podobało się, klaskała często, głośno. I szczegóły handlowe: widzów 150. Bilety po 8 dolarów. Spektakl trwał dwie godziny bez paru minut. Programy sprzedaje po dwa dolary, plakaty po dolarze.

– Aha, prywatnie mówi, że jedzie do Anglii i Australii. Czy bezpośrednio z Montrealu, czy przez USA – nie ustaliłam.

35. W piątek 22 marca wieczorem w telewizji sprawozdanie z uroczystości wręczenia filmowych Oscarów. Odświeżenie, elegancko, brylantowo. Laureaci. Haing Ngor... Murray Abraham... Peter Shaffer... Milos Forman, James Stewart. I Lawrence Olivier – konferansjer, gospodarz, jeszcze nie tak dawno Hamlet, rycerz, amant – dziś starzec sędziwy, zgrzybiały nieomal... przekręca, zapomina... przeprasza. Ale oklaskują go entuzjastycznie.

Aktor. Aktorzy. Z podrzędnej, błazeńskiej profesji wywinowało się aktorstwo na szczyt zawodów współczesnych. Czy to nie mówi czegoś ważnego o kulturze naszych czasów – o obyczaju, wartościach? Czy przypadek to, że dwaj z grona najważniejszych przywódców świata byli aktorami? Być aktorem – wielkim aktorem – czy to nie sztuka? Zdobyć nieograniczoną władzę nad sobą samym – nad swoimi gestami, łzami, uśmiechem, spojrzeniem, nastrojem – umieć pożądaną nastrój narzucić sobie i innym. I dalej: reżyserować i odgrywać życie według umyślonego scenariusza, innych w swój film wplątać – niech grają z nami takie sceny, jakich zechcemy. Kryminalne, patriotyczne, komediowe, miłosne.

Im kraj bardziej cywilizowany, tym bardziej aktorski. Aktorstwo polityków. Aktorstwo biznesmenów. Adwokatów. Dziennikarzy. Komiwojażerów. Ekspedientek. Nauczycieli.

Rodziców. I... dzieci?

Jesteśmy – Polacy w Polsce – krajem mało... cywilizowanym. Mało aktorskim. Wciąż szczerłość, prostolinijność – cnotą. Gra – czymś nagannym.

Wspaniale utalentowana polska aktorka wystartowała kilka lat temu w Nowym Jorku. I – przepadła. Choć angielskim władała, chociaż tzw. układy miała. Co ją, Słowiankę, złamało? Poczciwość polska. Prostolinijność słowiańska. Wychodząc na scenę zza kulis – z kopaniny, kuksańców, połajank, szarpaniny – nie umiała przeistoczyć się w ciągu sekundy w delikatną, uśmiechniętą... jeszcze tamte łyzy, tamte błyski, skurcze tamte, złość tamtą widać było. A jej amerykańskie koleżanki umiały.

Polski senator przegrał kiedyś nominację kandydacką na prezydenta – bo się rozplakał.

Dokładniej: bo się naprawdę rozplakał. Gdyby odegrał płacz kiepsko – nie w porę, nie w tym miejscu – wybaczyliby Amerykanie. Ale on rozplakał się naprawdę.

Odwrócili się z niesmakiem. Że pocziwiec. Prostak. Wieśniak.

**36.** W środę 27 marca zatelefonowałem do Montrealu, do kolejnego etapowego impresaria Pierożka. Tak, już przyjechał, wystąpi w Montrealu jutro i pojutrze. W sobotę w Ottawie. Potem jedzie do Winnipeg. Dalszych jego planów nie znamy.

Ledwo odłożyłem słuchawkę, dzwonienie. Podnoszę...

– Czołem – słyszę głos wytęskniony, aksamitny, słodkawy.  
– Pieróg mówi...

Aż mnie zatkało. Ale na chwileczkę. Grać mam pocziwego jelenia. Który już przebolał. Już przyjazny. Beztrouski.

– O, czołem – odpowiadam radośnie. – A skąd dzwonisz?

– Z Seattle.

Więc zazdrośnie, marzycielsko: – Jezu! Z Seattle!

– Tak. Numeru mego ci nie podam, chcę trzymać w tajemnicy, powody intymne. Telefonuję, abyś zaakceptował mój pomysł i przyłączył się.

– Taak? (radośnie) Słucham cię!

– Zgodnie z amerykańskim obyczajem, złożymy w numerze wielkanocnym Dziennika życzenia świąteczne naszym sponsorom i dziękujemy im za wsparcie. Co?

Aha, nadała już mu żoneczka, że dwójka sponsorów zagroziła mnie i jemu policją... Dlatego dzwoni. Bo jednak chce wrócić... I bada moją kondycję... nastawienie... plany. Uważajmy!

– Zwariowałeś, Pieróg? (i z prostodusznym oburzeniem, gamoniowato) Ty wzięłeś forszę, a ja mam dziękować? Nie, nie mieszaj w to mojej osoby...

– Aha... (pauza; trawi, interpretuje, analizuje) Idzie o to, że sponsorzy mogą się niecierpliwie odkładaniem premiery. Dlatego trzeba im podziękować, zapowiedzieć premierę. Wyślę też plakaty i program z reklamą ich firm. Czego więcej trzeba?

– No tak... (dalej gamoniowato) A ta premiera kiedy?

– Dwudziestego szóstego i siódmego, w Domu Narodowym przy Driggsie.

– Pierozek... (smutno) ja jeszcze tego przedstawienia nie widziałem. Nie wiem, co z mojego tekstu zrobiłeś.

– Bardzo dobrą rzecz zrobiłem! Bądź spokojny. Owszem, są ataki, głównie od starej Polonii, ale to dobrze. Miałem recenzję w Los Angeles. Świetną!

– W Los Angeles... – rozmarzyłem się (teraz zajęczęć) – Uciekłeś... – jęknąłem.

– Musiałem. Dla wspólnego dobra. Zarobić tobie i sobie.

– Nie raczyłeś się odezwać... (dobrze wyszło – tęsknie, bezradnie)

– Ciężko harowałem!

– A ja tu... (teraz lamentliwie, z pretensją) świecę oczyma.  
– Jeszcze trochę cierpliwości, Edward! Wywiążę się solennie – wobec czytelników, wobec sponsorów i wobec ciebie! (ach jak sugestywnie pokrzepił, ileż optymizmu wlał mi w żyły!) A... (teraz uważać, zmienił tonację). A co z twoją... wiza?

– Przedłużono mi... (skłamać, ale w którą stronę? Dodać czy ująć?) Do... końca roku.

Aha... (zamilkł, trawi) To jeszcze pobędziesz?

– Pobędę. A... (teraz zaczepić go, oczywiście skłamię!) ty kiedy do kraju?

– Urlop się kończy w... (pauza: główkuje) w kwietniu. Od maja muszę być w Krakowie.

– To kiedy... (tęsknie, niecierpliwie) zobaczymy się w Nowym Jorku?

– W przedpalmową sobotę zadzwonię koło północy, czekaj. Umówimy się na święta. Dobrze? Cześć!

– Na razie...

Ech, udało się. Uspokoilem go. Nie boi się. Przyjedzie. Lekceważy.

W sobotę przedpalmową czekałem. Oczywiście, nie zadzwonił.

**37.** We wtorek 2 kwietnia list przyszedł od wydawcy z Chicago. Niechybnie odpowiedź na moje żądanie sprzed miesiąca, by wypłacił obiecane 4 tysiące. Jeśli wywiąże się z obietnicy – spłacę długi (prawie) i będę (prawie) wolny. A to, co wydobędę od Pierożka, przeznaczę na samodzielną wyprawę, greyhoundem – po Stanach. A potem, hej, do ojczyzny mojej łąkowsko-leśnej nad Narwią...

Dzień pogodny, przedwielkanocny, optyimizujący.

Otwieram kopertę...

Wydawca oferuje mi... 375\$, wraz z zapewnieniem, że jeśli, autorze, zaczniesz dochodzić swego „...władze amerykańskie zajmą się Panem szybciej, niż Pan to przewiduje”.

Cha, cha, cha! Śmieję się. Ale szybko mi ten nieśmieszny śmiech przechodzi.

Wiedziałem od znajomych z Chicago, że wie już wydawca, jak mnie Pierożek okantował. No tak... Utwierdził się w przekonaniu, że mnie niegroźny... na ofiarę się nadaje. Też zaoszczędzić sobie na mnie postanowił.

**38.** W Wielki Czwartek, na drugiej stronie Dziennika w ramce – ozdobionej dwiema sympatycznymi gałązkami palmowymi – podziękował Pierożek „osobom prywatnym, firmom, instytucjom, które reklamując się w programie do spektaklu Dolorado wsparły realizację przedsięwzięcia”, życzył Wesołych Świąt i zawiadamiał gdzie i kiedy premiera nowojorska. Szczegóły – w prasie i radiu, w przyszłym tygodniu. Jako wykonawca spektaklu się przedstawił. Moje nazwisko taktycznie ominął.

Do Domu Polskiego przy Driggs Avenue zaszedłem – upewnić się, czy coś o premierze u nich wiedzą. Wiedzieli, telefonował. Ma być u nich w środę po świętach...

Zatarłem ręce. Przyjedzie. Jeszcze parę dni cicho, sza! pokorniućko, żeby nie spłoszyć. A jak wjedzie – naskoczyć!

**39.** Wielka Sobota. Piąta po południu. W Polsce północ. Śpią albo do spania się szykują. Jutro wielu zerwie się rano – na rezurekcyjne nabożeństwo. Już poświęcili, już świątecznie posprzątane. Świątecznie dusze rozpogodzone. Ach, Wielka Sobota...

Przerywam pisanie listu – wychylam się z okna popatrzeć, jak kopią.

Kopią Polaka na skrzyżowaniu McGuinness Boulevard i

Nassau Avenue. Uciekał – sprytnie lawirował między samochodami, wydawało się, że umknie ścigającej go zgrai nastolatków – najszybszego pchnął, przewrócił – ale następny ze szpiczy rzucił się szczupakiem, chwycił za piętę. Więc kopią. Leży na plecach. Pies tak kładzie się na plecach, łapami do góry – kiedy sygnalizuje przeciwnikowi kapitulację. Uległość. Podciągnął kolana, żeby brzuch osłonić. Z rąk gardę umiejętnie ustawił, uszy, oczy, nos, zęby chroni.

Kopią. Kopiąc, przeklinają. Po angielsku. Irlandczycy. Nie-daleko ich dzielnica. Samochody okrążają grupę łukiem, przechodnie, choć oglądają się, przyśpieszają kroku.

Nakopali. Jeszcze – pochyleni – coś mu tam wkrzykują do uszu. Na zakończenie kopią każdy po razie. Adidasami. Choć on też już w adidasach. Pięciu. Otrzepują nogawki. Odchodzą. Rozhajcowani. – Foken Polish! – powarkują. – Polish shit!

Polak wstaje. Otrzepuje się. Poprawia koszulę. Idzie w kierunku subwayu. Teraz dołącza kolega – któremu udało się uciec.

Nie pomagałem. Nie telefonowałem. Bo tu się nie pomaga, nie telefonuje, nie wtrąca. Wiosna, krew się burzy – bójki, zaczepki, przekleństwa, krzyki, bieżanina – widok pod oknami codzienny, cowieczorny. Spowszedniało.

Oberwał, bo wczoraj, czy przedwczoraj – postawił się. Zaczepili – odszczeknął. Uderzony – oddał, uciekł. Świeży. Nie wie, że miejscowi wcześniej czy później go dopadną. Właśnie poznali i – dostał. I dostanie jeszcze jutro. I pojutrze. Aż stąd się wyprowadzi. Niech wie, że jest tylko gastarbeiterem. Intruzem. Nie ma prawa do pełnej równości. Całej godności. Zarabiasz sobie po cichu? No to zarabiaj, ciesz się. I nie mądrz. My tu gospodarzami. W Polsce będziesz się mądrzył. Tu jesteś za Murzynami. A spróbujesz oddać – zakatujemy. Jasne? Nie oglądałeś w Polsce westernów? Kryminalów? Co, myślałeś, że bajki?

Nie, kochany.  
To Brooklyn. Praga Nowego Jorku.  
Ameryka.

**40.** Czy ten skopany mężczyzna napisze o tym skopaniu do Polski?

„Kochana Żono! Kochany Synku! Kochana Mamo! W Wielką Sobotę, na skrzyżowaniu McGuinness i Nassau skopali mnie młodzi Amerykanie...”

Napisze?

Nie. Zacznie: „Kochani, Ameryka jest pięknym bogatym krajem... Pracuję, zarabiam, cieszę się wolnością...”

**41.** 9 kwietnia, poświęteczny wtorek. Czuję, że Pieróg już jest. Telefonuję do żony.

– Przyjedzie za... (namysł słyhać, główkowanie) za... kilka dni.

Jasne, buja. Przyjechał. Naskoczę!

– Powiedz mu, że ma skontaktować się ze mną... natychmiast. Jeśli tego nie zrobi, czekają go ciężkie konsekwencje.

– Nie rozumiem... (zmieszanie, dezorientacja) Edward! (irytacja) To nie są moje sprawy!

– Twoje też. W duecie gracie.

– No wiesz. Jeśli zadzwoni przekażę. Ale...

– Znudziła mnie wasza ciuciubabka i wasze żarciki. Nie będę już za nim biegał. Niech mnie szuka. Cześć!

No i dobrze. No i fajnie. Teraz pewnie naradzają się, analizują. Dla niepoznaki zadzwonią nie zaraz, ale wieczorem.

**42.** Nie! Już po trzech godzinach:

– Pieróg mówi... (głosik spokojny, modulowany). Telefonuję, Edward, dowiedzieć się, czy wydrukowano to ogłosze-

nie?

I nasłuchuje. Co, jakim tonem będę mówił. Jak na pominięcie mojego nazwiska zareaguję.

– Ogłoszenie? (zlekceważyć). Nie wiem. Nieważne. Skąd dzwonicz?

– Z Seattle...

– Ha, ha, ha! Kiedy ty wreszcie wyjedziesz z tego Seattle?

– Dlaczego? (zdezorientowany moim śmiechem) Mam tu pracę, mieszkam u kumpla...

– Plerożku, dziecko drogie (i jak do bobaska). Przestałbyś pieprzyć, chłopcze, o tym Seattle. Wiem, gdzie jesteś.

– No? (niby obojętnie) Gdzie?

– Wiem. Ale na razie ci nie powiem. I do rzeczy: masz być natychmiast u mnie. Żeby się ze mną rozliczyć. Jeśli nie, to...

– To... co?

– To cię spalę!

– Co ty... (jeszcze zdezorientowany. I naraz ostro). A co ty do mnie takim tonem? Co?!

– Oszukujesz mnie non stop. Jak... (ordynarnie!) jak dzika świnią! Dość! Spalę cię w prasie Nowego Jorku, Chicago. Daję ogłoszenie, że... (czy odkrywać się?)

– Że co?

– Nie będę zdradzał ci moich argumentów.

– Ale i ja mam swoje argumenty.

– Dość gadaniny. Grasz Dolorado na dziko, bez umowy. Jasne?

– A... gdzie ja gram?

Aha, bada mnie, czy wiem o Kanadzie.

– Pół świata zjeździłeś. To tyle. Masz stawić się i rozliczyć. Bo pożałujesz. Cześć!

43. Środa, 10 kwietnia, pół do dziewiątej rano.



– Mówi Pierożek... (ho, ho, tak raniutko? Oj zaczęło go...). Dzwonię z Seattle. Trochę potrwa zanim się spotkamy. To daleko, a nie mam pieniędzy na samolot (ach, biedaczek), jadę autobusem. Będę w poniedziałek.

Jasne: gra na zwłokę. Liczy, że dam się zwodzić do premiery i dalej. Do wyjazdu.

– Z Seattle dzwonisz?

– Zadzwoń, sprawdź... (podaje numer. Zapiszę).

– Posłuchaj, Pieróg... (no, teraz szturmowo). Nie wierzę ani jednemu twojemu słowu. Jesteś permanentnym oszustem. Umiejętności aktorskich używasz do prywatnego oszukiwania ludzi.

– Hm, „ludzi”... (dlaczego powtórzył to słowo z przekąsem?)

– Ale, że inni dają się tobie oszukiwać – ich i twoja sprawa. Będę mówił za siebie. Oszukiwałeś i oszukujesz mnie bezczelnie. Nie wierzę w to, co obiecywałeś, co obiecujesz, co będziesz obiecywał. Uwierzę tylko w banknoty, które położysz przede mną. I to niezupełnie – bo zanim wezmę, poproszę kogoś, żeby sprawdził, czy nie fałszywe.

– Uspokój się (groźnie. Aha, wypróbuj). Oszalałeś?

– Uważaj, Pieróg! (tak trzymać – walić bezwzględnie). Jeśli nie zjawisz się u mnie w poniedziałek i nie załatwisz swego długu przyzwoicie, roześlę po gazetach ogłoszenie, które spali cię w Ameryce, Anglii, Francji, Australii – zanim tam zawitasz.

– Ja... wracam do Polski.

– Dobrze. Będziesz ogłoszony w Krakowie i w Warszawie.

– Mogę dać i ja swoje ogłoszenia...

– A dawaj. I tak ludzie mnie wierzyć będą, nie tobie.

– Chyba tobie... (co to było? Dlaczego się zgodził?) Słuchaj, to może nie róbmy tej premiery?

– Ty się martw. Ja nie dam ci zgody na premierę, dopóki

nie pokażesz mi swego spektaklu.

– No to ci pokażę.

– Ale ty jeździsz, pokazujesz, zarabiasz tak, jakbyś już miał zgodę. Najpierw to musimy rozliczyć.

– Jak? Nie mam pieniędzy. Byłem tylko w Los Angeles i... I to właściwie... (czeka, żebym sypnął, co wiem) wszystko.

– A San Francisco?

– No, no? I jeszcze gdzie?

– Powiem ci, kiedy będziemy się liczyć. Czekam do... niedzieli. Jeśli się u mnie nie zjawisz, czytaj ogłoszenia.

– Do poniedziałku! Jestem daleko, nie wierzysz? Sprawdź!

– Dobrze, do poniedziałku. Wypłacisz się – i nie chcę cię znać. Nawet nie podam ci ręki na pożegnanie. Tylko powiem... (ordynarnie przybić) sp....j!

– Tak? (nie spodziewał się tego po mnie – zaskoczyłem – przestraszyłem. Fajno!)

– Cześć!

No, no... nieźle panie autor, grasz jak równy z równym. A nawet przeważasz – i mniejszy Michał teraz za większym podąża.

Piętnaście minut później: – To ja. Pieróg. Czekałem. Nie dzwoniłeś do mnie, do Seattle, sprawdzić.

– (skłamać!) Dzwoniłem. Cisza.

– Niemożliwe. Może źle nakręciłeś?

– To powtórz mi numer...

Zakłopotany... ha, ha, przyłapałem gagatka. Cyfry duka nie-pewnie. Zapisuję, porównuję z tamtymi. Wtedy: (206) 881-1641. Teraz: (206) 885-1461. Ha, ha – zapomniał, co wtedy przekreślił. Błaga i błaga.

– Nie obchodzą mnie już twoje, Pierogu, numery. Czekam do poniedziałku. Ty masz mnie znaleźć. Żadne wykręty nie będą uwzględnione. Skończyłem.

Uff, nareszcie go mam! Zaskoczony moją ofensywnością.

Boi się! Wciągnąłem. Tylko teraz czegoś nie przegapić.

44. Dwa dni później, w piątek, zawiozłem do Nowego Dziennika ogłoszenie.

Osoby zainteresowane monodramem Dolorado informowałem, że taki a taki (tu nazwisko, imię, pseudonim) przygotował go samowolnie, bez mojego udziału, i przedstawia bez mojej – autora – zgody. I dlatego – oświadczyłem – nie biorę odpowiedzialności ni za treść spektaklu, ni za działalność finansowo-reklamową Pierozka, w USA i w Kanadzie. Informowałem także, że sześć lat temu odebrałem mu prawo wykonywania monodramu według mojej Konopielki. Zatem obydwaj utwory – Konopielkę i Dolorado – eksploatuje Pierozek nielegalnie. I ostrzegłem instytucje i osoby, które by współorganizowały wymienione spektakle, przed skutkami prawnymi.

Poprosiłem o wydrukowanie ogłoszenia w piątek 19 kwietnia – i o możliwość wycofania w ostatniej chwili. Kosztowało 35 dolarów.

45. Po południu poczta dostarczyła mi wreszcie oczekiwane „pierożkalia” z Kanady. A o północy głos pani Alicji usłyszałem w telefonie. Przeczytała mi pani A. recenzję w torontckim, najnowszym numerze Echa Tygodnia – wiele pochlebnych zdań o spektaklu, aktorze i autorze.

Rozmowa rozgałęziła się. Utkwiło mi w pamięci jej spostrzeżenie o sztuce życia w wolności. Co prymitywniej się przybysze z PRL – gdzie życie „porządne” wynika nie tyle z wewnętrznej moralności, co z zewnętrznych zakazów i nakazów – znalazłszy się w kraju wolnym (albo o innej wolności) zachowują się jak chłopcy wypuszczeni z poprawczaka: kradną, dewastują, brudzą, oszukują, chłają, puszczają się. Bo nie boją się już (nadzorcy, milicji, rodziców) i nie wstydzą się (rodziny,

sąsiadów, znajomych).

Od razu przypomniał się mi Pirożek, w subwayu, ziewający obrzydliwie, całą gębą. Kiedy zasłoniłem mu rozdziawiony otwór gazetą, trzasnął dłonią w papier, obrażony. „Kogo mam się tu wstydzić! – parsknął, wskazując Latynosów, Murzynów, Chińczyków naprzeciwko. – Tej hołoty?”

– „Siebie” – powiedziałem.

Witek z nocnej roboty wrócił – usiadł zmęczony, przysłuchiwał się moim kwestiom, kręcąc głową.

– To nie jest normalne – rzekł, gdy odłożyłem słuchawkę.

– Co?

– To twoje przejście się Pirożkiem. To już choroba.

– Witek – powiedziałem. – Pierwszy raz w życiu tak mnie oszukano, tak upokorzono, i tak się zawzięłem. Pierwszy raz w życiu nienawidzę człowieka.

– Ameryka, będą następni – pocieszył. – Uspokój się, bo nie zaśniesz. I – przegrasz.

Istotnie, ani tej nocy, ani w następną nie mogłem zasnąć. Nerwy, nerwy! Przed północą zadzwonił – ach, zadzwonił jednak, Pirożek. Już spokojnie. „Będę w Nowym Jorku w poniedziałek”. Ha, ha, ha! Przecież – wiedziałem to – z Nowego Jorku dzwonił.

Umówiliśmy się na poniedziałek, pół do jedenastej rano, w McDonaldzie przy Greenpoint Avenue.

Kolejną noc przemęczyłem się bez snu, mimo prochów nasennych. W pościeli, jak w bagnie – bo przepełniony obrzydzeniem do Pirożka, do Polonii, do Ameryki i do siebie. Zły, że tak łatwowiernie pozwoliłem Ameryce mnie uwikłać. Ale nie było odwrotu, musiałem to bagno przebrnąć, żeby wybrnąć. Jeszcze z miesiąc tego taplania. Brrr! Czy ja po to przyjechałem do Nowego Jorku?

Pocieszałem się, że każdy tutaj – turysta, emigrant, Amerykanin – każdy jest tak uwikłany i każdy podobnie – mniej lub

więcej – chory... Kapitalizm. Walka o byt.

**46.** Jest! Stoi i czeka – czeka i wygląda... już spostrzegł, już świdruje, obmacuje, szacuje. Przyjaciół mój, dobrodzieju, przewodnik...

Wchodzimy do baru – ja za wolnym stolikiem się rozglądam, on za zagęszczonym (żeby, nieśmiałuch, świadkami się peszył). Na moim (nie zagęszczonym) stanęło. Zasiadliśmy. On o kilkanaście tysięcy kilometrów i kilkanaście tysięcy dolarów ważniejszy niż przed kwartałem.

– Słucham – mówi.

– Zdaje się, że to ty masz mi coś do powiedzenia?

– Niewiele. Tyle tylko, że fatalnie się tym twoim Dolorado wkopałem. Dołożyłem kupę forsy, zmarnowałem pół roku.

– Powiniennem ci dopłacić?

– Chyba tak. Występów kilka. Frekwencja żadna. Tyle programów, tyle plakatów – co z nimi robić? Do wyrzucenia. Ty przynajmniej książkę wydałeś, zarobiłeś sobie. A ja... Ech!

– Współczuję.

– Zaboli cię to, wiem, ale cóż, muszę być szczerzy. Sztuka, jak wiesz, sprawdza się na scenie... No i... Zrozum, Edward – najlepszym zdarzają się potknięcia... niewypały... Robiłem, co mogłem, żeby to podciągnąć... Przykro mi o tym mówić, bo wiem, że się starałeś...

– A ta świetna recenzja w Los Angeles?

– Nie zadawaj naiwnych pytań, wiesz, jak się tu załatwia recenzje.

Przygnębiony. Zatroškany. Nieszczęśliwy – za siebie i za mnie. Przyglądam się. Przejmujący. Gdyby on tak potrafił zagrać na scenie.

– Dość zgrywy – mówię spokojnie. – Wiem, ile na pewno wzięłeś od sponsorów. Ile co najmniej miałeś występów i

gdzie. Po ile sprzedawałeś bilety, programy, plakaty. Ile zapłaciłeś za wydrukowanie.

– Taaak? – przygląda się, słucha czujnie, czujniutko. – No, ile było tych spektakli?

Uznał, że blefuję. Sprawdza.

– Nie, Pieróg. Niczego ci nie będę udowadniał, wyliczał. I nie chcę od ciebie żadnych sprawozdań – ponieważ nie wierzę ani tobie, ani twoim dokumentom. Ale rozliczyć się musimy. Co mi proponujesz?

– Co? – Chwilę patrzy w stół. Zdecydował się. Wpatrzony, reakcję obserwujący, rzuca: – To, że nie obciążę cię udziałem w moich dotychczasowych kosztach i stratach.

Widzę satysfakcję w jego oczach... zauważył moje zaskoczenie. Zbaranienie.

– Co jeszcze? – pytam beznamiętnie.

– I, zgodnie z naszą umową, wspólne występy.

– Gdzie?

– W Nowym Jorku. I w Chicago. I, jak obiecywałem, podział dochodu.

– A w Kalifornii?

– Już byłem. Klapa.

– Kanada?

– Przepadła. Wiz nie mamy.

– A do Anglii, Australii – nie zabierzesz?

– Zabiorę. I do Japonii, Indii, Chin, Arabii Saudyjskiej, RPA, Brazylii, Grenlandii. I na Kameczatkę i biegun północny. Wszędzie tam czekają, wyglądają i błagają o twoje Dolorado.

– Rozumiem... A czy pamiętasz, że chciałeś mi się odwdziżyć za Konopielkę?

– Konopielka?... Stary, kiedy to było! Zapomnij. Archeologia.

– To wszystko?

– Tak. Wspólna premiera w Nowym Jorku i parę występów

w Chicago.

Zawirowało mi w głowie ze złości. Wyobrażenie nieuniknionej – jednak nieuniknionej! – szarpaniny. Sądy, plotkowanie, pyskowanie... Jezu!

– Czyli – wojna?

Doroślejszy ode mnie. Spokojniejszy. Ze współczuciem mruknął:

– Jak chcesz... przyjacielu.

Wiedział, że nie trzępnę. Że to nie na pięści pojedynk. Może nawet chciałby. Uczyniłby uderzenie centralnym punktem naszego sporu. Dolorado pomniejszyłby do mało ważnej pre-dakcji. Nie, z tym facetem żadnej ludzkiej ugody nie będzie.

– Ogłoszenie czytaj w piątek. – Wstałem. – No to... wojna.

Wyrachowanie moje zaczynało się i kończyło na prostym założeniu: za dużo ma jeszcze do zrobienia Pierożek – w Chicago, na Wschodnim Wybrzeżu, w Anglii i gdzie indziej – żeby już ryzykować moje ogłoszenie. Dokładniej; żeby ryzykować ogłoszenie prawdy i tego ogłoszenia ewentualne skutki.

Tylko wróciłem, tylko się zamknąłem – rozdzwonił się telefon. Co parę minut. Nieznośnie. Wyłączyłem.

47. Włączyłem telefon. Dzwonienie. Jeśli to on, zadzwoni znowu. Zadzwoiło. Podnoszę.

– Słuchaj, Edward (oho, ton inny, zatroskany, niebuńczuczny). Wycofaj z redakcji to ogłoszenie.

Aha, już wie, już zna treść. Zadzwoił, albo do niego zadzwoniono.

– Dobrze, pogadamy – mówię spokojnie. – Jadę do ciebie.

– Ja już tam nie mieszkam!

– Podaj adres.

– Nie dam... zresztą nie mam teraz stałego adresu. Telefontuję z automatu.

– Zapamiętaj, Pjerożku. Oszukałeś mnie obrzydliwie. Wplątałeś w Amerykę. W Polonię. Ośmieszyles publicznie. Jestem głupio zadłużony. Jeśli nie rozliczysz się ze mną po ludzku, nie ręcę za siebie. Wykonam coś nieobliczalnego. Uważaj: zostałeś uprzedzony.

– Dogadamy się... Tylko wycofaj ogłoszenie.

Ach, to aż takie ono dla ciebie ważne?

– Nie – mówię. – Jest poniedziałek, wycofać mogę do jedenastej w czwartek. Sporo czasu. I odkładałam słuchawkę.

Dzwoni!

– Wycofaj!

Odkładałam bez słowa. Wyłączam telefon. Ja cię śledziłem po kalifornijskich i kanadyjskich miastach, czekałem, męczyłem się. Teraz ty się pomęcz.

Włączyłem telefon w czwartek rano. I natychmiast:

– Proszę! Wycofaj! – Groźba, żądanie, błaganie w głosie.

– Co proponujesz?

– Spotkajmy się. Wyjaśnijmy.

– Kiedy?

On na to, że wyjeżdża za miasto. Musi. Kręcił...

Ustaliliśmy, że spotkamy się w niedzielę. Zadzwoiłem do redakcji i przesunąłem ogłoszenie o parę dni. Jeśli nie wycofam przed trzynastą w poniedziałek, będzie nieodwołalnie wydrukowane.

**48.** Niedziela. Pół do jedenastej. Notatki, wycinki, fotografie – w szaro-biurowej teczce ułożone, na której czerwonymi wołami stoi: PIEROŻEK. Idę.

Ale nie sam idę. U mego boku kroczy Henry. Dwumetrowiec. Inżynier z Polski. Który przed Pjerożkiem odegra prawnika. Adwokata mojego. Świadka koncesjonowanego. Niech zadrży Pieróg!



Czeka – główkuje, z dwudziestu kroków słyhać, jak mu ta jego głowa komputerowa pracuje, chrzęści, kombinuje. Przedstawiłem Henry'ego zagadkowo: że działa na mnie tonująco... a jestem w nieobliczalnym nastroju... Nie! – protestuje Pierożek. – Zaczynaliśmy bez świadków (co nieprawdą!) i zakończymy bez świadków.

Ja napieram. Henry uspakaja, ale Pieróg nie popuszcza.

– Dobrze – na to Henry – usiądę gdzieś w kątku nad drinkiem, a jak zaczniecie się napażać, wkroczę. Żebyście się nie pozabijali.

Szukamy miejsca, Pieróg bieży parę metrów w przodzie.

– Na jaki odzysk minimalny się nastawiasz? – półszepsem pyta Henry.

– Dwa i pół. Miesiąc w Niuorku kosztował mnie przeciętnie pięćset. Pomnóż... Pięćset razy, nawias, w nawiasie: trzy miesiące pisania, plus miesiąc pomagania, plus piętnaście dni tropienia telefonicznego, plus teraz dwa tygodnie użerania się, zamknąć nawias. Równa się dwa i pół. W tym koszt telefonów pościgowych, papier, kalka, telefony do niego, tokeny.

– To koszty własne. Gdzie zysk?

– Zysk... To, że w czterech ścianach pracowałem – ale amerykańskie te cztery ściany były. Że męczyłem się – ale w Ameryce się męczyłem.

– A Konopielka?

– Konopielkę pisałem za złotówki, a nie dolary i rozliczę się z nim w Polsce, złotówkami.

– Frajer z waszmości, ale waszeci to biznes, nie mój.

Aha: jeśli chcesz trzy wyszarpać, przetarg zaczynaj od sześciu i pół...

Pierożek do chińskiej kawiarni prowadzi, przy Manhattan Ave. Siadamy z brzega, przy oknie. Henry głębiej – przy baruku, już mu dzin preparują, stawiają. Ja dokumenty na stolik kładę. Pierożek lustruje.

– Oho – zauważył. – Teczkę na mnie założyłeś.

– Nagrywasz? – spytałem, i mac! go po piersi, po kieszeniach. Zdziwiło. Speszyło. Dobrze. Tak miało być.

No i do naszego pojedynku przystępujemy: do walki na chytróść. Mieszanie prawdy i kłamstwa. Udawanie. Aktorstwo. On aktor zawodowy, ja – amator. Ale spróbuję. Na kartce mam w punktach plan rozmowy.

– Ile wzięłeś od sponsorów? – pytam. A wiem o sześciu tysiącach. Ile jeszcze, nie wiem. Może nawet drugie tyle.

– Dwa tysiące czterdzieści – mówi skrupulatnie. – A druk plakatów i programu kosztował mnie... (wiem: tysiąc pięćset) dwa tysiące czterdzieści. Odejmij. Dużo zostało?

– Gdzie i ile razy wystąpiłeś? – pytam. I zerkam na moją kartkę, na której widzę Los Angeles, San Francisco, Monterey, Sacramento, Seattle... Oraz, po drugiej stronie granicy, Edmonton, Toronto, St. Catharines, Oshawa, London. Clichner. Montreal. Ottawa. Winnipeg. To na pewno. I prawie na pewno: Calgary. Regina. Vancouver... i

On wymienia:

– Monterey – mówi. – San Francisco. Los Angeles. Seattle. I... – przypomina, ach jak uczciwy. – I... Portland.

– Portland? – zaglądam do kartki. – Nie miałem. Dziękuję. I to wszystko? W żadnym więcej mieście nie występowałeś?

– Nie.

– W Kanadzie nie byłeś?

– Nie.

– Nie okłamujesz mnie?

– Nie obrażaj.

– I wszystko inne, co mi mówisz, jest tak samo prawdziwe, jak to, że nie byłeś w Kanadzie?

Wpatruje się we mnie zaniepokojony. Podrumieniony.

– Tak.

– To co powiesz... – wyjmuję fotokopię reklamy w toront-

ckim Głosie Polskim: pod plakatem informacja o spektaklach w Toronto i okolicy ... adresy, godziny – co powiesz... o tym?

Nawet nie drgnął skurczybyk. Pokiwał głową litościwie:

– Nie ekscytuj się. Bardzo możliwe, że wydrukowano, plakatowano. Ja z początkiem roku wysłałem materiały do wszystkich zaplanowanych miejscowości. Potem poodwoływałem. Widać facet z Toronto nie dostał mojego odwołania i nie wstrzymał reklamy. To wszystko.

– To i z recenzją tak samo? Nie zdążyłeś odwołać?

– Jaką recenzję?

– W Echu Tygodnia w Toronto.

– Było coś?

– Janusz Pietrus napisał. Socjolog. Znasz?

– Nie przypominam (a oczka mrugają), dużo ludzi znam w Toronto. A co ten... Pietras – napisał?

Nazwisko przekreślił, że niby pierwszy raz słyszy.

Otwieram notatnik. Czytam. Na niego zerkając. A skurczybyk spokojniutki. Tylko na czole kropelki. Ale to może od herbaty.

– Świetna recenzja – podsumowuje.

– Właśnie – mówię. – Świadczy o twoim talencie. Albo rzeczywiście świetnie zagrałeś. Albo – umiałeś sobie tak świetną recenzję zorganizować.

– To drugie – mówi.

– To nie byłeś w Toronto?

– Nie.

– A ta recenzja?

– Ucz się życia, przyjacielu. Posłuchaj... Wysłałem facetowi twoją książkę. Zamówiłem recenzję. Zapłaciłem.

Napisałem, kiedy ma wydrukować. I – wydrukował. Co, nie dasz rady pojąć?

– Nie.

– No trudno. Nie każdy rodzi się Mroźkiem.

– Ale on o tobie pisze, o reakcjach widowni...

– Boże, Boże... – Patrzy na mnie litościwie. – Co ja mam z tym dzieciakiem... – Pochyliła się. – Widział mnie w Colas Breugnon, czytał twój tekst... Czy to inteligentnemu człowiekowi nie wystarczy?

I prosto, prościutko, prostolinijnie, z najszczerzą prostolinijnością w oczy mi patrzy Pierożek. I – ani grama, ani miliagrama, jakiegokolwiek zakłopotania, zakłopotanka w jego oku! Patrzy: zmartwiony! Moim stanem po przyjacielsku zmartwiony. Psychicznym – stanem.

– Kochany – powiada, i ból najszczerzy w jego głosie słyszę, ból brata mojego starszego, cierpienie przyjaciela dozgonnego. – Z tobą naprawdę kiepsko, Edward... Te urojenia... Halucynacje... Edward – jestem poważnie zaniepokojony! Ty wracaj... do kraju... do rodziny... nie wytrzymujesz. Wracaj, lecz się... Bo to skończy się, stareńki, faaatalnie...

Przełożyłem parę kartek notatnika.

– W środę dwudziestego siódmego marca zatelefonowałeś do mnie o trzynastej. Z Seattle...

– Możliwe.

– Mam zanotowaną tę rozmowę. Posłuchaj...

Przeczytałem, żeby wiedział, że mam notatki i trochę zląkł się żeby.

Wysłuchał. – Tak było – wzruszył ramionami. – I co z tego?

– To, że parę minut przedtem zatelefonowałem pod numer pana Marka Przykroskiego w Montrealu. Miła jego pani powiedziała mi, że już przyjechałeś. Że wystąpisz w Montrealu w czwartek i piątek. – Wyjąłem z teczki rachunki telefoniczne. Los Angeles. San Francisco. Seattle. Toronto. – Tu, Montreal... – wskazałem palcem. – Spójrz na datę, godzinę...

A on do mnie, poważnie:

– To straszne, Edward. Zachorowałeś!

Kaseta z Konopielką mi się wysunęła. – A Dolorado nie

sprzedawałeś? – spytałem.

– Nie nagrałem.

– Tego też nie nagrałeś?

– Nie. Mój kierowca nagrał, handlował. Z nim się targuj.

– Nie będę. Nawiasem mówiąc: fatalnie to klepiesz. Trajkoczesz.

– Grałem, jak umiałem.

– To nie za wiele umiesz. Ale wróćmy do Kanady...

– Ty! – huknął. – Przestań wreszcie o tej urojonej Kanadzie. Pokażę ci paszport – znajdziesz mi stempel przekroczenia granicy?

– Nie chcę.

– Pokazać? – maca się po kieszeniach.

– Pierogu – zmieniam ton, na beznamiętny, informacyjny. Pozbierałem papiery, zawiązałem teczkę. – Nie obchodzi mnie twój paszport. Ani to, czy są w nim stemple i jakie... czy na pożyczonym jeździłeś... czy przez zieloną granicę... czy legalnie. Nie moja to herbata. Uważaj: nie wierzę żadnemu twemu słowu – choćbyś zaklinał się na Pana Boga, Polskę, na honor, na dziecko, na Piotra Skrzyneckiego. Powiem ci tylko, za ile rzeknę się moich do ciebie pretensji za Dolorado.

– No? – ożywił się. – Ile?

– Za... (dodać ile na targowanie? Dwa? Trzy?) Za... cztery i pół.

– Szalony! – Wstaje. Ogląda się za kelnerką.

– Jeszcze przed tą rozmową zastanawiałem się, czy nie oddać ci długu walkowerem – oznajmiłem, nie wstając. – Ale po dzisiejszym twoim seansie będę bezlitosny. Zapłacisz mi nie tylko za Dolorado. Nie daruję ci też Konopielki. Miałeś pecha, Pieróg, żeś się ze mną zderzył w tej Ameryce. Będziesz zniszczony.

– Konopielki w to nie mieszaj ! – warknął. – Nie gram jej od dawna i grać nie myślę.

Siada. Podchodzi kelnerka. Płacimy, on za swoją herbatę, ja za wodę. Wstajemy, ku drzwiom idziemy, zacierzewieni... Heniek przed nami wyrasta.

– Chwileczkę, panowie – powstrzymuje. – Widzę, że nie porozumieliście się. Uan moument, mister Pierożek, chwileczkę panie Redliński. Jeśli to trafi do sądu, obydwaj, panowie artyści, będziecie deportowani za nielegalne zarabianie.

– Ja nie – śmieję się. – Ja tylko dokładałem.

– Ten człowiek oszalał – rzekł Pierożek o mnie.

– Ten człowiek chce za swoje wypociny cztery i pół tysiąca.

– Trzeba było uważać, panie Pierożek – na to Henry. – Może należało zamówić sztukę u autora na miarę pańskiego konta. A... ile pan oferuje?

– Tysiąc... – wyjącał. – W tym pięćset z litości.

– Będę jutro czekał w tym samym miejscu co dziś – powiedział spokojnie. – Od za piętnaście dwunasta do za piętnaście pierwsza. Jeśli nie chcesz, nie przychodź. Ale czekać będę. Po raz trzeci – i ostatni.

– Tysiąc? – ożywił się.

– Cztery.

– Nie przyjdę!

– Do widzenia – odrzekłem i poszedłem w swoją stronę. Heniek za mną. Pierożek w przeciwną. Energicznie. Za energicznie.

– Przyjdzie – zawyrokował Heniek. – Zaraz... To ile godzin mu przepracowałeś?

– Tysiąc dwieście.

– Tysiąc dolarów za tyle godzin, to... – Policzył szybko w pamięci. – To płaci panu, panie pisarz, osiemdziesiąt trzy centy za godzinę. Pięknie.

– Pomyłka, mister Henry. Proszę uwzględnić dwieście pięćdziesiąt moich na niego wydatków gotówką.

– Aha... – Znowu policzył prędko szarokomórkowym swoim komputerem. – Jeszcze piękniej. Niecałe sześćdziesiąt trzy centy. Sześć dolarów dziennie, trzydzieści sześć tygodniowo, sto czterdzieści cztery miesięcznie. A za łóżko płacisz ile?

– Sto pięćdziesiąt. Greenpoint drogi.

– To gratuluję.

Wstąpiliśmy po Witka i pojechaliśmy we trójkę promem na Staten Island. Za ćwierć dolara

– najwspanialszy rejs świata.

**49.** Poniedziałek, godzina 11.45. Przed bankiem Unii Polsko-Słowiańskiej czeka już kilkudziesięcioosobowa kolejka. Żeby wpłacić uciulane w zeszłym tygodniu dolary. Sto, sto kilkadziesiąt. Rzadko więcej – choć jedzą tak oszczędnie. Nie chodzą do teatru, ni kina – jedynie ci najkulturalniej si szarpną się dwa, trzy razy w roku na bilet do „Driggsu”, jeśli występuje gwiazda polskiej kultury. Kocoń. Pietrzak. Połomski. Santor... Książek właściwie nie kupują. Relax – jeden na trzech, czterech, Nowy Dziennik – na zmianę – teraz ja, za tydzień Józek, potem Maryśka. I to najczęściej ten sobotnio-niedzielnny. Bo 85 centów to kawał grosza – w Polsce kupi się za to prawdziwą grubą książkę. Albo pójdzie się dziesięć razy, i to we dwoje, do dobrego kina. Albo na dobry obiad w niezłej restauracji. Albo kupi się pół litra w Peweksie. Co, myślicie, że kpię z tych ciulaczy, z tej kolejki przed bankiem Unii?

Nie. W jednym ze swoich znakomitych felietonów Puszczyk błyskotliwie przyrównał polskich gasterbeiterów do... Rzędziana. I stwierdził, że za dużo mieliśmy w naszym narodzie Kmiciców, Zagłobów, Wołodyjowskich – za mało... Rzędzianów. Ci Rzędzianowie wybudują w Polsce za te wyharowane dolary domy, obory, unowocześnią gospodarstwa. Wzbogacą – Polskę.

Że nie mogą wzbogacić Polski harując i ciułając w Polsce – nie ich wina. Każdy z nich jest bezradny wobec ustrojowej jałowizny tak samo, jak wszyscy w Polsce. Oddzielny temat, trzeba by dużo i drobiazgowo. Nie o tym ta opowieść. Wracam do kolejki... Do sprawy pazerno-bohatersko-poniżającego ciułaństwa. Że walka o cudotwórcze centy wynaturza się często wśród Polonii w wilczą szarpaninę, między... Polakami.

Pierożek jest przykładem Rzędziana – ale Rzędziana zwilczonego. Mnóstwo takich na polonijnych dołach. W wilczy, psi, lisi sposób wrywa innym Polakom ich kęsy i kości. Od pierwszego odcinka Michałów zgłaszają się do mnie Polacy, których oszabrował. Najczęściej było tak, że dawali mu mieszkania, żywili. Potem on jechał dalej – zostawiając mylący adres. A za miesiąc przychodził rachunek telefoniczny – na dwieście, czterysta, pięćset dolarów. Ale szukaj wiatru w polu...

Wielu mi mówi: on grając twoje utwory rozreklamował cię po Ameryce i Kanadzie – a ty go teraz obświniasz. Otóż ja nie chcę takiej reklamy. Nie chcę, żeby nazwisko Redliński kojarzyło się ludziom z Pierożkowym hienowaniem. Dlatego między innymi piszę tych Michałów. Żeby wyjaśnić. Usprawiedliwić się. Odciać.

Prawda, jestem jedną z jego ofiar – więc łatwo oskarżać to moje pisanie o prywatę.

Otóż: opowiadają mi greenpoinccy sąsiedzi, jak ich ohienowano. Bo każdy, albo prawie każdy został przez innych Polaków ohienowany. A jeden przypadek jest frapujący. Na wspinałe opowiadanie, na sensacyjny scenariusz.

Myślałem, próbowałem napisać. I jestem – bezradny. Za mało znam realia amerykańskie. W dodatku ofiary – zauważyłem – przemilczają mi lub przekręcają wiele faktów. Po prostu: wstydzą się. I boją.

A moją historię znam doskonale. I nie wstydzę się przyznać



do swego frajerstwa. Stać mnie na „ekshibicjonizm”. Mało tego: zarzuty o prywatę przewidziałem – i wkalkulowałem w koszty. W koszty pisarstwa.

Przy okazji: Bogdan O. – i inni – mają do mnie pretensję, że masochistycznie upodobałem polonijne doły – tak, jakbym chciał Polonię skompromitować, na przykład na użytek propagandy krajowej.

Otóż Panie Bogdanie! Piszę o tych Polakach, których znam. Elity nie znam. I znać nie chcę – dopóki mam być wśród niej pariasem – dopóki nie będzie mnie stać na porządne ubranie, na bilety do teatrów, i na płacenie za siebie w restauracjach. Jasne?

Ale może kiedyś napiszę. Bo wypatrzyło już moje czujne oko paru Polonusów wspaniałych. Których Ameryka nie zwilczyła, lecz uwzniośliła. Kilku wyświadczyło mi wzruszająco bezinteresowną dobroć. Za jednego nawet modliłem się. Tak, ja, który nie modliłem się od 25 lat, wszedłem do katedry Patryka, zapaliłem te świeczki-ogniki i z godzinę – zanim się wypaliły – prosiłem Pana Boga, żeby ten człowiek był szczęśliwy. On, jego żona i ich dzieci. Ten polski Amerykanin pomógł mi – człowiekowi nieznanemu – kiedy byłem w okresie bezgranicznej rozpacz. Pomógł mi w samym centrum manhattańskiego żmijowiska.

Obrzydzenie i nienawiść do Ameryki, które wtedy mnie dręczyły, opadły ze mnie dzięki temu człowiekowi. Ten człowiek uleczył mnie z rozpacz...

Ale wróćmy na wilcze doły. W nocy z niedzieli na poniedziałek przeistoczyłem się w psa. I przyszedłem przed bank Unii, aby spotkać się z drugim psem. I stoczyć z nim obrzydliwą psią, kundla walkę o dolary. Jak pies z psem. Jak Polak z Polakiem w Ameryce.

50. Więc poniedziałek, godz. 11.45. Czekam pod bankiem przy Greenpoint Avenue, jak było umówione. Jeśli Pierog nie przyjdzie, albo jeśli się nie dogadamy, – nie wycofam ogłoszenia i o godzinie 13 ruszy maszyna drukarska.

W nastroju jestem bojowym. Jestem po decyzji. Jeśli nie wyszarpię Pierożkowi dwóch i pół tysiąca – niech idzie to ogłoszenie, czyli niech dzieje się skandal. Ja znikam do innego miasta, zataję to, żem polski pisarz. I w kilkanaście miesięcy dług spłacę łopata. Trudno. Inaczej – nie zarobię. Nie spłacę długu. Nie będę mógł wrócić do kraju. I szczerzę tu. Zginę z obrzydzenia.

Przyjdzie, czy nie? Już dwunasta – otwierają bank, wpuszczają kolejkę do środka. Wśród nich Zbyszek, przyjaciel z Polski.

– Chyba nie przyjdzie – mówi.

Ale... sierść mi się najeżyła: Pierożek wyrzał zza rogu... penetruje. Mnie chyba zobaczył – i zniknął.

I coś długo nie wraca. Jasne, chce podłamać mnie czekaniem.

Z dziesięć minut później idzie – drugą stroną ulicy.

Aha: zapomniałem zaznaczyć, że choć on kundel i ja kundel, przyszedłszy jednak na dwóch łapach. Niczym ludzie.

Zbliża się – ale ja oczom nie wierzę. Co się stało z wczorajszym paniskiem! Włos rozproszony. Siniaki pod oczami. Oczy zrozpaczone. Rozchelstany, nie podopinany. Zgarbiony. Zbite zaszczone psisko.

Dobra nasza, złamałem go! – pomyślałem (głupi).

– Jestem – jęknął. – Porozmawiajmy. Ty wczoraj pokazywałeś mi różne dokumenty, teraz zobacz moje rachunki. No zobacz, jakie to pieskie zarobki. – I pokazuje mi zestawienia, podpisy, oświadczenia.

– Schowaj to – zlekceważyłem. – Jeśli ty twierdzisz, że nie byłeś w Kanadzie, to żadnemu twojemu słowu nie wierzę, ani

żadnej tu cyfrze.

– No to... no to... byłem – wystękał. – Ale prawie z niczym wróciłem. No zobacz!

– Dość! – ja na to. – Ile dajesz? Cztery?

– Półtora. Wycofaj!

– Precz! – I odszedłem. Bardzo zdecydowanie.

Czułem, że gram dobrze, że uwierzył w moje zdeterminowanie.

Dopędził. – Dwa – usłyszałem.

I tu popełniłem błąd. – No dobra – powiedziałem – daj... trzy i cześć.

A trzeba, trzeba było trwać przy tej wywoławczej czwórce. Na pewno doszedłby do dwóch i pół. I wtedy umowa...

On: – Człowieku, nikt w Nowym Jorku, nikt w całej Ameryce dwóch tysięcy za monodram ci nie da!

– Po pierwsze, Pierog, ty mi nie dajesz. To ja ci wyszarpuję, parę miesięcy, z gardła. Gdybyś ty mi zapłacił dwa, kiedy ci tekst wręczyłem, nie byłoby to źle za trzy miesiące roboty. A po drugie: gdybyś mi wtedy w sierpniu i dziesięć proponował. Ja pisałem, żeby jeździć przy tobie po Ameryce. A ty tekst wzięłeś i uciekłeś. Oszukałeś. I potem cały czas oszukiwałeś. I dziś oszukujesz.

– Pamiętaj, dwa ci dawałem, a ty nie chciałeś – pogroził. – Sam sobie będziesz winien, że nie dostaniesz nic!

Nie będę opisywał, jak wracał, jak to prosił, to groził, ile razy. Normalne chwytaki handlarskie, jak na bazarze. To, że opuściłem na trzy, było błędem. Bo minuty mijały, a ja strasznie chciałem tę sprawę zakończyć. Myśl, że miałbym po psiemu szarpać się z Pierozkiem jeszcze dzień, jeszcze dwa – że będę kundlem jeszcze dwa dni, dwie noce, albo i więcej – wprawiała w fizjologiczne obrzydzenie na granicy wymiotów. No i ta cholerna bezsenność, paranoiczne myślenie bez ustanku o drugim kundlu... i to moje widzenie Polaków na Greenpoin-

cie jako skundlonych... A w dodatku tego dnia o osiemnastej (według czasu nowojorskiego) kończyłem czterdziesty czwarty rok życia... Jezu, zacząć ten czterdziesty piąty jak człowiek! A nie kundel. A przecież muszę odgryźć się na tym, który mnie nie tylko pogryzł, ale jeszcze zadarł nogę na mnie i... Tu już szło o coś dużo więcej niż te pieniądze. To jakby publicznie trzaśnięto cię w twarz, a ty tylko „godnie” wytarłeś się chusteczką. Jak potem żyć!

Rzecz rozstrzygnęła się za piętnaście pierwsza. Wrócił po raz któryś.

– Dwa! – jęczy, charczy, paznokciami ścianę drapie (dosłownie) – Dwa i ani centa więcej, ty, mnie rujnujesz, ty krwio pijco, ty sępie! – Pochylił się, przysiadł, zęby wyszczerzył – beton chodnika gryźć będzie?... nie, paznokciami tylko przejechał... tak, załamany, zdruzgotany, zmiażdżony, tak, już nie człowiek.

– Dwa i dwieście – wycharczał.

Ale ja sobie przyrzekłem: dwa i pół. Nawet jeśli będzie dawał 2.499 nie ustąpię.

– Nie! – zawarczałem ze zjeżoną sierścią, zęby psie szczerząc, pazury wypuszczając.

– Trzy.

– Dwa i... i pół – wyskowytał.

– Zgoda – powiedziałem. I poczułem się człowiekiem. Wstałem na dwie łapy. Pionową postawę ludzką przyjąłem.

– Ale mam tylko półtora – usłyszałem... i znowu opadłem na cztery łapy.

– Wrr! Hau! Hau! – wyszczerzyłem się po sobaczemu. – To nie ma o czym szczekać!

I człap! człap! pobiegłem na czterech łapach, do pobliskiej budki. Telefonować. Była za dziesięć pierwsza.

A on człap! człap! za mną. Nakręciłem numer telefonu do gazety.

– Co im powiesz? – zaszczekał.  
– Niech drukują – odwarknąłem.  
– Odwołaj – zaskomlił. – Za trzy godziny będziesz miał forszę.

– Dwa i pół? – zawarczałem.  
– Dwa za... za trzy godziny – wyskowytał. – I pół za dwa miesiące. Dam ci zobowiązanie. Że oddam.

Jeżu! W głowie – przepraszam – we łbie sobaczym trzeszczy. Skończyć z tym.

– Toja, autor Dolorado – zaszczekałem do słuchawki.  
– Bardzo proszę przesunąć to moje ogłoszenie o jeszcze jeden dzień.

– Ale będzie pan musiał od nowa płacić.  
„Pan” powiedziano do mnie, psa. Psiego, sobaczego bojownika o dolary.

– Dobrze...

I człap-u-człap-u, my dwa psy, zacłapaliśmy do stołówki Centrum. I tam w kącie Pierożek napisał zobowiązanie, że o piątej sporządzimy umowę, a on wręczy mi dwa tysiące dolarów i pokwitowanie pięćsetdolarowego długu. Ja oryginał wziąłem, on kopię.

Wstaliśmy od stolika. Już na dwóch łapach. Och, wygrałem, koniec tej mordęgi. Zostałeś uderzony cwaniaku w bolące miejsce. Czułem się dumny z siebie.

Wychodzimy na ulicę i...

I patrzę ja na Pierożka i widzę, że zerka na mnie szyderczo. Zwycięsko. Że to on wygrał. Inny człowiek! Gdzież tamta rozpacz sprzed dziesięciu minut? Tamto gryzienie – drapanie chodnika! Co?! Czyżby? To wszystko tamto – kosmyki rozwichrzone, siniaki pod oczami szalonymi, zrozpaczonymi, rozchełstanie, zgarbienie, owo beznadziejne stąpanie – wszystko to grą było? Charakteryzacją? Reżyserią?

– No to do zobaczenia o piątej, bądź łaskaw wziąć papier i

kartkę – rzucił przyjaźnie. I skręcił w lewo. A ja człapałem ku domowi coraz bardziej zgarbiony. Oklapnięty.

Co mu się udało, z czego taki zadowolony był odchodząc z kopią przedumowy w kieszeni?... Wykpić się mu bardzo tanio z obowiązków wobec mnie udało. I jeszcze na finiszu urwać pięćset mu się udało. Przecież on mi owszem, wręczył zobowiązanie długu, ale nie po to, żeby mi to pięćset kiedykolwiek oddać. W Ameryce go nie dosięgnę. A w Polsce nie wiadomo kiedy i czy w ogóle się spotkamy. Odchodził zadowolony, bo godziną aktorstwa wykpił się – tanio – z opresji.

Kiedy zobaczyłem go o piątej – czyściutkiego, eleganckiego, uśmiechniętego – znikły mi ostatnie wątpliwości. Tak, grał. Zagrał dobrze obmyślaną i wyreżyserowaną rolę.

– Pieniądze mam – poinformował. – Jest tu niedaleko bar, który nazywa się „Happy End”. Chodźmy tam, Edward. Chyba domyślasz się dlaczego, właśnie tam.

Przyjacielski, życzliwy, dobroduszny jak wtedy w sierpniu, kiedy zaczynaliśmy, kiedy czarował mnie mirażami Kalifornii i Kanady. Żebym tylko napisał „monodram, wiesz, taki monodramik pod Polonię”.

Usiedliśmy. Najpierw formułujemy umowę. Jest przyjacielski, ale cicho, lisio podsuwa chytre słowa, podstępne zdania. On świeżutki, bystrutki, a ja coraz bardziej zmęczony, wykończony. Dobrze, myślę, byleby dostać od niego te dwa tysiące i nigdy go w życiu nie zobaczyć. Nawet tego zobowiązania, ile i do kiedy zwróci mi ponadto – nie chce mi się już formułować. Nie chcę go widzieć ani w sądzie, ani gdziekolwiek. Ani oglądać mojego Dolorado w jego wykonaniu. Pani Alicja z Toronto telefonowała, że kompromitacji nie ma...

Ale nie! Jeszcze raz z tobą zagram.

- Pierozek, ty mi te pięćset dolarów buchniesz.
- Co ty! Zobowiązanie podpiszę.
- Mam pomysł. Jeśli ty chcesz mi te pięćset naprawdę...

- Jak możesz wątpić! – przerwał godnie.
- To ty mi oddaj tylko dwieście pięćdziesiąt. Ale dziś.

Pogłótkował, pogłótkował. – Nnie – oświadczył. – Nie mam u kogo pożyczyć.

– Ty? Który masz tu dziesiątki przyjaciół i krewnych? Wiesz, Piereżek, dlaczego ty nie chcesz przyjąć takiej świetnej propozycji? Bo wolisz nie oddać mi nic niż te dwieście pięćdziesiąt.

– Ty! – zerwał się. – Za kogo ty mnie, furwa, masz? Jestem ojcem, jestem mężem, jestem artystą – ludzie mnie szanują! Tylko ty sobie coś przeciw mnie ubzdurałeś.

– A pieprzę ja te twoje dwa tysiące, pieprzę twoje zobowiązania. Mam tego użerania się z tobą, ścigania, zebrania, ponizania dość. – Też wstałem. – Jutro wydrukują to ogłoszenie i koniec. Za wiele czasu straciłem ja na twoje szurze machlojki.

I wychodzę. I on wychodzi. Z baru „Happy End”. On wyszedł i skręcił w prawo. Ja w lewo. Do domu. Ale kiedy „McDonalda” na rogu minąłem, usłyszałem człap! człap! za sobą. Sierść mi się na karku najeżyła znowu – na cztery łapy opadłem i odwróciłem się. Wyszczierzony.

– Odczep się ty ode mnie, hau, hau! – zaszczekałem.

– Hau, hau, ty wiesz, jakie to trudne, ile wysiłku, przedsiębiorczości, hau, trzeba było, żeby te dwa tysiące, które lekceważysz, zarobić? To nie twoje pisarskie siedzenie na dupie w czterech ścianach! Wrrr!

– Wrrr! – odwarknąłem. – Co ty wiesz o pisaniu? Jeśli napisanie sztuki to leniuchowanie w czterech ścianach, dlaczego, hau, hau, sam nie napisałeś? Czemu nie zwróciłeś się do jakiegoś Józia, czy Marysi, tylko właśnie do mnie? Wrrr! Wrrr! No?

A już przechodnie wokół nas się zebrali, posłuchać naszego szczekania psiego. Wśród nich niemało kundlopodobnych zauważyłem.

– Ty wiesz, jakiej wyobraźni trzeba było, żeby to tournée zaplanować i zrealizować? Wrr! Hau!

– Doceniam tę twoją wyobraźnię organizatorską, hauhau! Nie mam jej – i dlatego chciałem, hau, skorzystać z twojego talentu, żeby popodróżować. Ale ty nie masz wyobraźni potrzebnej, żeby napisać utwór. Wrr! Żeby zauważyć temat. Wyobrazić osoby. Stworzyć kawałek świata – którego nie było. Hau, hau! Nie potrafisz ułożyć sobie słów w interesujące zdania! Co wiesz o męczarni pisania w czterech ścianach! Cześć, wrr, hau!

Odbiegłem na czterech łapach Aleją Greenpoint w dół. Bo już za dużo gapiów się zebrało. A on za mną, za mną! To ja prędeej, prędeej – z kłusu w cwał, z cwału w galop, rozdziawionym pyskiem prując powietrze – mijając auta, psy i od czasu do czasu człowieka. Do swojej budy przy Nassau wpadłem, zamknąłem się i, zasapany, rzuciłem na wyro. Piana skapywała mi z pyska. Grzbietem o ścianę się poczochrąłem, bo psie pchły poczułem...

Za godzinę skończy mi się czterdziesty czwarty rok życia. Mityczny czterdziesty czwarty. Kończę go skundlony. I czterdziesty piąty zacznę skundlony. Jako polski kundel na Greenpoincie w Ameryce.

Zadzwoił telefon – mieli dzwonić z Chicago – podniosłem słuchawkę.

– Nie boję się już, wrr! twego ogłoszenia – usłyszałem. – Mam kopię umowy wstępnej, tej ze stołówki. Mam świadków, wrr! wrr! że chciałem się wywiązać. To ty ją złamałeś. Uwważaj! Przychodź! Zaczekam godzinę...

Za godzinę zacznę czterdziesty piąty.

– Dobra, wrr – odwarknąłem. – Ty przyjdź, ja tymczasem przepiszę to na maszynie...

Przepisałem. Łapy miałem jakieś niesprawne. On przyszedł – zawył spod okna, żeby prędeej. Schodząc poprosiłem Jula,



żeby poszedł ze mną, potrzebny świadek.

I poszliśmy do „Continentalu”. Nieczynny, sprzątanie. Ale pani Benita nas, dwóch kundli, wpuściła, bo byliśmy z człowiekiem (Jul). Przeczytaliśmy napisaną umowę. Potem pokwitowanie, że za dotychczasowe i przyszłe spektakle Dolorado płaci mi Pierozek dwa i pół tysiąca. Z czego dwa od razu, a pięćset później. Potem zobowiązanie, że te pięćset zapłaci mi Pierozek do 15 maja br. On podpisał, ja popodpisywałem. Wymieniliśmy oryginały, kopie. Potem wstał na tylne łapy i skądś z pachwiny wyjął plik setek. Podał mi. Wziąłem je w pazury i przeliczyłem. Dwadzieścia – w porządku. Poprosiłem Jula, żeby rzucił okiem, czy nie fałszywe. Jul jakoś fachowo je pomiętolił i powiedział, że prawdziwe. Pierozek schował swoje egzemplarze umów, wstał, i bez słowa, bez warknięcia prędko się oddalił. Na dwóch łapach.

– Dziękuję, Jul – Spojrzałem na zegarek. Było pół do siódmej. – Właśnie, hau, hau, zacząłem czterdziesty piąty rok życia.

Nie zamówiliśmy żadnego alkoholu. Kundle nie obchodzą urodzin. Wróciliśmy – Jul do domu, ja do budy. Zajrzałem do notatnika. Czterdziesty piąty rok życia zaczynałem z 5132 dolarami długu – i dwoma tysiącami gotówki w kieszeni. Nieźle. Ale najważniejsze, że nie darowałem i zajadle, jak Polak z Polakiem, jak pies z psem, stoczyłem z Pierozkiem walkę. To kosztowne, upokarzające, psie półzwycięstwo było mi bardzo potrzebne. Człowiekiem poczułem się trochę więcej. Jeszcze tylko zawałczyć z drugim facetem, który mnie pokąsał. I zawałczę.

Zatelefonowałem do Warszawy, do moich drogich – żeby mi złożyli życzenia urodzinowe. Dzięki amerykańskiej technice słyszałem ich głosy i oddech tak wyraźnie, jakbym był w Warszawie, o dwie ulice od nich.

Potem posiedziałem w ciemności. Podumałem nad tragi-

zmem Polski i Polaków. Nad obłądnym rozdarciem i skłóceniem świata. I nad dostojewszczyzna ludzi-kundli. Trochę łez nawet uroiłem, psio-ludzkich. Zawyłem do migającej na czubku Empire Building lampy-gwiazdy widocznej z mego okna. Położyłem się do łóżka. Poskomliłem trochę. I usnąłem.

**51.** No i jadę do Chicago – na drugi pojedynek i też nie tylko o dolary. Tydzień minął od kłania się mojemu na Greenpoint Ave.

Cudowne widoki, imponujące skrzyżowania, estakady. Miasteczka. Farmy... Jezu!

Na myśl, że miałem tak – wędrując z Dolorado – zobaczyć miast tyle, krain tyle, serce mi stawało. Uch, ty! Przecież ja nie dla dwóch tysięcy dolarów trzy miesiące w czterech głupich ścianach się więziłem, tylko żeby... potem... przez ten kraj przerozległy...

Ale postanowiłem o Pierozku zapomnieć. Już nie ścigać. Los go w końcu sam doścignie.

A Teksas, Kalifornię, Kanadę sam jakoś kiedyś zobaczę...

Dobrze, lekko się myśli, mając za oknem film panoramiczny. Amerykański.

Ech, Santa Polonia! (jak pisał Stachura, o Polsce polskiej myśląc, nie amerykańskiej). Ten Twój idiotyzm zwalczania się „fal” emigracyjnych, pokoleń emigracyjnych.

„A co ci nowi wiedzą o Ameryce! Myśmy to dopiero dostawali w d...!”

„Nie! Myśmy dostawali w d... mocniej!”

„A wcale nie, bo my jeszcze mocniej!”

„Nam dała, to im też niech da! A my dołożymy!”

Rywalizacja i topienie się wzajemne. Tych, co „za chlebem”, tych, co „za wolnością”, tych, co „za szynką”. Emigracje: chlebowa, wolnościowa, szynkowa.

Jadę do Lisa, który – jak Pierożek – będzie głosił: „polska kultura”, „literatura”, „patriotyzm”, rozwijanie, wspomaganie, a myślał: „dolar – dolar – dolar”. Witek, który kłanianie się moje z Pierożkiem przeżywał jak swoje – który uważał, że nikt go jeszcze w Ameryce nie okradł i który jednak w lisie nie wyczuł lisa i bardzo mnie do niego zachęcał, a teraz czuł się jakby winny – powiedział mi w niedzielę:

– Nie jedź... Znalazłem ci farmę, koło Yonkers, niedaleko, cztery pięćdziesiąt na godzinę i dużo godzin. A tego tam... (tu brzydkie słowo) zostaw. Wszystkich... (tu brzydkie słowo w liczbie mnogiej) na świecie nie przewalczysz. Szkoda twójgo czasu i talentu.

Nie, Witku. Roboty ja się nie boję, czarnej też. Już redaktor, pisarz, laureat – jeszcze na kolanach kopałem w ojcowskim gospodarstwie kartofle, pasłem i doilem krowy, wywalałem i rozstrząsałem widłami gnój. Ale parobkiem na a-me-ry-kańskiej farmie nie będę! Choćby mi płacono 20 \$ za godzinę! Nie, nie wezmę do rąk amerykańskiej łopaty, taczki, szmaty. Ani kierownicy – ni traktora, ni taksówki. Nie, nie dołączę do szczuropolaków. Którzy dla ekstraprzelicznika sprzedają dumę i honor Polski u byle dolarodajnego chama, zdradzają Polskę pod pretekstem, że ona... komunistyczna. Nie, Witku, ja włamię się, ukradnę, oszukam, napadnę – ale nie dołączę do milionów upodlonych imigrantów z Meksyku, Haiti, Kuby, Ukrainy, Chorwacji. Nie będę Amerykanom kontynuował murzyńskiego niewolnictwa. Powtarzam: prędeż noża, wytrycha, pięści – a może długopisu – użyję, żeby wyleźć z długów, niż łopaty, szmaty, kierownicy.

A teraz do Chicago nie tyle po odzyskanie dolarów, co po odzyskanie godności jadę. Zrobić coś takiego, żeby Lis patrzył na mnie nie z góry, jak na szczuropolaka, żebraka, kundla, ale jak na człowieka, co najmniej poziomo. Który gdzieś tam ma swoją pełnoprawną ojczyznę, pełnoprawne państwo i pełno-

prawne obywatelstwo. Ja chcę z Ameryki wyjechać z podniesioną głową. Zwycięsko.

Bo w istocie to ja nie z Pirożkiem i nie z Lisem wojowałem, ale – z Ameryką. Z bogatą, zarozumiałą, chytrą i cyniczną Ameryką.

**52.** Ledwo mnie w Chicago na dworcu Ala i Marek przywitani, słysząc: – Za tydzień u nas premiera twojego Dolorado.

Machnąłem ręką, już mnie ono ni ziębiło, ni parzyło. Zostawiłem worek w ich aucie i od razu, o siódmej rano, poszliśmy nad jezioro Michigan. Które jak morze... I, ach, te bulwary!

A potem znajomi, znajomych znajomi, alkohol, rozmowy, spacer. Potem samotne moje – jak dziewięć miesięcy temu po Manhattanie – łązenie wzdłuż jeziora, patrzenie, podziwianie. Chicagowanie... Wreszcie wycieczka na „Jackowo” – czyli chicagowski Greenpoint. Jackowo – które znam z „Wakacjuszek” Zofii Mierzyńskiej. Pierwszego polonijnego bestselleru.

Okazuje się: los „wakacjusza” polskiego i w Chicago, i w Nowym Jorku – tak samo pieski.

Więc łążę – łążę – choć butów szkoda – łążę... czas do lisa przystąpić. Ale... Nie tyle strach, co wstręt. Odwlekam. Przeciągam.

Tymczasem premiera Pirożkowa się odbyła. Telefonowano do Ali, że to, że sio... Podobno słowo wstępne przed spektaklem Pierog wygłasza, z wielkim uznaniem o autorze mówi. Proszę, co znaczy dolar! Z uznaniem, o mnie, którego nienawidzi. Ale jak ma mówić? „Przedstawię państwu monodram fatalnego autora”? Podcinać sobie gałąź?

Ala: – A przy wódce, taki syn, o tobie, żeś wariat, pijak, komunista, pasożyt! „Dlatego go w tournée nie wziąłem” – mówi.

Nie przejmowałem się tymi plotami. Dopiero...

Dopiero kiedy Ala przyniosła Pierożka ulotkę do spektaklu – napisaną przez Pierożka i przez Pierożka podpisaną – i kiedy przeczytałem słowa między innymi takie:

„... Autor i wykonawca spotkali się pół roku temu w Nowym Jorku. Spotkali się i wymyślili tekst i spektakl, który objechał już Amerykę i Kanadę. Chicago i Nowy Jork realizatorzy zostawili obie na koniec...”

... dopiero wtedy mnie ruszyło i zerwało!

Och, ty! To już i współautorstwo tekstu przywłaszczasz? I że niby my zgodnie, ramię w ramię – Redliński i Pierożek, jak druh z druhem – działamy? To jeszcze mało ty Redlińskiego wycykałeś?

I punkt najczulszy: że my... jakby... razem... Amerykę i Kanadę... a teraz na koniec Chicago i Jork Nowy? Że niby ta, kiedyś w Relaxie zapowiedziana, wspólna podróż się odbyła?

To te twoje dwa tysiące – aż tak cię rozzuchwaliły?

– Nie, bratku!

Zatelefonowałem do Witka w Nowym Jorku, żeby odnalazł w moich papierach owo zobowiązanie oddania 500 dolców. I błyskawicznie przysłał.

Tymczasem we wtorek spotkałem się z Lisem, moim chicagowskim wydawcą – przeciwnikiem.

Do Pierożka list napisałem i przeszedłszy całe tzw. Murzynowo, do domu zaniósłem, w drzwiach zostawiłem. W liście było:

„Wczoraj minął termin oddania mi 500 dolarów. Będę jutro 15 minut przed spektaklem. Miej przy sobie pieniądze albo kopię money orderu, jeśli dług wysłałeś do nowego Jorku. Sprawę traktuję poważnie. Żadne wykręty nie będą uwzględnione. E.R.”

Zastanawiałem się długo, czy nie włożyć do listu... żyletki. Dla hecy. Jak zabawa, to zabawa. Ma pieniądze, ale niech się

boi. Jak Chicago, to Chicago.

53. Nazajutrz, w piątek, kwadrans przed ósmą zajechaliśmy z Alą i Markiem przed klub „Pod Żelazną Kurtyną” przy Fullerton. Pirożek stał przed drzwiami. Trząśł się.

– Ja już przestałem się pana bać, panie Redliński! – oznajmił, trzęsąc się.

Ja: – Masz pieniądze?

On: – O, tu masz numer telefonu siostry w Nowym Jorku, ona ci...

Ala: – Co za drań!

On: – Wielka mi pani redaktor!

Ona: – Ach ty kurdupłu...

Po tym przywitaniu weszliśmy do klubu. Nareszcie zobaczą legendarnego Pirożka w działaniu. W krasie.

Zaraz za drzwiami stolik handlowy. Na nim kupka plakatów. Kupka programów. I stos... tak, tak książki Dolorado, przywłaszczonej przez Wydawcę, sprzedawanej przez Pirożka, z absolutnym wypięciem się na autora.

Rrrety!

Z prawej krzesła dla widowni. Z lewej barek. W głębi podium. I scenografia do Dolorado: stół, plecak. I coś jak sztaluga, z napiętym papierem. Skromnie. Ale to dobrze. No, zobaczymy jako aktora scenicznego, a nie handlowego.

Rozmawiamy, obserwujemy, czekamy. Już po ósmej. Publiczność wcieka wolniuszko...

Oho, Lis przyszedł.

Podchodzi do mnie – publicznie witamy się. On wie i ja wiem, że idzie mu o to, aby ludziom wydawało się, że my w zgodzie.

Pirożek przy wejściu stoi – niektórych wita... coś tam wszeptuje.

Salka na osiemdziesiąt, sto osób. Jest już ze trzydzieści. Może pięćdziesiąt.

Podchodzi do nas gospodarz klubu.

– Bardzo przepraszam państwa, ale... Piereżek powiedział, że jeśli państwo... przykro mi, że muszę powtórzyć... że jeśli wy troje nie opuścicie klubu, on... nie wystąpi.

– Co? – Ala aż podskoczyła. – Nigdy! Kupiłam bilet i chcę zobaczyć spektakl. A autor chyba też ma prawo... Coś takiego! To... to bezczelność!

A ja – spokojny! Smutno mi. Ale interesująco się zaczyna. Gospodarz szepcze coś Pierogowi. Pieróg idzie do Lisa. Widzę wy kątem oka. Półmrok na sali. No, teraz!

Piereżek wchodzi na scenę.

– Proszę państwa! – zaczyna, z twarzą pogrzebową, głosem dramatycznym. – Niestety, dziś spektakl się nie odbędzie. Jestem zanadto zdenerwowany... a aktor nie jest maszyną... nie mogę wystąpić. Proszę państwa. Na sali znajduje się autor. O, tam – wskazał palcem – kryje się za waszymi plecami. Jak sęp krąży, żeby wydrzeć mi pieniądze! Przyszedł, żeby zrobić skandal!

Nie zadrzałem, nie wściekłem się, żadna sierść mi się nie najeżyła. Czuję się pisarzem – który przyszedł zobaczyć swój utwór. A oni się miotają. Kundlowisko się robi.

Głos: – Autor! my chcemy zobaczyć autora!

Wyszedłem przed publiczność, powiedziałem dobry wieczór. I że nie jestem żadnym skandalistą. Tylko chciałbym wreszcie zobaczyć moją sztukę – która objechała już Amerykę i Kanadę. Niech Piereżek nie boi się autora...

A wtedy ten sam głos – spojrzałem... Duża, pięćdziesięcioletnia silna kobieta:

– Zaraz, jesteśmy wszyscy Polacy i powinniśmy razem... rozwiązać... bo Polonia... rodacy... My w Chicago...

A inne głosy:

- Skandal!
- Hańba!

Usiadłem w pierwszym rzędzie, przy ścianie, przysłoniłem oczy dłonią i słuchałem. Kundlowisko rozpałało się. Pirożek o męce, o trudzie aktora, i o kosztach... Dolary, dolarów, dolarami... Że skromnie zarabia. Że dwa tysiące wydarłem mu podstępem, szantażem.

A ta duża: – Pana Pirożka uczciwość i talent znam osobiście, bo współpracowałam z nim w naszym Centrum Kultury przy Polamerze! A ten pan?

Jeszcze raz wstałem i powiedziałem do tej... Polamery, że temat pieniędzy to sprawa nie publiczności – ale między mną i aktorem. Jest nieelegancko, że wynosi ją teraz na scenę. Zamiast grać.

I usiadłem. Dziwiłem się sobie, żem taki spokojny. Może dlatego, że oni tak rozpaleni?

Zgiełk! Rejwach! Pieniądze, dolary! Przeliczają: dwa tysiące czy to dużo, czy mało. Wiem, powinienem wyjść. Ale szkoda. Za wiele bym stracił. Rządzi Polamera:

– O Pirożku wiemy, że jest wybitnym aktorem, widzieliśmy go w Chicago w wielu sztukach! A pan? Pan powinien mu dopłacać! Za reklamę!

I znowu o pieniądzach, ponad moją głowę. Siedziałem jak zahipnotyzowany. Takim seansem kundlowatości. Dalibóg, warto było nie pojechać z Pirożkiem w tournée, żeby teraz móc zobaczyć tę scenę. Tamten kundel ujada na mnie ze sceny – te kundle z krzesel. Że dwa tysiące to za dużo... że praca aktora ciężka... Jak to, usiadł, napisał – i dwa tysiące?

Tylko jakaś dziewczyna krzyczała histerycznie: – Nie! Nie! Nie!

Coś tak obrzydliwego nie mogłoby się w Polsce wydarzyć w najbardziej mordobijskim powiecie. Aż takiego opętania pieniądzem „w komunizmie” nie ma. Takiej fascynacji forszą.



Takiego amoku.

Szczekali. Słowo dolar odmieniano w siedemdziesięciu siedmiu przypadkach.

Dość. Nasyciłem się. Wstałem.

A w kieszeni miałem zobowiązanie Pjerożka, które mogłem im po prostu pokazać i przeciąć wszystko. Wstałem i powiedziałem:

– Dobra. Daruję panu te pięćset dolarów, panie Pjerożek. Ale chcę zobaczyć spektakl.

Brawa się sypnęły. Ale tylko część klaskała. Inni osłupieli. I...

I – oburzyli się. Na mnie! Nuże znowu ujadać.

No bo jakże to tak nie szanować dolara!

– Panie! Ciepnałeś pan pięćset dolarów?!

– Toż to dwa tygodnie roboty!

– Wariat, czy co?

– Skandal!

– Aferzysta!

Pjerożek gębę otworzył – ale tylko mu hau! hau! wyleciało.

Na to Ala: – Dostał pan pięćset dolarów, o które pan zrobił skandal? Dostał pan! No to niech pan gra!

A Polamera do Ali: – Zamknij się!

Odwrociłem się. Siedziała na wyciągnięcie ręki. Niewymownie bardzo chciało mi się chwycić jej nos, tak między dwa palce i... kręcić... kręcić – czułem, że przyjemność byłaby wręcz seksualna. Orgazmu bym sięgnął.

Pjerożek, ten sam, który jeszcze piętnaście minut temu grać nie mógł „z nerwów” rzucił się do rekwizytów. Publiczność zaklaskała, że grać będzie. Tamci patrzyli we mnie nienawistnie.

Och, było to moje, wielkie zwycięstwo nad... Powiedzmy zastępczo: nad dolarami.

Ucichło, gdy puścił z magnetofonu dramatyczną muzykę.

Oglądałem uważnie. Umie się już rozróżniać, co złego lub dobrego wzięło się z tekstu, a co z aktorstwa.

Podobało mi się.

Na koniec, przy owej muzyce dramatycznej – przy płoną-  
cym w mroku papierze symbolizującym pożar chaty w finale  
Dolorado – Pierog stał, stał... oni klaskali, klaskali, klaskali.  
Długo. I ja klaskałem.

I nagle Pierog wyrzucił rękę w moją stronę. Autora wskazał.  
Ale gestem takim, że gdyby rękę miał o trzy metry dłuższą,  
byłby to nokautujący cios w szczękę.

Zapaliło się światło. Cicho było i – poważnie.

– A jednak pan klaskał – usłyszałem za plecami szept pie-  
rozkowca. Odwróciłem się. Blondynek. Zawistny. Nienawist-  
ny. Że wygrałem z nim, z nimi. Wygrałem i dolarami, i tek-  
stem.

– Sobie klaskałem – odrzekłem. – Tekst się sprawdził.

– A Pierozek, co, nie świetny aktor?

– Jemu też. Wytrzymały. Bite dwie godziny.

– Ale talent, talent!

– Taki sobie. Niestety, on nigdy nie będzie wielkim akto-  
rem.

– A czego mu brakuje?

– Czego? – Czy mówić to temu kundelkowi, który jeszcze  
dwie godziny temu warczał na mnie...

– No?

– Moralności – powiedziałem.

I wstałem. Ludzie podchodzili gratulować. Lis pierwszy.

Polamera warknęła coś wrogo i, oglądając się wrogo – ucie-  
kła. Po drodze pogratulowała Pierozkowi. Który już pracowicie  
przy handlowym stoliku stanął.

Od czasu do czasu ktoś książkę kupił. Żeby sobie Pierozek  
zarobił. I szedł do mnie. Żeby podpisał.

Posiedzieliśmy jeszcze – Marek, Ala, ja – otoczeni ludźmi.

Zaciekawionymi. Życzliwymi. Pierozek snuł się między stolikiem i kontuarem. Samotny. Samotny jak...

Nie powiem.

**54.** Potem jeszcze powalczyłem z Lisem. Ale nie opadając na łapy. Odniosłem ćwierćzwycięstwo. Gdybym kundla przywiózł w sobie i na Lisa puścił, wyrwałbym mu dolarów dużo więcej. Ale straciłbym coś innego.

Ale to ćwierćzwycięstwo moje na obcej ziemi, w obcym mieście, było mi wystarczającym zwycięstwem. Odetchnąłem.

**55.** Którejś nocy wróciłem późno. Okazało się – zapomniałem klucza. Marek i Ala mieszkają na parterze. Popukałem, niegłośno, i wycofałem się. Noc piękna, pierwsze dni czerwca.

Poszedłem na pobliski skwer przyszkolny. Położyłem się w wysokiej trawie. Pachniało. Niebo i gwiazdy nade mną... Co pół minuty sunęły pod gwiazdami światła samolotu – startującego z największego na świecie, słynnego lotniska O'Hara... Może któryś do Warszawy? Do biednej Warszawy, biednej Polski...

Chłopiec – ten, co kiedyś pasąc krowy leżał w trawie czytając książki Verne'a i marzył o podróżach – powiedział głośno:

– Dziękuję.

Dziękował Staremu Koniowi, że wygramolił się z Warszawy i zawiózł go, Chłopca, tak daleko.

A może to Stary Koń dziękował Chłopcu?

## *Epilog*

Po trzecim odcinku Michałów Pierożek zwiął do Europy. Chałturzy teraz we Francji i RFN, wybiera się do Anglii, Austrii i Australii. Z Dolorado.

Jakiś jeleń z Greenpointu kupił od niego kolumnę Zygmunta i tramwaj – wyłączne prawo sfilmowania Dolorado oraz produkowania i sprzedawania kaset magnetofonowych i wideo (ja odstąpiłem Pierożkowi jedynie prawo wykonywania spektakli scenicznych). Natłukł kaset i nie wie, biedaczysko, co zrobić. Żeby śmieszniej było, ten sam tramwaj i tę samą kolumnę sprzedał przedtem Pierożek innemu przyjacielowi. W Chicago. A jeszcze wcześniej – przyjacielowi w Toronto. Czy nie wybitny ten Pierożek?

Co z innymi...

Jul zabiera się do angielskiego. Namówiony przeze mnie, za osiem lat będzie kandydował na senatora z Greenpointu. Poważnie. I kto wie, kto wie...

Witek rzucił dzienną robotę. Śpi do dwunastej, a potem leżąc, z nogami na szczytku, zastanawia się, jak robić pieniądze głową, a nie rękami (amerykanizacja!)

Mnie dziś rano – kiedy pisałem ten rozdział – kierowca „Federal Express” doręczył zaproszenie i bilet lotniczy na 3,5-miesięczne sympozjum pisarzy. Hen, w głębokiej, prawdziwej Ameryce. Będzie nas tam czterdziestu, z całego świata.

Sobota, 31 sierpnia 85

<i>Dolorado</i>	5
<i>Tańcowały dwa Michały</i>	69
<i>Epilog</i>	170